

**Sławomir
Sierecki**



**PALACE
MINOTAURA**

5850

Z głębokiego snu Wojdan kilkakrotnie wracał do rzeczywistości, ale nie był to trudny powrót. Raz po raz wydawało mu się, że widzi uśmiech Diany, ale potem otaczała go znów noc czarniejsza od tej, którą obserwował z pokładu „Semiramis” w czasie rejsu na Erato. Przy trzecim lub czwartym przebudzeniu machinalnie spojrział na zegarek, ale uniesienie głowy z poduszki spowodowało nagły ból, promieniujący od podstawy czaszki. Chwilę więc leżał bez ruchu, aż ból minął — jednocześnie próbując sobie przypomnieć zdarzenia z poprzedniego dnia, które wyjaśniłyby obecny stan. To nie był efekt nadużycia alkoholu. Nie. Więc co się stało? Chyba dostałem w leb — stwierdził nagle. Dotknął ręką czoła, ostrożnie zsuwając na poduszkę wilgotną, chłodną chustkę, którą jakaś miłosierna ręka położyła mu na głowie. Jeszcze raz, znacznie już ostrożniej, uniósł się na łokciach i otworzył oczy. Była pierwsza, ale nie w nocy, lecz po południu. Za oknami świeciło słońce. Diany Morelli w pokoju nie było, natomiast obok, przy łóżku siedział ciemnoskóry żołnierz w panterkowym uniformie.



Sławomir Sierecki

PAŁACE MINOTAURA



Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1990

Projekt okładki

Jerzy Gawron

Redaktor

Aldona Mrozowska

© Copyright by Sławomir Sierecki,

Gdańsk 1990

ISBN 83-215-8305-9

Wydawnictwo Morskie,

Gdańsk 1990

Wydanie pierwsze.

Nakład 59 750 4- 250 egz.

Ark, wyd. 7,64.

Ark, druk. 9.

Papier offset. III kl., 70 g, rola 70 cm

Oddano do składania 1989-06-26

Podpisano do druku w marcu 1990 r.

Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie,

ul. A. Lampego 18/20

Zam.:D-434 E-I

...Mogłoby to być komedią, mogłoby też być tragedią. Jeden człowiek przypłacił to rozumem, ja przypłaciłem upustem krwi, a inny znów jego śmierć przypłacił to więzieniem. Zawsze jednak było w tym coś z komedii. Zresztą osądźcie sami...

Arthur Conan Doyle

Śmierć w hotelu „Xanadu”

1.

Oddał swój „boarding pass” uśmiechniętej służbowo stewardesie, ulokował się w wygodnym fotelu i zapiął pas bezpieczeństwa. Potem na chwilę zamknął oczy, oczekując wibracji kadłuba samolotu w czasie próby silników przed startem. Wyobraźnia podsunęła mu wówczas obraz wyspy, jakby zawieszanej między błękitem nieba i srebrzystą powierzchnią morza. Takie właśnie zdjęcia dołączono do przesłanych mu materiałów zadania konkursowego. Na odwrocie kolorowej fotografii napisano flamastrem po angielsku — „Dar bogów: wyspa Erato, na wschód od Kessary, w eparchii Kalimnos, w nomie Dodekanezu”. „Erato”, „eparchia” i „nom” — wszystko to zabrzmiało jak echa lektur Homera. Sprawdził na mapie — Kessara miała kolor żółty i przypominała kształtem motyla. Od północy wyspę oblewały wody Morza Egejskiego, od południa — Morza Kreteńskiego, co z pewnością nie było w ogóle zauważalne na miejscu i nie miało dla nikogo — poza geografami — żadnego znaczenia. Tuż obok Kessary znalazł punkcik nie większy od łebka szpilki. To była właśnie Erato — „dar bogów”. Zapamiętał z lekcji historii starożytnej, że właśnie tak nazywała się muza poezji miłosnej, przedstawiana zwykle z lirą w ręku. Mimo że zmierzał do celu okrężną drogą, w końcu tam właśnie, na tym łebku od szpilki znajdował się cel jego podróży.

Nazywał się Bartosz Wojdan. Właśnie — Bartosz, a nie Bartłomiej, co zawdzięczał patriotycznej ekstrawagancji rodziców. W szkole próbował tłumaczyć kolegom i koleżankom, że imię to nosi z dumą, że to „od Bartosza Głowackiego, nobilitowanego po bitwie pod Raclawicami”, ale w duchu przyznawał, że wolałby imię prostsze — Janek, Grześ lub Jurek. Obecnie

miał lat trzydzieści sześć, był wciąż nieżonaty (co wcale nie znaczy, że samotny), dość przystojny — według oceny koleżanek z biura projektów — szczupły, wysoki, zdrowy, trochę narciarz i żeglarz śródlądowy. Urlop wziął na trzy miesiące, sądził jednak, że jeżeli szczęście się do niego uśmiechnie, szefowie pójdą mu na rękę i może liczyć na następny kwartał wolnego — jego instytucja nie była zawałona pracą, kryzysowe polskie lata dawały i tu o sobie znać. Pozostawiał w Warszawie maleńkie, ale ładne i praktycznie urządzone mieszkanko, w którym nie trzymał ani kota, ani psa, ani papużek, ani kanarka. Cztery doniczki z różnymi odmianami kaktusów, które otrzymał przez cztery kolejne lata na imieniny, przeniósł na czas swej nieobecności do sąsiadów, podglądających z nudów cudze życie przez wizjer w drzwiach wejściowych. Im także powierzył (wizualną) pieczę nad swoim gniazdkiem. Pozostawiał także aurę sukcesu, rodzącą zrozumiałą zazdrość i bezinteresowną zawiść.

Koszty związane z wyjazdem za granicę na całe trzy miesiące zmusiły go do ogołocenia zarówno konta dewizowego, jak i złotówkowego oraz niemal do rozstania z wiernym jego druhem od początków kariery, wysłużonym, niebezpiecznie wibrującym przy zwiększeniu szybkości — dzielnym polskim fiatem 126 p. Fiacik pozostał tymczasem w gościnnym kącie obszernego garażu pod gigantyczną willą znajomych w Aninie. Nie wątpił, że „jeżeli wszystko dobrze pójdzie” mały fiacik ostanie się w charakterze eksponatu w garażu jego przyszłej willi, podobnie okazałej jak ów dom — w Aninie. On zaś przywiezie sobie... właśnie nie był jeszcze zdecydowany: volvo? toyotę? czy audi?... Wolno przecież pomarzyć, gdy wyrusza się w podróż, na końcu której czeka na człowieka nie tylko wyspa pod błękitnym niebem, ale i zielone banknoty z wizerunkami różnych prezydentów Stanów Zjednoczonych.

Wojdan zwyciężył w konkursie na projekt rezydencji greckiego armatora na bajkowej wyspie. Teraz jechał po nagrodę i w celu ewentualnego podpisania kontraktu na szczegółowe rozpracowanie projektu oraz nadzór architektoniczny na miejscu — o czym wspomniano w liście, jaki otrzymał z biura greckiego handlowca i armatora o egzotycznym nazwisku — pana Simona Zaddecka. Podobno „bogacza nie gorszego od Onassisa i Marchosa” — jak

napisał mu przyjaciel, dzięki któremu otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w konkursie.

Kiedy, rozentuzjasmowany i wzruszony po otrzymaniu informacji o sukcesie, opowiadał o tym biurowej koleżance — kreślarce, nazywanej Melbą, ta zauważyła sceptycznie, że podobnie jak on cieszyli się zapewne kiedyś pasażerowie linii transatlantyckiej „White Star”, którym udało się dostać bilety na dziewiczy rejs „Titanica”. Liczyli — jak on teraz — na największą przygodę życia i co więcej — nie omylili się w swych rachubach. Szkopuł polegał na tym, że większość z nich nie miała więcej okazji komukolwiek o tym powiedzieć...

Koleżanka Melba dodała zaraz, że przemawia przez nią zwykła zazdrość i prosiła żeby „nie miał jej tego za złe”, sama bowiem byłaby gotowa pojechać z nim jako sekretarka-kreślarka „i coś tam jeszcze” na każdą wyspę w archipelagu Cykladów lub Sporadów.

Ta jej uwaga wróciła do niego później, kiedy wysuwając szufladę nocnego stolika w hotelu „Xanadu” w centrum Aten odkrył tam mały rewolwer o oksydowanej lufie — na pierwszy rzut oka przypominający zabawkę, jakie znaleźć można było w Atenach w witrynach sklepów z prezentami dla dzieci. Ale nie była to zabawka. Wojdan interesował się bronią w młodym wieku — jak większość nastolatków. Był to rewolwer służb specjalnych i agentów ochrony, w katalogach, które wówczas zbierał, wymieniany jako „18 Smith and Wesson Bodyguard-Airweight 38 Special” — lekki, sprawny w użyciu i śmiertelnie groźny.

Już chciał wziąć rewolwer do ręki i obejrzeć z bliska, kiedy przypomniła mu się złośliwa uwaga koleżanki Melby. Nie znajdował się wprawdzie na środku oceanu na pokładzie „Titanica”, ale mimo to... powstrzymał się! Przyjrzał się tylko broni, nie dotykając jej. Nie wiedział, że w ten sposób oszczędził sobie wielu kłopotów w przyszłości. Wolno zasunął szufladę. Wyobraźnia znów wyświetliła mu na ekranie podświadomości obraz wyspy na pograniczu Morza Egejskiego i Kreteńskiego. Tylko że teraz na błękitne, bezchmurne niebo i spokojne, srebrzyste morze nasunął się jakiś cień. Jakby pragnąc upewnić się, że to nieprawda, wyjął z portfela kolorową

fotografię i przyjrzał się jej uważnie. Niebo było dalej bezchmurne. Żadnego cienia nie znalazł.

Potem zgasił światło w pokoju i szeroko otworzył okno, wchłaniając nocny szum jednego z ruchliwych centrów Aten — placu Omonias. Naokoło zapalały się i gasły neony, lampy uliczne oświetlały chodniki i jezdnię tak dokładnie, że w ich blasku można było znaleźć zgubioną igłę. Tłum przechodniów wyglądał z wysokości piętra jego pokoju jak tłum karzełków z filmowej wersji jakiejś bajki o krasnoludkach i dobrej wróżce, która tutaj go przyprowadziła. Był w Grecji. W Atenach. Niedaleko stąd znajdowały się ruiny jednej z najwspanialszych cywilizacji starożytnej Europy. Obiecywał sobie w drodze powrotnej zatrzymać się w Atenach choć na kilka dni — zawsze marzył o obejrzeniu Akropolu... Upojony tymi wrażeniami, nie mógł podejrzewać, że w tłumie rzekomych karzełków znaleźć się może także zła wróżka, a nawet zły czarownik. Nie spodziewał się, że z placu Omonias ktoś obserwował okno jego pokoju i że zgaszenie światła mogło zostać odebrane jako sygnał do rozpoczęcia akcji.

2.

Każdy, kto ląduje w Atenach wiosną lub jesienią, pozostawiając za sobą chłód i pochmurne niebo północnej Europy, zwłaszcza w okresie sztormów nad Morzem Północnym, musi wyraźnie odczuć kontrasty, jakie witają go pod greckim niebem. Owe kontrasty polegają nie tylko na różnicy temperatur i barwy nieba — odnaleźć je można także w powodzi aromatów atakujących powonienie przybysza, płynących z otwartych okien i drzwi, z wnętrza barów i tawern. Kontrasty te uderzają wyraźnie, gdy obserwując nocą przechodniów na ulicach, wspomni się puste deptaki Północy. Inne jest zachowanie tutejszych ludzi, inny rytm życia. Najlepiej odczuwa się to wszystko na spacerze późnym wieczorem w pobliżu placu Omonias czy placu Syntagma, wzdłuż arterii Stadiu lub Ermou oraz w zaułkach dzielnicy Plaka, gdzie wydać się może, że co drugi dom kryje tawernę. Tańczy się

tam sirtaki, słucha dźwięków buzuki, śpiewa „Akropolis adieu”, pije mastikę i uzo, raki i koniak „Metaxa”...

Wszystkie te wrażenia stały się udziałem Bartosza Wojdana, który nie polecał — jak można było początkowo przypuszczać — z Okęcia wprost do Aten, ale z konieczności wybrał drogę okrężną — właśnie wpierv odwiedzając brzegi Morza Północnego i to w porze wiosennych szarug i sztormów. Wylądował więc najpierw w Hamburgu, skąd przedstawiciele firmy, z którą współpracowało jego warszawskie biuro projektów, zabrali go do Bremy. W Bremie miał załatwić kilka spraw służbowych i kilka własnych — tam także spotkał się ze swym przyjacielem Michałem Jaroszem, z którym kiedyś studiowali wspólnie architekturę na warszawskiej politechnice. To właśnie Jaroszowi zawdzięczał zaproszenie do konkursu. W Bremie należały mu się jeszcze jakieś pieniądze — za projekty z ubiegłego roku, choć zasadnicze honorarium przekazano już do Polski. Z pewnością czekać go będzie, kiedy wróci do kraju — pomyślał. To, co jeszcze otrzymał tutaj jako wyrównanie, w całości poszło na bieżące potrzeby — ulokowano go bowiem na jego koszt w drogim hotelu i musiał spotkać się z miejscowymi znajomymi w tradycyjnym lokalu pod ratuszem — „Ratskeller” i „opić sprawę”. Tak wypadło. Ostatecznie to oni — załatwili mu bilet na samolot „Lufthansy” z Hamburga do Aten i ułatwili szybkie otrzymanie wizy greckiej, co w tamtych czasach graniczyło z cudem.

Z Jaroszem spotkał się w stylowej piwiarni „Altbremer-Brauhaus”, której główna sala miała oryginalny wystrój — był to niby „rynieczek” małego niemieckiego miasteczka. Pośrodku przygrywała orkiestra i tańczono. Muzycy — jak się okazało — byli Polakami z Poznania i po wygaśnięciu kontraktu planowali tournée po podobnych lokalach w Republice Federalnej... Makiety fasad otaczających „rynieczek” kryły niewielkie sale, gdzie bawiły się w swoim gronie gromadki gości. Tam właśnie, w jednej z takich salek, Wojdan i Jarosz znaleźli również wolny stolik i zaciszny kącik do rozmowy.

— Wybacz, że nie zapraszam cię do domu, ale przed kilku dniami udało mi się wreszcie sprowadzić z Polski żonę z dzieckiem i jesteśmy w

trakcie urzędowania się... — tłumaczył się jego przyjaciel.

— Wygląda na to, że zadomowiłeś się na dobre... — zauważył Wojdan.

— Tak to może pozornie wyglądać, ale, szczerze mówiąc, nie jest prawdą. Po prostu będę tu jeszcze pracował do końca kontraktu, musimy więc stworzyć sobie z żoną jakieś warunki do — w miarę wygodnego — życia. Załatwialem tę pracę, kiedy w Polsce nie było to jeszcze „dobrze widziane”, ale obecnie jestem tu już całkowicie legalnie, z aktualnym polskim paszportem w kieszeni. I w tym właśnie sęk... Dopóki byłem tu półlegalnie, wszyscy gotowi byli mi pomagać i przedłużać kontrakt, ale obecnie sytuacja się zmieniła. Trzymają mnie tutaj dalej, bo chyba dobrze pracuję, są zadowoleni i dobrze płacą. Ale wydaje im się dziwne, że nie proszę o azyl, że po wygaśnięciu kontraktu planuję wrócić do kraju.

— A wrócisz?

— Być może przedłużę kontrakt, a być może będzie jeszcze inaczej — zmienię miejsce pracy, może nawet kraj. Tymczasem siedzę tutaj, ciężko pracuję, ale ciulam pieniądze. Może różne tutejsze uwarunkowania przyspieszą moją decyzję ruszenia się stąd. Jestem przecież w tej szczęśliwej sytuacji, że nie spaliłem za sobą mostów — jak wielu, którzy uwierzyli, że są tu oczekiwani. Po prostu każdego dnia mogę zwinąć manatki i wylądować, w Warszawie. Mieszkaniem opiekuje się matka.

— W jaki sposób udało ci się zdobyć dla mnie zaproszenie na ten konkurs?

— To przypadek — załatwiał to koncern, do którego należy moja firma. Zleceniodawcy życzyli sobie, aby za naszym pośrednictwem zainteresować dziesięciu architektów z północnej Europy. Wyraźnie nie chcieli architektów z krajów basenu Morza Śródziemnego, gdzie przecież łatwo można znaleźć specjalistów od wspaniałych rezydencji. Wymienili Finlandię, Szwecję, Polskę, Danię i Republikę Federalną. Zaproszenie do konkursu dostało aż czterech Finów i trzech Szwedów, a z Polski tylko ty jeden. Nie wiem, ilu architektów odpowiedziało na ofertę. Nie był to znów tak bardzo atrakcyjny konkurs — w ślad za zaproszeniami nie szła gwarancja pokrycia kosztów wstępnego projektu. W każdym razie wysłano do Aten jakieś

projekty i twój najbardziej się spodobał. Miałeś trudności z uzyskaniem urlopu i w ogóle z całym wyjazdem?

— Nie, żadnych, choć na pewno wzbudziło to wiele zazdrości i zwykłej koleżeńskiej zawiści.

— Na lotnisku w Atenach ma cię oczekiwać jakiś pan Santopulos. Zapamiętasz? Najlepiej zapisz sobie...Santopulos! Nie wiem, jak go rozpoznasz, ale pewnie to on cię odnajdzie w tłumie pasażerów. Znają tam datę twój przylotu i numer rejsu. Sam dopilnowałem teleksu.

— W każdym razie tobie zawdzięczam to zaproszenie i nie zapomnę ci tego.

— Z podziękowaniami wstrzymaj się lepiej do powrotu. Jeszcze ci nie wypłacili nagrody i nie podpisałeś z nimi żadnego kontraktu. Masz tymczasem w kieszeni tylko gratulacje, grecką wizę, bilet na samolot „Lufthansy” oraz nazwisko pana Santopulosa. Opłacili ci przelot z Warszawy do Hamburga i z Hamburga do Aten. Płacą za cały twój pobyt...

— Co więc powoduje twój sceptycyzm?

— Po prostu w sferze pieniądza liczą się fakty.

— Chciałeś powiedzieć — czeki?

— Nawet nie czeki, ale dopiero potwierdzenie z banku o wpływie gotówki na twoje konto. To jest, mój drogi, Zachód. Tu hasła i wzniosłe myśli przelicza się zawsze na pieniądze. Konkurs na rezydencję na wyspie Erato, w którym uczestniczyłeś i który wygrałeś, firmuje spółka „Gedonic Co.” z greckiej części Cypru. Wysepka Erato należy natomiast administracyjnie do dużej wyspy Kessary, ta zaś leży na obszarze greckiego Dodekanezu, choć w takim miejscu, że bliżej stamtąd na Kretę i na Thirę niż na przykład na Rodos, nie mówiąc już o Cyprze.

— Znam to wszystko — wspominano o tym w piśmie załączonym do materiałów, jakie otrzymałem. W dodatku przestudiowałem wszystkie przewodniki i mapy — angielskie i niemieckie. Oba języki znam dobrze i sądzę, że moi zleceniodawcy także je znają. Informacje konkursowe były przygotowane „po angielsku.

— Tak, wiem o tym. Przypominam to wszystko, aby dojść do pewnych szczegółów, których nie podano, a o których niedawno dotarły do mnie

informacje. Właściciel wyspy nie jest Grekiem ani Cypryjczykiem, jak mogłoby się wydawać z załączonych do konkursu materiałów. To Libańczyk, człowiek istotnie bardzo bogaty, nabab... nazywany w kręgach ludzi interesu na Bliskim Wschodzie — Wielkim Kalifem. W Libanie pozostawił dwie rezydencje, o których pięknie i bogactwie krążyły legendy. Był współdziałowcem spółek armatorskich, miał podobno w kieszeni niektóre towarzystwa maklerskie i przewozowe, ale równocześnie przypisują mu handel bronią na ogromną skalę...

— Dla której ze stron?

— Dla jednej i drugiej, a podobno również dla trzeciej i czwartej... Chyba nikt tego nigdy nie zbada. Opuścił Liban, kiedy sytuacja stała się tam bardzo niebezpieczna nawet dla tych, którzy otaczali się prywatną ochroną. Zresztą państwowa ochrona także nie na wiele się zdała, o czym może świadczyć przykład zamordowania Beszira Dżemajela w miesiąc po jego wyborze na prezydenta. A Beszir Dżemajel ochronę miał znakomitą — był przecież synem twórcy maronickiej „falangi” w Libanie — Pierre'a Dżemajela. Dziwić może, ale równocześnie budzić szacunek, że brat Beszira — Amin — zgodził się w takich warunkach przyjąć urząd prezydenta po zamordowanym bracie i dalej... żyje. W Libanie — zgodnie z miejscową konstytucją — prezydentem mógł być tylko chrześcijanin, wyznawca kierunku wiary obranego przez biskupa Marona, a więc maronita. Premierem mógł zostać tylko muzułmanin — sunnita, a przewodniczącym parlamentu muzułmanin — szyita.

— Co to ma wspólnego z moim projektem rezydencji dla greckiego armatora o libańskim pochodzeniu? Choć rzeczywiście dziwne, że konkurs ogłosiła firma cypryjska.

— Może nic, ale lepiej żebyś orientował się w tej mozaice i dobrze przestudiował kontrakt, jeśli taki przedstawią ci do podpisania. Pan Zaddeck to libański maronita, ale jego żona to autentyczna Greczynka. Wyspa Erato jest prawnie własnością żony, ale pieniądze dał jej mąż. „Gedonic Co.” firmuje tylko wszystkie operacje i pewnie inkasuje pieniądze oraz dokonuje wypłat. Nic bliższego o tej spółce nie wiem, choć szukałem w naszych

informatorach i próbowałem czegoś się dowiedzieć. W Libanie i na Cyprze, w latach politycznych zawirowań, powstawały różne spółki i towarzystwa, które raptem rozwiązywały się i znikaly. Musisz być więc ostrożny, gdy dojdzie do podpisywania umowy, a przede wszystkim zażądaj przelania nagrody na twoje konto albo wypłacenie do kieszeni — nie wiem, jakie tam panują obyczaje. W każdym razie pamiętaj — pieniądze są Libańczyka, wyspa jego żony — Greczynki, konkurs ogłosiła firma cypryjska, o której nic nie wiadomo.

— Powiem ci szczerą prawdę, Michał. Jestem w takiej sytuacji, że każda propozycja z ich strony jest dla mnie nie do pogardzenia. Mam w kieszeni tyle „zielonych” z mojego konta w Warszawie, że starczy mi na zapłacenie hotelu i przelotu powrotnego — z Aten do Warszawy, gdyby wszystkie te plany upadły. Jeśli nawet oferta z ich strony nie będzie zbyt korzystna, pewnie i tak ją przyjmę. Nie mam wyboru.

— Tak, rozumiem. W każdym razie nie miej do mnie żalu, jeśli wszystko nie pójdzie zupełnie po twojej myśli. Pomogłem ci zaryzykować udział w konkursie, ale tu się moja rola kończy. Dalej musisz radzić sobie sam. Dobrze, że wszystko załatwiłeś zgodnie z prawem, zawsze więc możesz poprosić o pomoc naszą ambasadę.

— Ależ mój drogi, nie przesadzasz z tą ostrożnością? Przecież pan Zaddock to nie Al Capone...

— Oczywiście, że nie. Skoro jednak właśnie ja spowodowałem twój udział w konkursie, chciałbym, żeby ci się udało. W każdym razie napisz do mnie. Tu masz moją wizytówkę z nowym adresem. Do końca roku na pewno go nie zmienię, a potem — zobaczymy... Aktualny adres podać ci może zawsze moja matka w Warszawie. Mówiłem ci, że opiekuje się mieszkaniem...

Zanim się rozstali, przeszli jeszcze spacerkiem przez opustoszałe bremeńskie City. Minęło ich najwyżej trzech przechodniów. Dmuchał chłodny wiatr od Wezery, a może wprost od Północnego Morza. Było zimno. Potem zaczął kropić deszcz. Po okrążeniu śródmieścia, pożegnali się pod pomnikiem rycerza Rolanda symbolem hanzeatyckiej Bremy...

3.

Santopulos okazał się człowiekiem młodym, chyba jeszcze przed trzydziestką, niskim, krępy, pełnym temperamentu. Swoją angielszczyznę o dość niezwykłym akcencie podpierał żywą, dość nachalną gestykulacją. Bez trudu rozpoznał Wojdana w tłumie opuszczającym kontrolę celną i paszportową, jakby ktoś wskazał mu oczekiwanego przybysza z Polski albo jakby posiadał bezbłędną intuicję. Nosił okulary w cienkiej, złotej oprawie — typowe dla młodych urzędników w krajach śródziemnomorskich, mające im dodać powagi w czasie wykonywania obowiązków. Poza okularami — uniform typowego biuralisty w Kairze, Stambule lub Palermo: biała koszula, ciemny krawat, szare spodnie i granatowa marynarka z „marynarskimi” guzikami. Miał oliwkową cerę, czarną, lśniąca czuprynę, w lewej dłoni niósł aktówkę „à la James Bond”. Mówił dużo, może trochę zbyt dużo.

Na lotnisko przyjechał fiatem, co zaskoczyło trochę Wojdana, który — uprzedzony o bogactwie Zaddecka — spodziewał się dystyngowanego dżentelmena w ogromnej limuzynie, z szoferem w liberii.

— To cały pański bagaż? — spytał Santopulos, wskazując na walizkę, miękką torbę i metalowy rulon, skrywający komplet planów — duplikat projektu konkursowego.

— Nie lubię podróżować ze zbyt dużym bagażem. Sądzę, że mam tu wszystko, co niezbędne. Jeśli przyjdzie mi zostać dłużej, uzupełnię swoje gospodarstwo... — Wojdan uśmiechnął się do Santopulosa. — Myślę, że jeżeli nie na Erato, to na pewno na Kessarze są jakieś sklepy.

— Oczywiście — przytaknął Santopulos, odpowiadając mu uśmiechem, zresztą uśmiechał się często jak zawodowy komiwojażer. — We wszystko, co niezbędne, zaopatrujemy się w Pandros — to jakby stolica Kessary. A jeżeli mamy szczególne potrzeby, jedziemy na Rodos, na Kretę, albo nawet tutaj, do Aten — uzupełnił swoją informację, w tonie przechwałki. — Zamówiliśmy dla pana pokój w hotelu „Xanadu”. Jest to co prawda hotel tylko trzygwiazdkowy, ale posiadający sympatyczną atmosferę, grzeczną

obsługę i smaczne jedzenie. Wziąłem pokój naprzeciwko pańskiego — mam wprawdzie okna na jazgotliwe centrum, ale może uda mi się zasnąć. Od wczoraj jestem w Atenach, mój właściwy dom to obecnie wyspa Erato.

— Trzyma pan tam swój samochód? — spytał Wojdan, lokując się obok kierowcy.

Santopulos wydał się zaskoczony pytaniem.

— Ach nie!... Korzystam z samochodów firmy, zresztą podróżuję najczęściej samolotem. Ten wóz wziąłem z hotelu. Nasza firma ma tu swoje udziały. W „Xanadu” czujemy się jak w domu. Dyrektor hotelu to dobry znajomy pana Zaddecka — wymówił z nabożeństwem nazwisko swojego wielkiego bossa.

— Pan Zaddeck nie zamierza wracać do Libanu? — było to pytanie wścibskie, poza protokołem, może nawet trochę prowokacyjne.

— Nie znam planów naszego szefa, ale pan Zaddeck zawsze dążył do ojczyzny pani Zaddeck. Urodził się w Libanie i prowadził tam swoje interesy, ale sercem oddany był ojczyźnie swojej żony — Grecji. Zna pan Grecję?

— Niestety, nie. To mój pierwszy pobyt w Grecji i w Atenach.

— Ateny to jeszcze nie Grecja. Grecja to, jak mówi się na archipelagu, Ateny i wyspy, wyspy, wyspy... Północ — to zupełnie inna kraina, inne obyczaje, inni ludzie. Prawdziwa Grecja to przede wszystkim morze i brzegi morskie — zaczął opowiadać jak przewodnik oprowadzający wycieczkę. — Sądzę, że po obejrzeniu wyspy Kessary i naszej małej Erato nabierze pan ochoty do zwiedzania innych wysp. Cyklady, Sporady, Kreta — to nawet więcej niż Ateny i sam Peloponez, choć to także ogromna wyspa, odkąd przekuto Kanał Koryncki. Grecy byli zawsze narodem żeglarzy.

Zamilkł, a Wojdan nie pytał o nic więcej, zainteresowany drogą z lotniska do miasta. Tak się złożyło, że znał trochę europejskie południe, ale dotąd nie udało mu się nigdy zobaczyć Hellady. Nadrabiał miną i udawał, że nic go nie potrafi zaskoczyć. Kiedy jednak w wąwozie między domami zobaczył jakąś oświetloną reflektorami górę, wziął ją oczywiście za Akropolis. Santopulos uprzejmie, ale nie bez satysfakcji wyjaśnił mu, że się

myli. To nie Akropol, lecz wzgórze Lykabettos. Potem skręcił w prawo, w lewo i nagle znaleźli się rzeczywiście w pobliżu wzgórza, na którym w świetle reflektorów objawił się im cały przepych starożytnego piękna.

— A oto i Akropol... — powiedział z satysfakcją Santopulos.

Jadąc w kierunku placu Omonias, przecięli samo centrum, obok Pomnika Nieznanego Żołnierza i przez aleję Stadiu. Pokój w hotelu „Xanadu” okazał się przytulny, przyjemnie urządzony — bez ozdobników w mieszczańskim stylu, ale też nie sterylnie nowoczesny. Zmartwiło jednak Wojdana, że okna wychodziły na podwórkową, cichą studnię, a nie na tętniącą życiem arterię. Postanowił po kolacji poprosić swojego „cicerone” o zmianę numeru — chciał oglądać Ateny, a nie anonimowe podwórko.

Do kolacji miał trochę czasu, rozpakował więc torbę i walizkę, nawet wyjął plany z metalowego rulonu, sprawdzając, czy niczego nie zapomniał. Potem wziął prysznic, przebrał się i szedł na dół, do baru. Zamówił kawę i mały koniak — oczywiście marki „Metaxa”. Niedługo siedział sam przy barze — wkrótce obok przysiadła się para — młody chłopak i dziewczyna. Sprawiali wrażenie zakochanych, poszeptywali coś do siebie, śmieli się. Zachowywali się dość swobodnie, ale jakby na pokaz, nieszczerze. Może tą nadmierną swobodą chcieli pokryć jakieś skrępowanie? On był niebieskokim blondynem, ona „zrobiona” na rudo, dość krótko ostrzyżona, szczupła, bardzo ładna. Zapytała nagle Wojdana po niemiecku, czy może jej pożyczyć swoją zapalniczkę. Zamiast odpowiedzieć, zgodnie z kanonem zachowań w koleżeńskim gronie — wstał z barowego stołka i podał jej ogień. To ją chyba trochę zaskoczyło. Nie przywykła do takich gestów. Zaczęli rozmawiać. Młodzi wyznali mu, że są w podróży poślubnej i mieszkają w Hamburgu — powiedział więc, że jeszcze rano był w Hamburgu, a żeby zdążyć na samolot z Hamburga, musiał świtem wyjechać z Bremy.

— Mieszkamy wprawdzie obecnie w Hamburgu — wyjaśniła dziewczyna — ale ja urodziłam się w Bremie. To moje rodzinne miasto.

Mówiła po niemiecku z nieco oryginalnym akcentem, co tłumaczyła

wplywami fryzyjskimi. Nie uwierzył jej, ale co go to mogło obchodzić? Miała na imię Urszula — jej chłopak, a raczej mąż, nazywał ją „Ursel” lub „Ulli”. Ona mówiła do niego Hans. Nie nosił obrączek i Wojdan pomyślał, że kłamia, opowiadając mu o podróży poślubnej. Na pewno była to typowa eskapada pary młodych, na tyle jednak już dojrzałych, że wiedzieli, czego chcą od życia. Chłopak, a raczej młody mężczyzna nosił czarne dżinsy, czarną skórzaną kurtkę i czarne „saperki” na wysokich obcasach, w jakich paradowali w Niemczech „rockersi”, rozrabiający na ulicach przedmieść zmotoryzowanymi tabunami, specjaliści od walk łańcuchami rowerowymi i kastetami. Nie mówił jednak slangiem, ale bardzo poprawnie, okrągłymi zdaniem, zaczął nawet dyskutować z Wojdanem na temat filozofii. Napomknął coś o Sartrze, McLuhanie i Marcusie, o modzie na Orient, ale chodziło mu raczej o popisy przed przygodnym znajomym, niż o rzeczywiste zainteresowania i rzeczywistą dyskusję. Pytał także, czy Wojdan długo zostanie w „Xanadu”?

— Raczej nie — odpowiedział, decydując nagle, że za wiele na swój temat tej parze nie powie. Dopił kawy, wychylił resztę koniaku i życzył przygodnym znajomym najlepszych wrażeń z Aten.

— Niech pan nie zapomni klucza od pokoju — powiedziała dziewczyna, podsuwając mu klucz z potężną gałką i numerem jego pokoju. Chyba cały czas bawiła się nerwowo tą gałką.

Podziękował za przypomnienie i wziął z jej dłoni klucz. Jeszcze raz pozdrowił oboje i odszedł. Wychodząc z baru, niemal zderzył się z jakimś potężnym osobnikiem w smokingu. Miał lśniąca łysinę i gęstą, czarną, krótko przystrzyżoną brodę. Przeprosił łysego po angielsku i w odpowiedzi usłyszał jakieś słowa wypowiedziane po grecku, z czego zrozumiał tylko „me singohorite” — „przepraszam”. Uśmiech wśród gęstej brody potwierdził, że zrozumiał właściwie. Chciał już udać się do swojego pokoju, ale gdy podszedł do windy, nagle z czeluści kabiny wyłonił się Santopulos we własnej osobie. Wojdanowi udało się namówić swego opiekuna na krótki spacer przed kolacją, co tamten przyjął wprawdzie bez entuzjazmu, ale i bez ociągania. Miał chyba duszę lokaja.

Wojdan był jeszcze oszołomiony podróżą, zderzeniem z Grecją, ruchem

na ulicach — mimo późnej pory, Santopulosem, hotelem „Xanadu” i dziwnym zachowaniem młodej pary przy barze. Prawdopodobnie za bardzo przejął się dobrymi radami swego bremeńskiego przyjaciela — stąd ta nadwrażliwość i nadawanie szczególnego znaczenia drobnym, nieważnym faktom. A jednak każdy gest, każde słowo rejestrował uważnie, próbując wiązać to w całość. Może był to efekt zmęczenia? Tę noc powinien prze spać spokojnie, bez pogoni myśli, bez piętrowych refleksji. Tworzył sobie problemy, tam gdzie ich pewnie nie było.

Przeszli spacerkiem aleją Stadiu, koło Pomnika Nieznanego Żołnierza, gdzie przechadzali się dwaj gwardziści w ludowych strojach z czasów lorda Byrona i bitwy pod Missolungi. Obeszli labirynt uliczek na Place. Gdy wracali, poczuł się już senny. Wstąpili do restauracji na kolację, ale należeli już do nielicznych, ostatnich gości. W piwnicy, dokąd schodziło się obok baru, bawiono się w najlepsze i dochodziły stamtąd dźwięki muzyki. W restauracji wybór menu był niewielki. Kuchnia już nie pracowała.

Na prośbę o zamianę pokoju Santopulos szczerze się ucieszył. Wyznał, że źle ostatnio sypiał, nawet tabletki nasenne nie pomagały, a pokój od frontu to „prawdziwy koszmar” — ruch na ulicach słabnie dopiero koło czwartej nad ranem, ale już o wpół do szóstej wybucha z nową siłą. Wybór pokoju od frontu traktował jako swoiste poświęcenie na rzecz gościa — nie wyobrażał sobie, że Polak zechce zamieszkać właśnie w apartamencie, którego okna wychodzą na plac Omonias. Poza tym było gorąco, a we wnętrzu hotelu po prostu duszno. To właśnie brak klimatyzacji powodował, że hotelowi „Xanadu” odjęto jedną gwiazdkę. Goście musieli wybierać — albo otworzą okna i zyskają trochę przeciągu, ale wówczas jazgot ulicy spłoszy im sen, albo zamkną szczelnie okna i wówczas mogą się dusić.

— Tylko angielskim turystom szum z ulicy nie przeszkadza i zasypiają przy otwartych oknach — mówił Santopulos. — Oni także potrafią docenić walory naturalnej temperatury, natomiast Amerykanie stronią od hoteli pozbawionych klimatyzacji! Zresztą tylko Anglicy, którzy uczyli się w szkole poematów Coleridge'a są w stanie zrozumieć romantyzm nazwy hotelu.

Z reguły Amerykanie o Coleridge'u nie słyszeli. To zastanawiające, jak tam uczą historii kultury i historii języka — czy to możliwe, żeby nie znać twórczości Coleridge'a? A przecież w jego poemacie „Kubla Khan” występuje tajemnicze miasto Xanadu...

— Studiował pan literaturę angielską? — zdziwił się Wojdan.

— Ach, kto tu mówi o studiowaniu! Zwykła szkolna edukacja, potem praca w charakterze przewodnika dla turystów z Anglii, mieszkających właśnie tu, w „Xanadu”. Dzięki stypendium cały miesiąc spędziłem w Londynie, żeby podreperować znajomość angielskiego i zgubić fatalny, grecki akcent.

— I udało się.

— Jeśli chodzi o podreperowanie znajomości języka — na pewno, ale za radą moich nauczycieli, akcentu świadomie nie zgubiłem. To właśnie ten akcent miał być, ich zdaniem, magnesem dla turystów. Grek rozumiejący wszystko, co się do niego mówi, ale niemiłosiernie kaleczący mowę Szekspira — oto ideał przewodnika po Grecji dla angielskich turystów. Jesteśmy dla Anglików spadkobiercami najlepszych tradycji europejskiej kultury, ale równocześnie dzikusami. Należy sprostać tym wyobrażeniom, jeśli chce się spełniać funkcję przewodnika.

— I jakie wnioski pan z tych rad wyciągnął?

— Akcentu nie zgubiłem, ale przestałem oprowadzać wycieczki. Pracuję teraz dla pana Zaddecka, mieszkam na wyspie, ale gdy przebywam w Atenach, zatrzymuję się w „Xanadu” nie tylko dlatego, że udziałowcem spółki jest pan Zaddeck, ale i przez wzgląd na sentymenty.

— Jeśli tak szczerze rozmawiamy, może powie mi pan, jak wyglądają Polacy w opinii Greków.

— Jeśli mam być szczerzy, przypomina ona opinię Anglików o Grekach. Niech mi pan wybaczy, że to mówię, ale Słowianie nie cieszą się tu uznaniem i szacunkiem, choć na dobrą sprawę większość Greków ma w żyłach sporo krwi zarówno słowiańskiej, jak i orientalnej. Wędrowali przez Grecję Persowie, wędrowały ludy słowiańskie, Germanie, Arabowie, Turcy. A ważne jest to, że nie czujemy się ani Persami, ani Słowianami, ani Germanami, ani Turkami, ale Grekami i zdajemy sobie sprawę z naszej wyższości

nad innymi narodami.

Wojdan już chciał przypomnieć Santopulosowi, że nie inaczej mówiła oficjalna propaganda grecka w czasie rządów „czarnych pułkowników”, kiedy więzienia były pełne postępowych greckich działaczy, a znany kompozytor Mikis Theodorakis przebywał na emigracji, ale właściwie jaki mógł być sens takiej dyskusji?

— Teraz jest pan zadowolony, pracując dla pana Zaddecka? — skierował rozmowę na inne tory.

— Tak. To wielki człowiek! I silny!... A bez siły nie da się niczego osiągnąć! W tym świecie, w którym żyjemy, nie wygrywają dobrzy, ale mocni — stwierdził Santopulos.

— Bokserzy? — spytał naiwnie Wojdan.

Santopulos udał, że nie zrozumiał złośliwości zawartej w tym pytaniu.

— Siła to nie tylko bicepsy, proszę pana, to nie tylko broń, ale także pieniądze i mózg. Pańska siła to na przykład talent. Słyszałem, że projektuje pan rozbudowę rezydencji na wyspie, to prawda?

— Prawda... Więc, wracając do naszego tematu, odstępuje mi pan swój pokój na dzisiejszą noc?

— Naturalnie. Chce pan przenieść wszystkie swoje rzeczy?

— Nie! Tylko piżamę, maszynkę do golenia i szczotkę do zębów. No i moje plany. Chciałem je jeszcze obejrzeć.

— Jeśli jest pan gotów, możemy zaraz pojechać na górę. Zamiany nie zgłaszam w recepcji, bo to ich nie interesuje. Pobudka o dziewiątej rano, dobrze?

— O której odjeżdżamy z hotelu?

— O dziesiątej rano będzie tu sekretarz osobisty pana Zaddecka i majordomus rezydencji — pan Dimitri Stawros ze swoją pomocą biurową, panną Dianą Morelli, Włoszką. Pan Stawros miał poprzednio biuro w Libanie, potem w Atenach, a teraz na dobre ulokował się na Erato.

— Nie zamierza wracać do Libanu?

— Tymczasem nie, choć znajdują się tam jeszcze dwie rezydencje pana Zaddecka — jedna po stronie maronickiej, w górach, nie opodal zatoki Dżunieh, a druga na południowych stokach gór, koło starej cytadeli Beaufort, w rejonie muzułmańskim. To Ain Gomorra, podobno pałac z bajki,

który jednak ucierpiał trochę w czasie izraelskiej ofensywy „Pokój dla Galilei”. Sądzę, że Erato zostanie stałą i główną rezydencją pana Zaddecka. Minęły te czasy, kiedy centrum Bliskiego Wschodu stanowił Bejrut. Tę rolę powinny przejąć Ateny.

— Wie pan, panie Santopulos, co mnie tutaj szczególnie fascynuje? Obecność mitologii w waszej codzienności. Gdybym miał ze sobą egzemplarz „Iliady” albo „Odysei”, pewnie przed snem oddałbym się lekturze... Na przykład wyspa Erato... Cóż to za nazwa! — godna Homera!

— W rezydencji na wyspie jest biblioteka, skompletowana przez małżonkę pana Zaddecka, panią Kleandrę Zaddeck. To piękna i niezwykła kobieta. Studiowała filologię klasyczną w Anglii. W bibliotece znajdzie pan na pewno dzieła Homera. Pani Zaddeck to nadzwyczajna osoba — cmoknął prostacko z zachwytu i pokiwał na boki głową, jakby wyrażał w ten sposób podziw dla małżonki swego wielkiego bossa.

— Więc o dziesiątej poznam pan Stawrosa i tę jego sekretarkę, pannę Morelli. A jeśli się nie zjawią?

— W imperium pana Zaddecka nikt się nie spóźnia. Jeśli dotąd nie zawiadomili hotelu, że przybędą o innej porze, będą na pewno o dziesiątej — uzupełnił informację, używając po raz pierwszy tego niezwykłego określenia „imperium pana Zaddecka”, jakby chodziło o cesarza. Wojdanowi przypomniał się wówczas epitet, jakiego użył jego przyjaciel w Bremie, mówiąc o Zaddecku — Wielki Kalif.

Potem pojechali windą i zamienili się pokojami — Wojdan zabrał tylko piżamę, maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów, a wychodząc zgarnął jeszcze rozłożone plany rezydencji na wyspie, pozostawiając metalowy rulon, otwartą walizkę i torbę. Nic tam szczególnie nie było — wszystkie dokumenty i pieniądze miał przy sobie. Santopulos zabrał jednak ze swojego pokoju neser — chyba nie zdążył się jeszcze rozpakować, bo w łazience nie było jego maszynki do golenia, ani szczoteczki do zębów, ani wody „after shave”... ale w szufladzie nocnego stolika pozostał rewolwer typu „Smith and Wesson” — „lekki jak powietrze — specjalny dla agentów ochrony, niezawodny w pewnych rękach”... Może kładąc się spać

eks-przewodnik stwierdził brak broni, ale nie chciał już niepokoić Polaka. A może był tak pewny bezpieczeństwa w hotelu „Xanadu”, którego udziałowcem, a może nawet właścicielem była spółka „Gedonic Co.”, że nie szukał rewolweru i nie wiedział, że pozostawił go w swoim poprzednim pokoju, którego okna wychodziły na plac Omonias?

Santopulos nie wierzył elektronicznemu zegarkowi i polecił, aby recepcjonistka obudziła go o ósmej rano, podając numer pokoju Polaka. Wielokrotne próby zawiadomienia go przez telefon, że minęła właśnie ósma, nie dały rezultatu. Recepcjonistka wysłała wówczas pod wskazany numer pokoju boya hotelowego, który zastał drzwi niezamknięte. Ktoś otworzył nocą drzwi z klucza, wszedł cicho do pokoju i zadał kilka ciosów sztyletem. Każdy cios był śmiertelny, powtórzono je więc albo dla pewności, albo działając rutynowo, a może z sadyzmu. Boy zastał Santopulosa bez życia, a całą pościel purpurową od krwi. Omal nie zemdleł choć chętnie oglądał brutalne i krwawe filmy w kinie i na ekranie telewizji.

W piętnaście minut później w hotelu zjawiała się policja.

4.

Stukanie do drzwi pokoju, w którym spał Wojdan, nie było natrętne. Wyglądało na to, że stuka albo Santopulos, albo pokojówka. Wojdan był jeszcze rozespany, kiedy wstawał z łóżka, powoli uświadamiając sobie, że za oknami ogląda Ateny i że niedługo poleci lub popłynie na południe — zależnie od tego jakiego środka lokomocji używa pan Stawros — na wyspę Erato.

Nie pytając kto puka, otworzył drzwi.

Został wówczas odepchnięty z całą siłą, aż oparł się plecami o ścianę, a pod nosem zobaczył lufy pistoletów maszynowych. Pokój zaroił się mundurowymi i cywilami. Obszukano go, czy nie ma broni, po czym dość prędko znaleziono w szufladzie nocnego stolika rewolwer, co ogromnie

uradowało policjantów. Zdaje się, że szukali jeszcze sztyletu, ale rozczarowali się — sztyletu nie było. Pozwolono mu wreszcie usiąść, a ktoś wyglądający na komisarza wszystkich policji całego świata zajął miejsce naprzeciwko, obracając w dłoniach jego portfel.

— Jak się pan nazywa? — spytał oberpolicjant po grecku, a gdy Wojdan nie zrozumiał, powtórzył to po angielsku.

— Bartosz Wojdan — wyjąkał mieszkaniec hotelu — architekt...

— Narodowość?

— Polak...

— Polak? — komisarz uniósł brwi, co na pewno nie wróżyło nic dobrego. — Gdzie znajduje się pański paszport?

— Na dole, w recepcji. Wczoraj przyjechałem do Aten...

— Więc to nie pan został zamordowany? — dziwił się dalej policjant, pozwalając sobie na niezbyt udany dowcip, po czym zapytał. — Dlaczego nie śpi pan w swoim pokoju?

— Przed pójściem do łóżek zamieniliśmy się z panem Santopulosem pokojami. On skarżył się, że nie zaśnie przy szumie samochodów na placu Omonias, a ja przeciwnie — lubię za oknami odgłosy ulicy...

— Po co pan przyjechał do Grecji?

— Wygrałem konkurs na projekt rezydencji na wyspie noszącej nazwę Erato, koło Kessary, na Dodekanezie. Zostałem zaproszony przez pana Simona Zaddecka...

— A ten pan, który spał w pańskim pokoju?

— To pracownik pana Zaddecka. Rewolwer należy także do niego. Zapomniał go widocznie zabrać, kiedy zamienialiśmy pokoje. Zresztą można go o to zapytać.

— Niestety, wątpię, czy nam odpowie. Ma kilka ran kłutych. Zamordowano go w łóżku. W pańskim łóżku, panie...

— Wojdan — odpowiedział architekt.

— Kiedy się rozstaliście?

— Po północy — zamykano już restaurację. Nie dostaliśmy nic na gorąco... Więc, mówi pan...

— Tak, mówię, że pan Santopulos nie żyje. Został zamordowany w pańskim pokoju i w pańskim łóżku.

— To trudne do uwierzenia...

— Tak się może wydawać, ale fakt.

— Mogę się ubrać?

— Tak, chciałbym tylko, żeby pan na chwilę poszedł ze mną do pokoju, gdzie leży jeszcze pan Santopulos, zanim zabrają go stąd do prosektorium. Dotykał pan rewolweru w szufladzie nocnego stolika?

— Nie. Zajrzałem do szuflady, ale rewolweru nie ruszałem

— Nie będzie więc tam pańskich odcisków palców?

— Na pewno nie!

— A będą odciski pana Santopulosa?

— Prawdopodobnie...

— Nie wycierał pan broni chusteczką?

— Nie — przecież w ogóle jej nie ruszałem.

— Długo znał pan pana Santopulosa?

— Od wczoraj. Czekał na mnie na lotnisku i przywiózł tutaj.

— Chodźmy więc do pańskiego pokoju, zanim zabrają denata. Gdzie są pańskie rzeczy?

— Zostawiłem wszystko w pokoju, w którym spał pan Santopulos. Może się jednak ubiorę...

— Za chwileczkę! Proszę teraz za mną. Przecież to kilka kroków, po drugiej stronie korytarza...

Na widok zamordowanego Wojdan poczuł, że robi mu się słabo. Z wdzięcznością przyjął szklanekę wody. Potem wskazał na walizkę i torbę jako na swoją własność.

— Przeszukamy bagaże i zwrócimy panu. Nic więcej do pana tu nie należy?

— Nic... to jest — był tu jeszcze metalowy rulon do chowania planów. Plany leżą u mnie na stoliku, ale ich oprawę zostawiłem. Nie widzę jej tutaj.

— To jedyny przedmiot, który panu skradziono?

— Musiałbym jeszcze zajrzeć do torby i walizki, ale na pierwszy rzut oka stwierdzam jedynie brak rulonu. Dobrze, że zabrałem z sobą plany.

- Jakie to były plany?
- Mówiłem już panu — rezydencja pana Simona Zaddecka na wyspie Erato. Wygrałem konkurs na projekt rezydencji.
- Pan Santopulos miał pana zawieźć na tę wyspę?
- Nie! O dziesiątej miał tu przybyć po mnie osobisty sekretarz pana Zaddecka, pan Stawros, majordomus rezydencji z wyspy Erato.
- Jeżeli się nie spóźni, powinien tu być za pół godziny. Chętnie z nim porozmawiam.
- Mogę się teraz ubrać?
- Tak. Teraz już tak. Potwierdza pan, że zamordowany w pańskim łóżku mężczyzna to Santopulos?
- Oczywiście! Potwierdzam. Tylko to nie „moje łóżko”. Po prostu spał w wolnym łóżku mojego pokoju, a ja spałem w wolnym łóżku jego pokoju. Chyba nie ma w tym nic niestosownego...
- Dobrze już, dobrze! Wszystko jasne! Niech się pan teraz ubierze. Napije się pan kawy?
- Z ochotą!
- Zaraz zamówię kawę do pańskiego pokoju i przy kawie spróbuje mi pan wszystko opowiedzieć. Na temat konkursu, pana Zaddecka i szczegółowo — co pan robił i z kim pan się spotykał wczoraj. Dobrze? Wszystko zaprotokolujemy.
- Naturalnie! Nie mam nic do ukrycia.
- W pół godziny później zjawił się rzeczywiście majordomus, Dimitri Stawros — postawny dżentelmen, ubrany z przesadną elegancją. Miał ciemne, głęboko osadzone oczy, oliwkową cerę, silnie zarysowane szczęki, orli nos i czarne, krótko ostrzyżone włosy, siwiejące na skroniach. Mówił wolno, pełnymi zdaniem, był opanowany, rzeczowy, solidny. Jego sekretarka była osobą bardzo młodą, mówiła po angielsku i niemiecku, po włosku i oczywiście po grecku. Stenografowała bardzo szybko i nie rozstawiała się z blokiem i długopisem. Miała urodę modelki, tlenione na blond włosy. Ubrana prosto, gustownie, ale w sposób, który podkreślał walory jej ciała. Ideał sekretarki w biurach wielkich koncernów i wielkich bossów.
- Rozmowa trwała prawie godzinę.
- Niestety, będę potrzebował pana Wojdana i pana Stawrosa w

komisariacie. Musicie, panowie podpisać zeznania — zakończył komisarz Nikos Zalokostas.

— Ja też? — zdziwił się Stawros.

— Tak. Chodzi o potwierdzenie zeznań pana Wojdana w sprawie rezydencji pana Zaddecka. W końcu morderca zabrał metalowy rulon, prawdopodobnie sądząc, że zabiera plany. Może nic to nie oznaczać, ale może być jakimś śladem.

— Nikt nie morduje przecież człowieka, aby zdobyć plany, które nie stanowią tajemnicy, jeśli projekt znajdzie się w stadium realizacji — zaproponował Stawros.

— Niemniej tak to wygląda, choć mogą to być tylko zamierzone pozory albo przypadek. Nie wiem, czy państwo zwrócili uwagę, że morderca mógł nie mieć wcale zamiaru uśmiercenia Santopulosa. Jemu chodziło raczej o pana, panie Wojdan. Chyba to pan miał zostać zaszyty w łóżku hotelu „Xanadu”.

— Ja? — zdziwił się architekt. — Poza Santopulosem nie znalazłem tu nikogo, a Santopulosa dopiero od wczoraj. Nikomu się nie naraziłem, nic o nikim nie wiem, nie znam żadnej tutejszej tajemnicy.

— Wierzę panu, panie Wojdan. Nie wątpię, że nikomu się pan nie naraził i nie znał niczyich tajemnic, ale logika zdarzeń bywa niekiedy zaskakująca. Może pan Zaddeck ma jakichś nieprzyjaciół, którzy sądzą, że zabijając pana uderzą w niego?...

— Drogi panie komisarzu, sądzą, że żartuje pan, mówiąc o wrogach panna Zaddecka. Jest to szlachetny i mądry człowiek, który uczynił dotąd tylko wiele dobrego. Sugestie pańskie, ośmielę się zauważyć, idą chyba za daleko.

— Proszę mi wybaczyć, panie Stawros, ale jako policjant prowadzący śledztwo, muszę rozważyć wszystkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne okoliczności. Pan Santopulos nie zginął w wypadku — to było zaplanowane morderstwo. Morderca dysponował nawet kluczem do pokoju...

— Tak, to prawda — skinął głową Stawros. — Nie mniej jeśli chodzi o pana Zaddecka, prosiłbym o wykluczenie tak daleko idących sugestii.

— A pan, panie Wojdan, nie przypomina sobie nic więcej, żadnego dodatkowego szczegółu? — pytał policjant, przyjmując uwagi Stawrosa za oczywiste, ale nie warte komentarzy.

— No, może jest jeszcze coś, o czym panu nie powiedziałem, ale to chyba nie ma żadnego znaczenia — uzupełnił swe zeznania Wojdan, któremu nagle przypomniały się spostrzeżenia w barze.

— Nigdy nie wiadomo, panie Wojdan... Co to za szczegóły?

— Zanim spotkałem się z panem Santopulosem w hallu hotelowym i zanim poszliśmy na spacer aleją Stadiu, wypilem w barze kawę i koniak. Poznałem tam przelotnie parę młodych ludzi, którzy podawali się za Niemców, odbywających podróż poślubną.

I Wojdan opowiedział o swojej rozmowie z Hansem i Ursel vel Ulli... Mimo że obok znajdował się policjant protokołujący ich rozmowę, komisarz wyjął z kieszeni notes i coś w nim zapisał. Opanowany cały czas Stawros, zaczynał się niecierpliwić, jakby chciał dać do zrozumienia policjantom, że poświęcają zbyt wiele uwagi tak mało znaczącemu przypadkowi, jak zabójstwo jednego z „goryli” Simona Zaddecka. Jego sekretarka, panna Morelli, także wyjęła z torebki bloczek i coś w nim zapisała nieczytelnymi dla niewtajemniczonych hieroglifami stenogramu.

Wreszcie komisarz schował notes, dał znak protokolantom, że na dziś koniec i wstał z fotela.

— Za jakieś trzy godziny prosiłbym państwa do nas. Trzeba będzie złożyć podpisy. Panu, panie Wojdan, zwracamy bagaże. Może się pan tu rozgościć jak u siebie. Natomiast pana, panie Stawros, a także panią, panno Morelli, poproszę o zatrzymanie się do jutra. Najlepiej tutaj, w tym hotelu. Rano zawiadomię państwa, czy mogą już państwo odjechać z panem Wojdanem.

— Mamy wszyscy pozostać w Atenach? — Stawros był niezadowolony.
— To spowoduje duże koszty. Jacht pana Zaddecka „Semiramis” czeka na nas w Pireusie w „Zeas Yacht Anchorage”. Pan wie, komisarzu, jaki tam tłok! Gdzie możemy pana znaleźć, w którym komisariacie?

— Nie wiem jeszcze kto przejmie sprawę, ale z uwagi na to, że pan Zaddeck ma obywatelstwo libańskie, pan Wojdan polskie, panna Morelli

włoskie, a spotkana przez pana Wojdana para to Niemcy, proszę na ulicę Halkondili.

— To komisariat do spraw cudzoziemców, natomiast zabity to rodowity Grek z archipelagu, a ja jestem najprawdziwszym Ateńczykiem!

— Tak, ale to upraszcza sprawę i w jednym miejscu załatwimy wszystko. Ja tam już będę czekał.

— Za trzy godziny?

— Nie, będę tam wcześniej, ale proszę przyjść o trzeciej po południu. Dobrze? Wiem, że państwo będą punktualni.

— A więc o trzeciej po południu — zgodził się Stawros.

Panna Diana Morelli znów coś zapisała w bloczku.

Czas na śniadanie już dawno minął, dlatego po wyjściu policjantów Stawros zatelefonował do recepcji, żądając dwóch dodatkowych pokoi dla siebie i sekretarki oraz zamawiając stolik w restauracji na godzinę drugą po południu.

— Teraz mamy czas na kąpiel i wypoczynek przed obiadem. Jeśli zdążymy, poproszę pannę Dianę, żeby pokazała panu Ateny, panie Wojdan. Wejdźcie na Akropol — być w Atenach i nie odwiedzić Akropolu, to jak odwiedzić Paryż i nie zajrzeć na plac Pigalle. A wieczorem spotkamy się w trójkę w jakiejś tawernie w dzielnicy Plaka. — Co radzi panna Morelli: „Tawanię”, „Archontissę” czy „Zoom”?

— Zacznijmy od „Zoom”, a potem może zajrzemy do „Panoramy” posłuchać buzuki. Dawno tam nie byłam.

Do drzwi zastukał portier. Gnąc się w ukłonach, przyniósł kilka kluczy do wolnych pokoi. Stawros wybrał dwa, w tym samym korytarzu, przy którym mieszkał Wojdan i gdzie popełniono morderstwo. Kiedy Stawros i piękna sekretarka opuścili pokój Wojdana, a on sam padł na fotel, próbując podsumować wrażenia całego przedpołudnia, wróciła świadomość jego krótkiej znajomości z sympatycznym Grekiem, który w głupi i okrutny sposób został zamordowany w pokoju naprzeciwko, ocalając być może w ten sposób życie polskiego gościa. Elegancki Stawros nawet jednym zdaniem nie wyraził ubolewania z powodu tej śmierci. Być może w imperium Zaddecka liczyli się tylko żywi? Żywi i mocni?

5.

Kiedy odwiedzili komisariat policji do spraw cudzoziemców, zostali zaproszeni do gabinetu, gdzie prócz ich „starego” znajomego, pana Zalokostasa, poznali jeszcze dwóch innych policjantów w cywilnych garniturach. Wymienili kilka uwag, podpisali protokoły — spisane po angielsku i grecku, a kiedy jeden z obecnych tam tajniaków wdał się w rozmowę ze Stawrosem, Zalokostas poprosił Wojdana do sąsiedniego pomieszczenia.

— Chciałem pana prosić, panie Wojdan, o pomoc w przygotowaniu pamięciowego portretu tej pary, którą spotkał pan przy barze. Być może nie będzie to jednak potrzebne. W naszej kartotece cudzoziemców znalazłem coś, co może spełnić to samo zadanie.

Pogrzebał w rozłożonych na biurku papierach i wydobył kartonik z naklejonym amatorkim zdjęciem. Opis zdjęcia był po nowogrecku, co uniemożliwiło Wojdanowi zapoznanie się z treścią. Ale zdjęcie było wyraźne, zrobione ukrytą kamerą, chyba z okna samochodu. Zbliżenie w planie amerykańskim ukazywało parę uśmiechniętych młodych ludzi — chłopaka i dziewczynę. Chyba nawet znajdowali się w jakimś liczniejszym towarzystwie, ale wykadrowano i powiększono tylko dwie twarze. Już na pierwszy rzut oka Wojdan ich rozpoznał. To byli właśnie oni — Hans i Ulli...

— Zgadza się. To oni!... — skinął głową, przypatrując się zdjęciu, potem podniósł pytający wzrok na komisarza. — Kim są?

— Wjechali do Grecji legalnie, ale później dostaliśmy z zachodnioniemieckiej policji listy gończe. Niestety — para „rozpłynęła się” nam na terenie Grecji. Ślad urwał się. Nie wiemy, gdzie się zatrzymali. Okazuje się, że nocowali wczoraj w hotelu „Xanadu”, ale opuścili hotel w nocy. Kim są? W każdym razie stanowią parę bardzo niebezpieczną. Jeśli ich pan jeszcze kiedyś spotka, radzę nie odnawiać znajomości. Zaczynali jako ideowi anarchiści czy trockiści. Tak to nazywają. Kierowali się wskazaniem, które rozgrzeszały ich moralnie w wypadku dokonania każdego gwałtu.

— Terrorysty?

— Kiedyś fanatycy, później chyba przyjmowali zadania za odpowiednią zapłatą. Bardzo wysoką, ale nie wyrzuconą w błoto... To zawodowcy.

Dotrzymali zobowiązań. Chyba pierwszy raz zdarzyło im się popełnić taki błąd, żeby zabić kogoś innego i wziąć w dodatku pusty rulon bez planów. Chyba, że chodziło im rzeczywiście o Santopulosa. Kto to może wiedzieć?... Pan zna swego zleceniodawcę — pana Zaddecka?

— Nigdy go nie widziałem, niewiele o nim wiem. Pan rozumie, komisarzu — brałem udział w konkursie na rezydencję, na podstawie nadesłanej mi do Polski ogólnej dokumentacji. Wyspę znam z fotografii. Nie rozumiem, komu mogło zależeć na zabiciu mnie. Myślę, że w grę wchodzi raczej przeszłość pana Santopulosa. Był chyba „gorylem” pana Zaddecka, zgadza się?

— I tak, i nie — w ścisłej ochronie są zazwyczaj ludzie bez pretensji intelektualnych, a w hotelu „Xanadu” utrzymują, że Santopulos takie pretensje miał. Należał raczej do agentów firmy „Gedonic Co.”, która siedzi w kieszeni pana Zaddecka.

— Właśnie, co to za firma?

— Drogi panie Wojdan, na to pytanie musi sobie pan sam odpowiedzieć, kiedy już zamieszka pan na wyspie. Ma pan wizę na trzy miesiące — oczekuję pana tutaj, kiedy będzie pan wracał. Chyba, że przedłuży pan wizę... Tymczasem muszę panu podziękować za okazaną nam pomoc. Mamy kilka nici do kłębka — jedna z tych nici to ta para niemieckich anarchistów, ale to tylko hipoteza. Rzeczywistość płata niekiedy figle — będziemy pewni, gdy ustalimy motyw. Tymczasem ich jeszcze nie znamy. Jutro płyniecie na jachcie „Semiramis” na wyspę?

— Jeśli pan zezwoli...

— Sądzę, że nie będzie przeszkód. Gdyby miał pan jakieś kłopoty, proszę telefonować do centrali policji dla cudzoziemców i prosić komisarza Malamosa — on będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć. Niech pan sobie zapisze — pan Malamos. To jeden z tych, którzy rozmawiają teraz ze Stawrosem. Jakie macie plany na dziś?

— Zwiedzanie Akropolu, a wieczorem kolacja na Placu i słuchanie buzuki.

— Życzę więc powodzenia. Kiedyś czytałem tylko o Polsce w gazetach, teraz mamy turystów z Polski, no i trochę kłopotów z pańskimi rodakami.

Ale nie w moim wydziale, Bogu dzięki. Jest pan pierwszym Polakiem, z którym spotkałem się bezpośrednio na gruncie służbowym i z tego spotkania wynoszę jak najlepsze wrażenia. Jeśli będzie pan miał kłopoty, spróbuję panu pomóc, ale przede wszystkim proszę zachować ostrożność.

— Dziękuję, panie komisarzu. W tej sytuacji pozostaje mi tylko cieszyć się, że jestem tu jako poszkodowany i zagrożony, a nie podejrzany.

— Ach, każdy z nas jest zawsze o coś podejrzany, zależy tylko od punktu widzenia i okoliczności — jedni mniej, drudzy więcej. Taka jest zasada pracy policji — podejrzewać wszystkich, a potem drogą eliminacji oczyszczać jednych, a obciążać drugich. Dziękuję panu!

6.

Kiedy Stawros pojechał do Pireusu, gdzie na przystani „Zeas” cumował jacht „Semiramis”, Wojdanem zaopiekowała się panna Morelli. Czasu mieli niewiele — muzeum na Akropolu zamykano o piątej po południu. Zdążyli jeszcze zrobić sobie wspólne zdjęcie pod Partenonem, zajrzeć tu i tam i dołączyli do tłumu schodzącego w dół. Wówczas Wojdan szepnęła dziewczynie, że zamierza skraść jakiś odłamek ruin.

— Może to głupie i snobistyczne, ale chciałbym mieć taki kamyczek na biurku. Ilekroć spojrzę na niego, przypomni mi się nasz spacer po Akropolu.

— Niech się pan po prostu schyli i weźmie. Tak robią wszyscy!

— Wolno tak zrobić? Przecież w ten sposób rozbiorą wkrótce cały Akropol!

— Tak mogłoby się wydawać, ale przecież nie chodzi o kolumny, tylko o małe kamyki, a tych przywozi się tu co rano kilka ciężarówek wprost z kamieniołomów. To nawet nie oszustwo — turyści mają prawo mówić potem znajomym, że to autentyczny kamień z Akropolu. Gdyby gospodarze tak nie postępowali, wkrótce rzeczywiście nie byłoby ani Partenonu, ani Erechtejonu, ani Propylei. Zginęłoby pewnie całe wzgórze.

Schylił się więc i porwał kamyczek, ukradkiem chowając go w kieszeni. Zauważył później, że wielu turystów czyniło podobnie — trochę go to zawstydziło, ale przeważył sympatyczny nastrój, który podtrzymywała Diana Morelli. Obejrzelі jeszcze kilka miejsc przypominających antyczne dzieje Aten i wylądowali po dłuższym spacerze w jakiejś nastrojowej kawiarence. Mieli jeszcze trochę czasu do spotkania ze Stawrosem w tawernie w dzielnicy Plaka.

— Zna pani dobrze Ateny? — pytał Polak.

— Ach, tylko na szlaku turystyki i biznesu. Szlak turystyczny poznałam z potrzeby ducha, a szlak biznesu — spełniając różne funkcje służbowe. Mój pobyt na wyspie to przede wszystkim załatwianie lawiny spraw. Na szczęście płacą mi dobrze, tak że mogę zawsze ulokować coś w banku „na gorsze czasy”, a równocześnie pracą zabijam nudę. Pani Kleo, małżonka pana Zaddecka, dba o to, aby wyspę odwiedzali interesujący ludzie. Zawsze są tam jacyś artyści, poeci, nawet filozofowie, ale to tylko snobizm, a nie potrzeba wewnętrzna. Zostają więc filmy video, barek, plaża.

— Czuje się pani samotna?

— Tylko w filmach wielu biznesmeni żenią się z sekretarkami. Chętnych do przeżycia przygody jest wielu, co drugi gość na wyspie, ale trudniej o nawiązanie przyjaźni. Pani Kleo skończyła filologię klasyczną, zna kilku pisarzy, lubi obracać się w ich towarzystwie. Ja zaliczyłam tylko rok historii sztuki, ale poza tym wiele różnych kursów i egzaminów z dziedziny języków obcych, prowadzenia kancelarii, obsługi komputerów i chyba przyniosło mi to większe korzyści niż dyplom historyka sztuki. Pan Stawros uważa, że jestem główną podporą kancelarii, choć pracują tam prócz mnie jeszcze trzy osoby.

— Mówi pani o kancelarii pana Zaddecka czy o kancelarii firmy „Gedonic Co.”?

— To dość skomplikowane, zostawmy więc ten temat. Jako lojalny pracownik wymazuję z pamięci wszystkie sprawy służbowe, kiedy kończę pracę. I dobrze — mam bowiem wówczas wolną głowę dla spraw osobistych.

— Mówi więc pani, że życie na wyspie znamionuje nuda?

— Może nie „życie na wyspie”, ale „życie towarzyskie na wyspie”. Mówiłam panu, że mam dużo pracy i praca ta zabija nudę. Nie mamy tam godzin służbowych — w dosłownym tego słowa znaczeniu. Bywa, że pracuję po południu, wieczorem, nawet w nocy...

— Czy to pani pierwsza praca?

— Ach nie — pan Zaddeck znalazł mnie w Libanie i przy pomocy pana Stawrosa wyciągnął z dość skomplikowanej i trudnej sytuacji, choć równocześnie pomogli mi wcześniej żołnierze syryjscy. Zafascynował mnie Liban po zapoznaniu się z losami ekscentrycznej lady Stanhope, która w ubiegłym stuleciu wybudowała tam sobie orientálną rezydencję. Wie pan — aura przygody, tajemniczości, egzotyki. Potem było kilka książek o podłożu orientálnym, a wśród nich powieść Mary Stewart — bardzo popularnej autorki „powieści dla dorastających panienek” — właśnie o przygodach takiej angielskiej panienki w Bejrucie i pod Bejrutem. To musiało być kiedyś piękne miasto — widziałam je już w ruinie. Wybrałam się tam z ekspedycją zorganizowaną przez pewne młodzieżowe pismo. Chodziło o Baalbek i tajemnice ogromnych bloków skalnych, na których wzniesiono świątynię słońca w starożytności. Bloki są jednak tak ogromne i tak dokładnie obrobione, że nikt z naukowców nie potrafi do dziś odpowiedzieć, kto je tam ułokował, w jaki sposób i w jakim celu — bo wzniesienie świątyni to czasy znacznie późniejsze. Słyszał pan o tym?

— Oczywiście. Wszyscy autorzy półnaukowych rozpraw, poczynając od Dänikena, mówią przy tej okazji o „przybyszach z gwiazd”. Autentyczni naukowcy natomiast rozkładają bezradnie ręce — nie wiedzą kto, jak i po co to zbudował. Ekspedycja, do której pani dołączyła, szukała odpowiedzi na te pytania?

— Tak, ale z góry ustalono, że uczynili to z całą pewnością kosmici, należało więc szukać tylko ich śladów.

— I co znaleziono?

— Ekspedycja liczyła — razem ze mną — pięć osób. Udało się uzyskać zgodę władz libańskich i władz syryjskich, bo Baalbek leży w tej części doliny Bekaa, którą obsadzili w czasie ofensywy Izraela wojska syryjskie.

Ale Syryjczycy nie gwarantowali bezpieczeństwa. Co jakiś czas wybuchały tam bowiem walki z oddziałami partyzanckimi różnych sekt szyickich, a w wejściu do doliny ulokowały się osady maronickie. No i dwóch z naszych poszukiwaczy śladów „kosmitów” przypląciło to życiem. Natomiast trójka, w której znalazłam się i ja, została porwana. Trzymano nas w potwornym lochu, w warunkach, przy których więzienia Świętej Inkwizycji wydać się mogą sielanką. Po trzech dniach uwolnili nas żołnierze syryjscy. Byłam potem w Syrii i jakiś czas towarzyszyłam trzyosobowej grupie poszukującej dawnych karawanserajów arabskich na szlakach karawan przez Pustynię Syryjską.

— Trzyosobowa grupa, a więc dwóch archeologów i pani jako script-girl?

— Coś w tym rodzaju — szefem był Kanadyjczyk, a do pomocy miał architekta, znawcę dawnego budownictwa arabskiego. Ten architekt był jak pan — Polakiem. Kanadyjczyk zginął w tajemniczych okolicznościach, a Polak pomógł mi potem dostać się do Damaszku i tam wybawił mnie z kłopotów pan Zaddeck. Tak trafiłam na Erato...

— Nie miała pani dość przygód?

— Tak mi się wydawało — dlatego właśnie przystałam na pracę u ZaddECKa, ale wówczas zjawiała się monotonia, a wreszcie i nuda. Nie wiem co lepsze — choć nie chciałabym jeszcze raz przeżyć tego, co przytrafiło mi się w dolinie Bekaa, ani tego, co zdarzyło się na Pustyni Syryjskiej. Właśnie, żeby mnie trochę „przewietrzyć”, pan Stawros był tak uprzejmy zabrać mnie z sobą do Aten. Powiało tu nagle atmosferą dawnych moich lektur i dawnych moich przygód.

— Ma pani na myśli dramat Santopulosa?

— Wszystko po trochu.

— Mnie również?

— Pana również... Jak ma pan właściwie na imię?

— Bartosz.

— Jak? — zaczęła się śmiać. — Co to za imię?

— Chyba odmiana Bartłomieja. Rozumie pani? Po włosku Bartholomeo!

— Ależ to ładne! Mistrz Bartholomeo!... Mistrz Bartosz... — znów zaśmiała się. — Będę mówiła do pana „signor Bartholomeo”, dobrze?

— Bardzo proszę. A ja — „signorina Diana”...

— Może będzie lepiej: „mister Barth i miss Diana”... A to się pan Stawros zdziwi, kiedy to usłyszy!

— Wypijmy więc — jak nazywa się to wino?

— „Mavrodaphne”...

— A więc — za nasze spotkanie!

— Za nasze poznanie!

Mówili potem o rzeczach zupełnie błałych, niedotyczących ani sprawy śmierci Santopulosa, ani wyspy Zaddecka. Wojdan zapłacił i już w dobrej komitywie, jak starzy znajomi ruszyli w miasto, kierując się w stronę położonej u stóp Akropolu Plaki — dzielnicy malowniczych zaułków, wąskich, spadzistych uliczek, niezliczonych restauracyjek i kawiarenek. Tu właśnie umówili się ze Stawrosem.

Potem, przy akompaniamencie buzuki, popijając koniak „Metaxa” i jadając regionalne dania kuchni greckiej, cała trójka zapomniała jakby o wydarzeniach dnia, nie nastrajających przecież do podtrzymania dobrego humoru. Każdy z nich zresztą mógł wracać do tych faktów z różnej, bardzo osobistej perspektywy. Późnym wieczorem, kiedy od Zatoki Saronńskiej powiało nagle chłodną bryzą, Wojdan odczuł, że ktoś mu się pilnie przygląda. Diana Morelli tańczyła akurat na parkiecie ze Stawrosem — zawsze nieskazitelnie eleganckim i chyba zadowolonym z tak bliskiej obecności pięknej, młodej dziewczyny. Diana rozpuściła włosy, osunęła buciki — była bosa, opalona na brąz, mrużyła oczy od blasku światła, a może nadmiaru wypitego alkoholu, szmaragdowy kolor jej sukni kontrastował z opalenizną i złotem jej włosów. Jeśli nie jest już jego kochanką — pomyślał Wojdan — dziś w nocy zastuka do mojego pokoju. Jeśli są razem — zaraz stąd oboje uciekną... I znów odniósł wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Zaczął więc pilnie penetrować wzrokiem tłumek gości tawerny. I tak natknął się na twarz tęgiego i barczystego mężczyzny, z którym zderzył się wczoraj wieczorem, wychodząc z barku hotelu „Xanadu”: Łysy, brodaty, bardzo pewny

siebie. Siedział w kącie przy miniaturowym stoliku. Wojdan nie był pewny czy nieznajomy nosił wczoraj okulary o przyciemnionych szklach. Jeśli nie wczoraj wieczorem, znaczyło, że może widział go już kiedyś wcześniej i zarejestrował to podświadomie? Obecnie okularów nie miał. Bartosz postanowił podejść do obcego, przedstawić się i bezczelnie o coś zapytać, choćby w ten sposób: „Czy my się skądś znamy? Zdaje się, że spotkaliśmy się w hotelu „Xanadu”?... — ale właśnie przestała grać orkiestra. Tłum schodził z parkietu. Diana rzuciła mu się na szyję i pocałowała w policzek.

— Było wspaniale, mister Barth!...

Co było wspaniałe? Nie wyjaśniła. Chyba szumiało jej w głowie wino, pomieszczone z koniakiem „Metaxa” — bardzo niebezpieczna mieszanka! Stawros zachowywał się tak, jakby swobodne gesty Diany traktował jako coś zupełnie naturalnego. Przecież zabrał ją właśnie w tym celu z wyspy, żeby „rozluźniła się”, uciekła od wyspiarskiej nudy! W każdym razie nazywanie Wojdana „Barthem” i całowanie go w policzek zupełnie mu nie przeszkadzało. Natomiast Polak wolał, żeby zwracała się do niego po nazwisku, a nie tym osobistym, wymyślonym mianem. A może nauczyć ją mówienia po prosu „Bartek” — to przecież nic trudnego! Jeżeli jednak dziewczyna znów wybuchnie śmiechem przy próbach wymówienia jego imienia w zdrobniającej formie? Nie, lepiej już brzmi „Wojdan”. Tak pochłonęły go te rozważania, że kiedy przypomniał sobie o brodaczu — stolik by już pusty! — No tak, ja też mam już niezły szmerek w głowie! — stwierdził Wojdan pod nosem. — Czas kończyć wieczorek zapoznawczy...

Zauważył, że kiedy Stawros płacił, Diana szybkim ruchem sprzątnęła ze stołu butelkę koniaku „Metaxa” i wsunęła ją do turystycznej torby z widokiem Akropolu. Znaleźć taksówkę nie było trudno. Wkrótce byli w hotelu Nowy recepcjonista o mały włos wręczyłby mu klucz od pokoju, w którym zamordowano Santopulosa, ale w porę zauważyła to kasjerka, tłumacząc, że Polak zajmuje apartament od frontu.

— Policja zdjęła już pieczęcie z drzwi pokoju, w którym zginął pan Santopulos? — zainteresował się Wojdan.

— Tak, dziś po południu — wyjaśniła uprzejmie kasjerka.

Pożegnali się na piętrze i rozeszli do swoich pokoi. Wojdan natychmiast rozebrał się i wziął prysznic, potem wypił całą butelkę „Alka-Selzer”... Szmer pod czaszką mijał... Ba, ale właśnie wówczas ktoś delikatnie zastukał do jego drzwi. Był tak nieostrożny, że nie pytając „kto tam” rozwarł je na oścież. Miał szczęście! Nie byli to gangsterzy ani anarchiści, ani policja, ale Diana Morelli. Była boso (nie pamiętał już czy tawernę opuściła w bucikach czy także boso), otulona lekkim szlafrokiem. W dłoni — jak „boarding pass” na pokład samolotu — trzymała zabraną z Plaki butelkę koniaku.

— Wpuścisz mnie, mister Barth? — zapytała i uśmiechnęła się czarująco.

Wkrótce byli już w łóżku, co uchroniło Polaka od spełnienia następnych toastów, po których prawdopodobnie „urwałby mu się film”. Obudził się, kiedy wskazówki zegara wskazywały pięć po czwartej rano. Przez otwarte okno dolatywały odgłosy ulicy. Neony jeszcze się paliły, ale niebo jaśniało. Chyba obudził go chłód, byli zupełnie nadzy, a cała pościel z łóżka leżała na podłodze. Zawinięta w tej pościeli spała Diana i chociaż wiele dziewczyn po takiej porcji alkoholu nie wyglądałoby uwodzicielsko, blondwłosa Włoszka stanowiła jaskrawe zaprzeczenie tej reguły. Aby nie zamarznąć, stoczył się z łóżka także na podłogę, ale wówczas ciepło ciała panny Morelli i wszystkie jej uroki spowodowały, że przygarnął ją do siebie...

Potem zapadł w głęboką, mroczną przepaść, w której chyba przebywał długo, bo dopiero przed samym przebudzeniem nawiedził go sen. Śniło mu się, że stoi w oknie i ogląda przechodniów — karzełków na placu Omonias. Nagle jeden z karzełków podniósł głowę i Wojdan zobaczył oblicze łysego brodacza. Przypomniawszy sobie — jak to we śnie — że jest nagi. Cofnął się szybko i spojrzął na łóżko (więc jednak nie na podłogę!) — na łóżku, ogromnym jak typowe „letto matrimoniale”, w apetycznej pozie, ale zasłonięta po czubek nosa kołdrą, spała Diana Morelli. Jej złote włosy (prawdopodobnie farbowane) tworzyły wokół głowy pełną blasku aureolę. Wówczas — wciąż we śnie — okazało się nagle, że nie są sami w pokoju! W ciemnym kącie siedział w fotelu Santopulos, a spływająca z podgardla

krew wydawała cichy odgłos spadających kropel — tap! tap! tap!

Obudził się!...

Wcale nie stał przy oknie, ale spał dalej na podłodze, owinięty kołdrą. Diany Morelli w pokoju nie było. Nie było również „letto matrimoniale”, ale zwykły tapczan. Pusty. Jedyne ślad po dziewczynie — to zapach jej perfum i niedokończona butelka koniaku! Słońce stało już dość wysoko. Spojrzał na zegarek — wpół do dziewiątej! Do pokoju stukał właśnie Stawros, zapytując przez drzwi, czy żyje... Odpowiedział, że żyje, ale jeszcze nie bardzo zdaje sobie sprawę, gdzie się znajduje.

— Jest pan w sercu Aten, panie Wojdan! Niech pan wyjrzy przez okno! A potem proszę wziąć prysznic, ogolić się i zejść na dół — może już z pańskim bagażem. Siedzimy z panną Morelli w restauracji i czekamy na pana! Zaraz po śniadaniu — odjeżdżamy!

Kiedy zszedł na dół, znalazł Stawrosa w tak samo nienagannym stanie, jak wówczas, gdy Grek zjawił się wczoraj w hotelu. Pora była zresztą ta sama. Dziesiąta rano. Diana wydała mu się świeżutka, wyspana, elegancka i śliczna — nie można było nawet podejrzewać, że wczoraj, właściwie już dziś — tańczyła boso w tawernie, a potem miała przygodę z polskim architektem, którego nazwała „mister Barth”. Chyba o tym już zapomniała, bo z czarującym uśmiechem zapytała go niewinnie:

— Jak się spało, panie Wojdan?

7.

A jednak nie odpłynęli przed obiadem, jak zapowiadał Stawros. Obiad zjedli na statku, ale przycumowanym jeszcze do nabrzeża. Potem Stawros załatwił kilka telefonów z kabiny kapitana, zapowiedział swój powrót za „co najmniej dwie godziny” i wybiegł nieomal po trapie pokładu do czekającej już taksówki, zabierając ze sobą Dianę Morelli.

— Dla państwa to się nawet dobrze składa — ocenił sytuację kapitan, dopijając filiżankę kawy. Siedzieli w dwójkę z Wojdanem w dość obszernej

mesie, przeznaczonej dla gości statku. Rytuał nakazywał, aby w posiłkach uczestniczył kapitan, co pewnie początkowo spełniał niechętnie, ale obecnie już do tego przywykł. Nazywał się Salvatore Montaldo — był Włochem z Kalabrii, ale na pierwszy rzut oka charakteryzowała go bardziej angielska niż włoska powściągliwość, chociaż miał urodę gwiazdy filmowej starej daty — powiedzmy Charlesa Boyera, jeśli ktoś go jeszcze pamięta, albo Josepha Cottena.

— Dlaczego powinno nas cieszyć późniejsze wyjście w morze? — zainteresował się Wojdan.

— Mamy niezbyt korzystne prognozy meteo — trochę nas pokiwa. Jak na zwykłe etezje, to dość silny wiatr, a może się wzmóc. Może uda się pasażerom przespać całą podróż, a rano przyniesie zapewne uspokojenie choć martwą falą długo jeszcze będziemy odczuwać... — mówił wolno, wyraźnie, dobrą angielszczyzną.

— Co to takiego „etezje”?

— Stałe wiatry z północy, nazywane przez romantyków „greckimi pasatami”. W starożytności ułatwiały żeglugę na obszarze całego archipelagu. Wieją od kwietnia do października.

— A od października do kwietnia?

— O, w tym czasie potrafi być nieprzyjemnie! Kiedyś był to okres zamknięty dla żeglugi, choć rybacy, piraci i różni ryzykanci nigdy nie przyjmowali do wiadomości oficjalnego zakazu żeglugi. Dziś wprawdzie pływa się o każdej porze roku, ale późna jesień, cała zima i wczesna wiosna to okres nieprzyjemny — z reguły połowa pasażerów choruje, nawet na dużych statkach wycieczkowych.

— A na „Semiramis”?

— Statek jest stabilny, ma potężne maszyny, budowany specjalnie na krótką falę Morza Egejskiego czy Adriatyku. Pływaliśmy już na „Semiramis” zimą, na zabawę sylwestrową do Monte Carlo, ale już następnego roku pani Zaddeck wołała samolot i to nie sportowy samolot męża, ale oficjalny boeing — via Ateny i Paryż.

— No cóż, bogaci ludzie lubią wygodę.

— Nie wszyscy. Pan Zaddeck podróżuje samolotami ze względu na szybkość podróży powietrznej. Nie należy do tych, którzy wybierają się w

głąb dżungli pod warunkiem, że oczekują ich tam apartamenty w „Hiltonie”. W Bejrucie mieszkał jakiś czas na samej „zielonej linii” dzielącej obszar kontrolowany przez Falangę i obszar muzułmański. To odważny człowiek, nie boi się ryzykować ani pieniędzy, ani życia — chyba dlatego udają mu się interesy.

— Lubicie go?

— Chyba nie wypada tak stawiać pytania. Jest szefem — to nie ma nic wspólnego z lubieniem lub nie lubieniem. Wszyscy mu coś zawdzięczają, dla wszystkich stanowi oparcie. Gdyby go nie było, cała firma rozleciałaby się w ciągu jednej doby.

— Mówi pan o firmie „Gedonic Co.”?

— Ach nie! Firma to sam pan Simon Zaddeck. „Gedonic Co.” — to tylko jedno z przedsiębiorstw.

— Jutro rano zobaczą więc jego imperium.

— Nie, myli się pan. Jutro zobaczy pan wyspę i jego rezydencję, a nie imperium. Imperium pana Zaddecka nie ma granic — jeśli już o to chodzi. „Semiramis” to także terytorium pana Zaddecka. Chce pan zwiedzić statek? Pokażę go panu — to z całą pewnością luksusowa zabawka, ale równocześnie unikatowy produkt jednej z włoskich stoczni, stanowiący przykład nowoczesnej techniki, wybiegającej dalej niż dwudziesty wiek. To pana zainteresuje również ze względu na pewne rozwiązania architektoniczne. Słyszałem, że jest pan architektem, to prawda?

— Zgadza się.

— „Semiramis” projektowali architekci włoscy, specjaliści od takich morskich hotelików. Co wydaje mi się tu szczególnie warte zwrócenia uwagi, to ekonomika miejsca. W końcu wszystko miało być wciśnięte w wymiary kadłuba, podporządkowane stateczności i wibracji, a wewnątrz odnosi się wrażenie, jakby projektanci dysponowali powierzchnią i kubaturą w sposób absolutnie nieograniczony. Niech pan zwróci uwagę na kolorystykę, na konsekwencję wystroju wnętrza. Niczego nie ma tu za wiele, nieobecny jest przepych — tak typowy na statkach, którymi podróżują ludzie bogaci. Można połączyć funkcjonalność i prostotę ze zindywidualizowaną fantazją. Na „Semiramis” nie ma dwóch kabin takich samych... Mogę panu pokazać, zanim zjawią się goście...

— Goście? — zdziwił się Wojdan.

— Pan Stawros odbiera z lotniska dwóch gości, którzy popłyną z nami na Erato. Angielski poeta i włoski artysta malarz. Pani Zaddeck lubi, gdy na Erato bawi ktoś ze świata artystów.

Kapitan Montaldo okazał się człowiekiem interesującym, a jego wiedza przekraczała na pewno zakres obowiązków. Powściągliwość okazała się krótkotrwała, może była po prostu manewrem obronnym, pozą? Przeszli się „po wnętrzu statku, zaglądając do kabiny i maszynowni. Potem wyszli na pokład i wrócili do mesy, siadając przy barku.

— „Manhattan”, panie kapitanie? — spytał barman.

— Tak, zrób nam dwa „Manhattany”... — skinął głową kapitan i w czasie gdy barman przyrządzał koktajle, signor Montaldo zagadnął niespodziewanie Polaka o sprawy dalekie od genialności włoskich budowniczych spacerowych jachtów dla bogaczy. — Czy to prawda, że naszemu Santopulosowi przytrafiło się w Atenach jakieś nieszczęście? Pan Stawros wspomniał mi o tym wczoraj, kiedy zabierał ze statku swoje rzeczy. Obiecał, że opowie mi szczegóły później — ale jakoś nie było ku temu okazji...

Zdaje się — pomyślał Wojdan — że przez cały czas konwersacji przy obiedzie, a potem demonstrowania walorów „Semiramis”, to właśnie pytanie miał kapitan Montaldo „na końcu języka”, ale chciał odczekać z nim do stosowniejszego momentu.

— Pana Santopulosa nie „spotkało nieszczęście”, panie kapitanie. Pan Santopulos został po prostu zamordowany...

Barman przestał na chwilę przygotowywać „Manhattan”. Spojrzał na gościa, potem na swego dowódcę, uniósł pytająco brwi, ale skarcony wzrokiem zwierzchnika, wrócił natychmiast do poprzedniego zajęcia.

— Gdzie to się stało? — cicho zapytał kapitan.

— W hotelu „Xanadu”, dobrze po północy. Ktoś otworzył drzwi i zadał panu Santopulosowi kilka ciosów nożem lub sztyłem — broni nie widziałem... Paradoks — jeżeli nazwać to paradoksem — polega na tym, że to był mój pokój i ja tam miałem spać, ale przed pójściem na spoczynek, zamieniliśmy się z panem Santopulosem pokojami. Może więc o mnie chodziło?

Ale brak motywów do takiej zbrodni — jestem pierwszy raz w Grecji, nikt tu nie znam, nie miałem żadnych interesów, do czasu kiedy mój projekt przebudowy rezydencji pana Zaddecka nie zdobył nagrody... Nie wierzę, by mordercom chodziło o mnie. Santopulos przeciwnie — był tu znany, kiedyś oprowadzał angielskie wycieczki, nocujące w hotelu.

— Tak. Znaliśmy Santopulosa. Pływał czasem na „Semiramis”, kiedy interesy tego wymagały. Ale to cwany gość — dać się tak głupio zarżnąć, to nie w jego stylu... — kapitan Montaldo wydał się trochę zdenerwowany i jego angielszczyzna stała się bardziej portowa niż salonowa. Użył określenia „cwany gość” i „dał się głupio zarżnąć”... — To się dotąd nie zdarzało, aby ktoś z tamtej strony dopuścił się zbrodni w naszym hotelu — powiedział „ktoś z tamtej strony” i „w naszym hotelu”.

— Co to może oznaczać? — Wojdan chciał skorzystać ze wzburzenia kapitana, ale Montaldo wrócił już do maskującej powściągliwości.

— No cóż, może nic, po prostu — przypadek. Może wcale nie był im potrzebny ani Santopulos, ani pan...

— „Im”?

— Mam na myśli gangsterów... Jeżeli istotnie staniemy się pępkiem interesów Bliskiego Wschodu po spadku roli Bejrutu w tej części świata, będziemy mieli więcej takich wypadków. Duże interesy — a w Bejrucie robiono ogromne interesy — łączą się z dużymi namiętnościami. Chce pan obejrzeć jakiś film na video? Mamy tu kolorową TV we wszystkich kabinach — zmienił nagle temat. — Jeśli życzy pan sobie, puścimy panu coś — „Rambo” z Sylwestrem Stallone albo jakiś odcinek „Dallas”.

— Nie, dziękuję. Pójdę się przespać do kabiny — godzina snu zawsze się przyda, skoro spodziewa się pan sztormu...

— Raczej większej fali, niż sztormu.

— Ale będzie kiwać...

— To prawda. Będzie... W dodatku trzeba liczyć na boczny wiatr...

— No więc — dziękuję za miłą rozmowę. Idę nabrać sił przed nocnym rejsem. Jeżeli zbyt długo pośpię, proszę mnie zbudzić...

Gdy ocknął się z drzemki, znalazł na stoliku nakrycie i zimne zakąski, a w czajniczku zaparzoną świeżą herbatę. Wziął prysznic, posilił się i dopiero wówczas opuścił kabinę. Poczul pod stopami drżenie podłogi, silniki już zaczęły pracować. Gdy wyszedł na pokład, mijali jakieś skaliste brzegi. Morze było spokojne, choć wiała ostra bryza, ale znajdowali się niewątpliwie wciąż jeszcze na wodach Zatoki Saronickiej — Saronikos Kolpos. Tam na lewo — tak, to już przylądek Sunion i wody cieśniny Kea. Wkrótce bryza od lądu powinna zmienić się w prawdziwy morski wiatr — jak to określił kapitan: „etezyjny”. I faktycznie — dziób statku rozkroił nagle większą fale, aż bryzgi poleciały na pokład.

Wojdan zszedł do mesy. Przy barku zobaczył Dianę Morelli w towarzystwie dwóch nieznanym mu mężczyzn. Który z nich był poetą, a który malarzem? Rozwiązanie tej zagadki ułatwił mu Stawros. Właśnie wyszedł z korytarza prowadzącego do kabin i ujął go pod ramię.

— Jak pan widzi, panna Morelli wraca już do formy — powiedział bez cienia aluzji do wczorajszych ekstrawagancji. — Przywożę ją zawsze do Aten lub na Rodos albo na Cypr, jeżeli płynę tam w interesach, bo na wyspie życie tylko pozornie jest bogate w ludzi i wydarzenia. W gruncie rzeczy to nuda — tyle że zarówno ona, jak i ja oraz reszta personelu mamy tam dużo pracy i niekiedy nie ma czasu zdać sobie sprawy z upływu kolejnego tygodnia. Taki wyjazd do Aten to prawdziwa gimnastyka dla ducha i ciała — dodał, chyba nieświadomy skojarzeń, które nasunęły się Wojdanowi. Gimnastyka... Wszystko, co zdarzyło się ostatniej nocy między nimi powinien być więc uznać za zwykłe ćwiczenia fizyczne? — Teraz można już stawić czoło nowym obowiązkom. No i te tabuny gości. Pana do tych tabunów nie zaliczam, bo płynie pan w konkretnej sprawie, załatwia pan po prostu interesy, ale ci tutaj, to właśnie typowi goście rezydencji, którzy mają robić wrażenie, że wyspa Erato jest Mekka artystów. Ten elegancki młody człowiek to Geoffrey Hardy, Anglik, poeta, „neobajronista”. Co to znaczy, wie może panna Morelli, a najlepiej to on sam. Ten drugi, starszy, to Włoch, artysta malarz. Nazywa się Orazio Girotti i jest „najbardziej kontrowersyjnym malarzem na terenie Italii”.

— Nie lubi pan tego środowiska?

— Szczerze panu powiem, że wolę przebywać w towarzystwie ludzi interesu. Wiem wówczas, jakie prawa tam rządzą, na co liczyć, czego się obawiać. Artyści, literaci, aktorzy denerwują mnie pozerstwem, sztucznością, snobizmem... Pani Zaddeck zaprasza ich dla rozrywki. Potrafi doskonale bawić się w tym towarzystwie, ale — niech mi pan wierzy — ulepiona jest z innej gliny. Na pewno szlachetniejszej... — Spojrzał bystro na Wojdana. — W gruncie rzeczy pan także należy do tego grona artystów, ale jest pan inny. Może dlatego, że fantazja architekta wymaga stałej kontroli racjonalnego umysłu inżyniera budowniczego? No, chodźmy do nich. Przedstawię pana. Czeka nas wspólny wieczór i wspólne śniadanie. A może i noc, jeśli będzie tak kiwać, że nie da się spać.

Podeszli do baru i dopełniony został ceremoniał wzajemnego przedstawienia. Wojdan próbował przy tej okazji uchwycić spojrzenie Diany, ale była zbyt zajęta tłumaczeniem czegoś Anglikowi albo unikała jego wzroku. No cóż — może istotnie nie chciała wracać pamięcią do odprężających ćwiczeń gimnastycznych na parkiecie tawerny, a potem w jego pokoju...

Stawros zamówił kawę i Wojdan uczynił to samo — był nałogowym kawiarzem i filiżanka tego napoju przed snem wcale mu nie przeszkadzała. Usiedli ze Stawrosem na wysokich stołkach nieco z boku, kończąc rozmowę. W pewnym momencie trochę kawy z filiżanek chlusnęło na talerzyki. Wszyscy odczuli kołysanie statku wspinającego się na większą falę, a potem zjeżdżającego w dół. Tak jak przewidział Wojdan, cieśnina Kea sygnalizowała kaprysy Morza Egejskiego.

— O czym to mówiliśmy? — zapytał Stawros.

— O artystach. Skończyliśmy na panu Orazio Girottim.

— Co tu więcej panu o nim powiedzieć?... Nie należy do „młodych obiecujących” — przekroczył już pięćdziesiątkę. To ostatni jego szturm po laury. Wkrótce będzie za późno na zdobywanie rynku. Przeszedł wszystkie style, wszystkie awangardy i wrócił do niezwykłego realizmu. Maluje widoczki różnych stolic świata, rozmaitych arcydzieł architektury — właśnie to może pana zainteresować — ale ukazuje to wszystko po generalnej katastrofie ekologicznej. Nie ma już ludzi, nie ma zwierząt, roślinności — ziemia jest

naga i martwa, trwają jeszcze tylko ruiny rozpadających się miast, rzeźb, zatopiona Wenecja, splukiwany do Tybru Rzym, Neapol po erupcji Wezuwiusza...

— Może zamierza ostrzec ludzkość przed grożącą zagładą?

— Ech, to takie puste gadanie wszystkich, których podniecają różne katastroficzne wizje. Proszę mi wierzyć — skuteczniej ostrzegają komputery, rachunek ekonomiczny, statystyka. Ostrzeganie ludzkości za pomocą obrazów było dobre w dziewiętnastym wieku, ale nie dzisiaj. Jeśli wierzylibyśmy w skuteczność agitacji prowadzonej przez Picassa, należałoby obecnie wystawić „Guernikę” w Bejrucie. A może pan Girotti powinien swoje obrazy wystawiać nie w Rzymie, ale w Teheranie lub Bagdadzie? To oczywiście złośliwe skrajności, ale nie lubię, gdy artyści wcielają się w rolę współczesnych proroków, skoro lepiej to zadanie spełni skromny urzędnik, który w teczce zawiezie i pokaże komu trzeba wyniki rachunku prawdopodobieństwa, mówiąc o efektach prowadzonej właśnie lub zamierzonej wojny. Trzeba wyjaśnić wszystkim bezsens działań wojennych w oparciu o rachunek matematyczny...

— I wierzy pan w efekty takiego postępowania?

— Nie, ponieważ człowiek nie działał nigdy logicznie, gdyż zawsze ufał magii i wierzył w mity.

— Chyba nie wszyscy ludzie.

— Powiedzmy — większość. Dlatego mniejszości pozostaje robienie dobrych interesów na tych, którzy nie wierzą komputerom, ale wizjom, i fantomom. Ja wierzę w rachunek i komputery. To się nazywa wierność rzeczywistości. Dlatego moim żywiołem jest biznes.

— To się nazywa pragmatyzm.

— Zgadza się. Jestem właśnie pragmatykiem, chociaż obranie pragmatyzmu jako busoli moralności to egoizm. Jeżeli ma się do czynienia z ludźmi wierzącymi w zaklinacza deszczu jako jedynego ratunek na suszę, trzeba dostarczyć im za duże pieniądze zaklinacza deszczu, a jeżeli wierzą w to, że ich ekonomiczne problemy rozwiąże rakietą „ziemia-ziemia”, trzeba im dostarczyć rakiety „ziemia-ziemia”. Do zaklinacza deszczu, jak i do rakiety „ziemia-ziemia” można oczywiście dopracować jakąś szlachetną

ideę. To się nazywa już komfortem moralnym i nie każdego na to stać. No, ale musimy porozmawiać trochę z naszymi „zaklinaczami deszczu”, których wieziemy na wyspę Erato. Panna Morelli wysyła w naszym kierunku spojrzenia błagające o ratunek...

Wojdan żałował, że nie było mu dane pogawędzić dłużej ze Stawrosem. W następnej fazie dialogu przy barze spodziewał się usłyszeć, że „porządek” z całą cyganerią światową powinna zapewne zrobić policja, w oparciu o dane z komputera. A przyszłością różnych „marzycieli, szarlatanów i zaklinaczy deszczu” zająć się mogą inżynierowie genetycy. Matki rodzic będą nie artystów i filozofów, ale głównie księgowych, operatorów komputerów i policjantów, a zasady moralności najlepiej określi giełda. Natomiast wartości estetyczne zawsze ustalał rachunek i geometria wykreślana — na co zwracali już uwagę mistrzowie renesansu, nie wyłączając Michała Anioła i Leonarda da Vinci. Taki właśnie można było przewidzieć logiczny ciąg dalszego wykładu Stawrosa. Należał z całą pewnością do ludzi, którzy nie wierzą w krasnoludki, a jednak, jak dokumentowały to lata ostatnie, załamanie gospodarcze niektórych państw europejskich następowało właśnie w momencie, gdy ich szefowie wyliczali sukcesy, a dane komputerowe prognozowały rozkwit i dobrobyt. Krasnoludki zdziałać mogą wiele i nie tylko w zaczarowanym lesie, ale nawet w potężnym imperium pieniądza. Dlatego świat nie powinien lekceważyć marzeń i namiętności.

Do tych wniosków mógłby Wojdan próbować nakłonić Stawrosa po dłuższej dyskusji, ale dyskusji już, niestety, nie było.

— Dość już panom opowiedziałam o panu Wojdanie, teraz możecie sami go spytać o interesujące was kwestie — powiedziała nagle Diana Morelli dość głośno, dzwoniąc bryłkami lodu w opróżnionej z whisky szklance. Mój Boże — zmartwił się Polak — co też mogła im takiego opowiedzieć? Przecież zupełnie mnie nie zna. No, w każdym razie niewiele...

— Serdecznie pana witam — młody „neobajronista” ścisnął architektowi dłoń. — Wiele o Polsce czytałem, ale dotąd w pańskim kraju nie byłem. Dzielny, biedny naród w sercu Europy.... — Wojdan w tym momencie

poczuł uderzenie krwi do głowy. Już nie raz to przeżywał. Rozmówcy chwalili się potem znajomością nazwisk wybitnych Polaków. Byli to często — wielki pianista „Piedruski”, wybitna aktorka „Modżeuska”, generał „Kostuszek” i poeci — „Mickiewicz” i „Piuszkin”. Potem wyrażali zdziwienie, że „Piuszkin” to Rosjanin. Okazało się jednak — że młody poeta nie znał ani Paderewskiego, ani Modrzejewskiej, ani polskich lotników z dywizjonu 303 i tym udobruchał Polaka. Niestety, dodał zaraz coś, co zapiekło architekta. Spytał: — Dawno pan uciekł z Polski? — Widocznie nie wyobrażał sobie, że ktoś z kraju nad Wisłą może wyjechać na Erato, jak Anglik z Londynu do Brighton, w dodatku w interesach...

— Nie musiałem uciekać — wyjaśnił uprzejmie. — Pracuję dla sowieckiego wywiadu. Prosił mnie o spenetrowanie baz NATO w Grecji, a właśnie nadeszły informacje, że jedna z nich powstaje na wyspie Erato.

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby to była prawda...— odpowiedział poważnie Anglik, dopiero teraz wprawiając w zakłopotanie Wojdana. Albo zrozumiał kpinę i znakomicie wybrnął z niezręcznej sytuacji, albo jeszcze gorzej: nie zrozumiał dowcipu i powiedział to serio...

Z impasu wyratował Polaka Włoch, dobrze już wstawiony.

— Cieszę się, że płynie pan z nami na Erato. Mam kilku przyjaciół w Polsce — znakomici malarze i dobrzy koledzy, zawsze tacy serdeczni i towarzyscy. Każda wystawa polskiego współczesnego malarstwa ściąga tłumy zainteresowanych. Polacy przywożą z reguły coś niezwykłego, a potem moi koledzy — artyści próbują to naśladować, prezentując jako własne odkrycia.

— I udaje się?

— Zawsze się udaje, mamy bowiem lepiej zorganizowany rynek i lepsze warunki techniczne. Wasi artyści mają nawet kłopoty ze zdobyciem dobrych pędzli i farb, a przecież we współczesnym świecie sam talent nie wystarcza... Mój wyjazd na Erato nie jest również tylko wycieczką. To oczywiście zaszczyt zostać zaproszonym na wyspę, ale to także dobry interes. Wiozę aż dwanaście Płócien...

— Organizuje pan wystawę?

— Tak jakby, ale dzieje się to w porozumieniu z moim agentem. Dwa obrazy zakupi na pewno Kleo Zaddeck, ale mam zagwarantowaną sprzedaż dalszych dziesięciu — na wyspie bywają różni ludzie ze świata wielkiego biznesu, a rezydencja każdego z nich to muzeum sztuki — nie tylko dawnej, ale i współczesnej. Szkoda, że nie jestem portrecistą — obecnie w moim dziale stało się u wielkich przedsiębiorców portretowanie całej rodziny. Moi koledzy zrobili na tym majątek. Moje obrazy kupują przez snobizm i jako lokatę kapitału. Wystarczy, żebym umarł, a cena moich płócien podskoczy dwukrotnie. Z pańskimi krajanami przeżyłem niedawno cudowny wieczór, a lepiej powiedzieć cudowną noc. Bawiliśmy się w Wenecji w willi jednego z głośnych włoskich malarzy. Było kilku Polaków, którzy dołączyli do gospodarza, uzupełniając jego barek znakomitą polską wódką. Tą wódką wszystkich nas załatwili — zresztą nie jest to trudne, Włosi mają głowy do stołowego wina, każdy inny napój szybko ścina ich z nóg. Polacy zaproponowali toasty za wybitnych współczesnych artystów włoskich — nie wypadało nie uczestniczyć, tym bardziej, że wyliczanka ta rozpoczęła się od obecnych na spotkaniu, potem przeszła na ich profesorów i przyjaciół, a następnie zaczęły padać nazwiska zupełnie nam nieznanne, ale kto zna dziś wszystkich wielkich współczesnych z Italii? Chyba tylko amerykańscy marszandzi. No i kolejno obecni na spotkaniu Włosi zaczęli padać i zasypiać. Biesiada trwała do rana. Kiedy obudziłem się z szalonym bólem głowy — wciąż jeszcze leżeliśmy pokotem w pracowni, a Polacy dalej biesiadowali, studentki z akademii przygotowywały wciąż kolację, choć była pora na śniadanie. Jeden z Polaków uczył je, jak przyrządza się „bigos” — pan powie, co to znaczy? No, a reszta śpiewała, mówili, że to takie piosenki z czasów wojny. A gdy skończyli, znów padło jakieś nazwisko włoskiego artysty, za zdrowie którego należało wypić!... Potem tajemnica wyjaśniła się — nazwiska brali na chybił trafił z książki telefonicznej... widocznie realizując w praktyce teorię, że każdy Włoch jest potencjalnym artystą...

Wkrótce obaj goście skierowali się chwiejnym krokiem, pod opieką panny Morelli i stewarda do swoich kabin. Stawros także zniknął. Wojdan powiedział do barmana „kalinichta”, czyli „dobranoc” po nowogrecku i poradził — już po angielsku — zamknąć kramik. Potem wyszedł na pokład. Chłodny wiatr dość szybko pozwolił mu wrócić do normy, szum w uszach znikł, natomiast pokład zaczął znów przybierać niezwykle pozycje, wymagające trzymania się relingów, lin albo uchwytów wmontowanych do ścian nadbudówki

— Radzę się położyć...— usłyszał koło ucha dobrą radę kapitana Montaldo. — Będzie tak bujać całą noc. Uspokoi się, kiedy zakryje nas przed falą i wiatrem Kessara, a to jeszcze kawał drogi!

Noc była ciemna, bezgwiazdna i granat nieba łączył się nad niewidzialnym horyzontem z falami czarnego atramentu, atakującymi statek. Światła pokładowe pogłębiały jeszcze ciemności zawieszzone zaraz za burtą i ciągnące się w kosmiczną otchłań. Miejsce prawdopodobnej linii horyzontu sygnalizowało światło latarni morskiej rozbłyskujące na przylądku Agios Dimitrios, na wyspie Kithnos. Z cieśniny Serifos dmuchało na nich z siłą piątki według skali Beauforta. Nie był to jeszcze sztorm, ale dla szczura ładowego na pewno pozycja horyzontalna była odpowiedniejsza w takich warunkach. Wrócił więc pod pokład, znalazł swoją kabinę i dość szybko ułożył się w koi. Zastanawiał się, czy słusznie czyni nie zamykając drzwi i podtrzymując nadzieję na nocne odwiedziny panny Morelli, choć logika zdarzeń nakazywała zamknąć na rygiel całą przygodę ateńską, wyciągając z niej określone wnioski. Nie znajdował się jednak w kondycji psychicznej i fizycznej stosownej do wyciągania rozsądnych wniosków. Drzwi nie zamknął i szybko zapadł w sen. Nikt go w nocy nie odwiedził.

Gdy otworzył oczy, było rano. Przez bulaj świeciło słońce. Morze uspokoiło się — nie odczuwało się kołysania. Nie patrząc na zegarek, wyskoczył z koi, wziął prysznic, ogolił się, wypił butelkę „Alka-Selzer” i wyszedł na pokład. Mimo wiatru z północy, było ciepło, a po błękitnym niebie wędrowały pasma mizernych chmur z jednym brzuchatym cumulesem — ponad wyspą widoczną w dali, na kursie statku. Wyspa miała dwa wierzchołki

i dzięki porannej mgielce wydawała się szaro-fioletowa. Po jej północnej i południowej stronie rysowały się dwie małe wysepki. Wkrótce, ponieważ „Semiramis” wzięła kurs na południowy zachód, północna wysepka zniknęła, natomiast południowa, wciąż przypominająca z tej odległości skalistą rafę, „przesunęła” się bardziej na prawo, a równocześnie duża wyspa o dwóch wierzchołkach jakby urosła. Fiolet jej konturu stał się bardziej przejrzysty, ukazując gaje oliwkowe, pastwiska i bazaltowe skały, a nawet biel pojedynczych domów — wciąż jeszcze przypominających siedziby karczowników.

Po schodni, od strony pomostu nawigacyjnego, zszedł właśnie kapitan Salvatore Montaldo.

— Witam porannego ptaka! Nasi goście jeszcze śpią! Śniadanie jednak już gotowe i jeśli ma pan ochotę, proszę zejść do mesy. Tylko obiady bywają tu wspólne — śniadanie je się z reguły wówczas, kiedy przyjdzie na to ochota. Jak znam reguły życia wkrótce zjawi się pan Stawros, a po nim panna Morelli. Nasz poeta i malarz muszą mieć jeszcze trochę czasu — wczoraj nieźle wypili.

— Dziękuję za informację, jestem głodny jak wilk i zaraz schodzę do mesy. A ta wyspa... — Wojdan wskazał na skrawek łądu przed dziobem.

— Tak, to Kessara. To wzgórze bliżej nas nosi nazwę Profitis Elias — Prorok Eliasz. Widać także zabudowania klasztoru Agios Nikolaos — Święty Mikołaj. Przylądek na prawo nosi nazwę Nimfea...

— A ta skała na prawo od przylądka to Erato?

— Nie, Erato ukaże się nam wkrótce, gdy wyjdziemy dalej na wschód. Erato jest większa i położona bliżej Kessary. Ta drobina to bezludna rafa Nea Nimfea. Dzięki temu, że Erato leży bliżej Kessary, chronią ją od fal i wiatrów amfiteatralnie wyrosłe z morza brzegi zatoki Pandros. W głębi tej zatoki leży właśnie stolica Kessary — port Pandros.

— A tamto drugie wzgórze, położone w głębi wyspy? Właściwie to nawet nie wzgórze, ale łańcuch wzgórz.

— Tak. Cały bazaltowy masyw dźwignięty z dna w czasie jakiegoś kataklizmu. Ze względu na potrojny szczyt nosi nazwę Agia Triada — Święta

Trójca. Jak widać — wyspę zaludnili pobożni ludzie. Wszędzie sami święci i prorocy. Między wzniesieniem Agia Triada i Profitis Elias istnieje wąziutki pas łądu — coś ze sto metrów. W czasie sztormu niebezpiecznie tam się znaleźć.

— Kessara ma jedną osadę — Pandros?

— Nie. Jest jeszcze druga, po tamtej stronie — Antissa, a także zaczątki osad i nieliczne hoteliki mające zachęcić turystów, ale jak dotąd bywa ich niewielu, natomiast do Pandros zachodzą jachty włączające się po archipelagu. O, niech pan spojrzy — widać już Erato.

— Z tej odległości przypomina grzbiet zółwia.

— Tak. Zyskuje na urodzie dopiero z bliska. Rezydencja pana Zaddecka znajduje się na północnym brzegu, ale z fasadami zwróconymi na zachód... Zresztą pan to dobrze zna. Projektował pan przecież rozbudowę rezydencji.

— Rzeczywiście — fasada frontowego skrzydła zbliża się nawet do „godziny jedenastej” — jak popularnie nazywamy tę orientację. Dawniej uciekano od słońca — dziś przeciwnie. Zbytnią natarczywość słońca można regulować różnymi środkami technicznymi — klimatyzacją, żaluzjami, loggiami, ale bez sensu jest orientowanie budowli na północ i cień...

— Ma pan rację. Główny budynek powstał wkrótce po zakończeniu wojny bałkańskiej — były to czasy, gdy ludzie bogaci kryli się przed słońcem... — powiedział kapitan, a po chwili uzupełnił tę myśl. — Kryli się z całym swoim bogactwem. Dziś wychodzą z nim naprzeciw słońcu...

— No, nie wszyscy... Wyspa Skorpios, na której Onassis zbudował swoją rezydencję, szczelnie kryje wewnątrz przed wścibskimi fotoreporterami.

— Ma pan rację, ale tu panują inne zwyczaje. Pan Zaddeck nie ukrywa swego bogactwa.

— Chce być podziwiany?

— Na to wygląda, choć we współczesnym świecie to gra ryzykowna. Kiedyś Bliski Wschód miał jednego kalifa — Harun ar-Raszyda. Dziś jest wielu kalifów.

— I pan Zaddeck jest jednym z nich?

– Tak mówią.

– Kiedy przybijamy?

– Zdaży pan zjeść śniadanie i wyjść na pokład, żeby z bliska zobaczyć bazaltowe brzegi wyspy i zieleń otaczającą rezydencję. Jest tam dogodny basen portowy, zamknięty ostrogą mola. Często stoją tam żaglowe jachty, motorówka „Samantha” i hydroplan pana Zaddecka.

– Myślałem, że lata awionetką...

– Awionetką i helikopter mają lądowisko na środku wyspy Erato, na płaskowyżu.

– A okręty wojenne? — rzucił pytanie Wojdan, sądząc, że kapitan Montaldo zrozumie jego dowcipną aluzję. Ale kapitan nie uśmiechnął się nawet. Powiedział, że musi jeszcze zejść do maszynowni, zsalutował i zniknął.

Bartosz Wojdan jeszcze raz rzucił spojrzenie na „płynącą” naprzeciw „Semiramis” wyspę i skierował się do mesy. Po pełnym wrażeń wstępie miał się rozpocząć właściwy rozdział jego egzotycznej przygody.

Wyspa pełna zagadek

1.

Madame Kleo, jak ją nazywano na wyspie, a pełniej — madame Kleandra Zaddeck — okazała się kobietą piękną, powściągliwą, dystygowaną, oszczędną w słowach i gestach, nieznoszącą sprzeciwu, wymagającą absolutnego zaakceptowania jej kaprysów, nastrojów i upodobań. Z jej polecenia (wzorem czterogwiazdkowych hoteli, bo w pięciogwiazdkowych już się ten akcent „luksusu” dawkuje oszczędniej) ukryte głośniki nadawały bez przerwy w całej hotelowej części rezydencji (w sposób dyskretny oczywiście) muzykę rozrywkową. Bystry słuchacz mógł zauważyć, że były to głównie przeboje lat sześćdziesiątych. Dużo wczesnego Johna Lennona i Paula McCartneya — oczywiście jeszcze w klasycznym wykonaniu Beatlesów, a więc „Yellow Submarine”, „Forever” i „Michelle”, potem sentymentalny Tom Jones i jego „Green, green grass of home” i „Delilah”, Engelbert Humperdinck, Doris Day i nawet Aznavour. Zazwyczaj każdy człowiek jest przywiązany do muzyki tych lat, w których był szczęśliwy i młody — co najczęściej jest równoznaczne — pani Kleandra Zaddeck była więc prawdopodobnie młoda i szczęśliwa w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

Kiedy więc w czasie pierwszej rozmowy z panią Zaddeck Wojdan nagle w połowie zdania zamilkł, a następnie czarująco uśmiechnął się do dystygowanej damy, stwierdzając — „O, macie tu państwo najlepsze nagrania Toma Jonesa” — uzyskał aprobujący uśmiech również ze strony pani domu. Kleandra Zaddeck akceptowała ludzi, którzy dobrze się czuli w świecie jej wyobraźni. Toma Jonesa słuchała pani Kleandra jeszcze zanim została żoną Simona Zaddecka, kiedy kończyła studia.

— Miły panie inżynierze — kontynuowała rozmowę, przerwana na moment przez „aksamitny”, jak reklamowano na obwolutach płyt, głos piosenkarza z górniczego Treforest. Mówiła płynną, szlachetną angielszczyzną bez jakichkolwiek, najdrobniejszych nalotów „cockneya” — oczekujemy od pana bardzo wiele. Nie chodzi tylko o rozbudowę naszej rezydencji w duchu jaki pan zasugerował w swoim projekcie, ale praktyczne dostosowanie jej do wymogów naszego życia.

Było to sformułowanie tak pokrętne, że mimo szlachetnej formy, godnej chyba nawet wszystkich razem sióstr Brontë, Wojdan musiał wysilić swoje zdolności, aby zrozumieć, o co tu chodzi. Co znaczyła ta „rozbudowa w duchu, jaki zasugerował”, jeśli chodziło nie tyle o ducha, co o materię? Albo jak należy rozumieć „praktyczne dostosowanie do wymogów życia”. Jakieś górnolotne bzdury albo pułapka dla naiwnych...

— Planowałem pobyt na wyspie do trzech miesięcy — odpowiedział rzeczowo.

— Ach, czas jest pojęciem względnym — powiedziała pani Kleo i założyła ogromne przyciemnione okulary. Na wyspie co drugi bywalec tego skrawka lądu nosił słoneczne okulary. Wyjątek stanowiła tylko służba — ogrodnicy, pokojówki, lokaje, natomiast goryle, których można było spotkać w każdym miejscu, traktowali ciemne okulary jak służbowy atrybut. — Jeżeli zajdzie taka potrzeba, zostanie pan przecież dłużej. To nie problem.

— Potrzebne mi będzie przedłużenie wizy.

— To drobiazg. A jeśli chodzi o honorarium, może pan się nie obawiać. Wynagrodzi ono panu wszystkie straty, powstałe w efekcie przedłużenia pobytu. Proszę nie zapominać, że jesteśmy bardzo bogaci...

Tego nie powinna była mówić, zabrzmiało to prostacko i snobistycznie. Była ładna i elegancka, a po takim stwierdzeniu straciła połowę urody i szyku. Siedzieli w saloniku z marmurowym kominkiem i bizantyjskimi kandelabrami. Na ścianach wisiał oryginalny Renoir, dalej Monet i Picasso. A jednak z kąta wiało tandetą. Pani Kleo paliła papierosa w długiej,

złotej cygarniczce, wysadzonej brylancikami i rubinami. Chyba kąpie się w szampanie, albo w oślim mleku — pomyślał Wojdan, ale uśmiechnął się przytylno.

— Nie chodzi tylko o pieniądze, choć i to jest ważne — odpowiedział licealną angielszczyzną, używając argumentów jakimi posługiwał się w rozmowie ze swoim dyrektorem w Polsce, gdy prosił o podwyżkę. Przecież to jasne, że chodziło o pieniądze.

— Bogactwo nie jest przywilejem, narzuca ono na barki człowieka wiele dodatkowych obowiązków, zmusza do prowadzenia gry, o której inni nie mają pojęcia — monologowała tymczasem pani Zaddeck. — Luksus pojawia się w najmniej spodziewanych okolicznościach, z reguły nieprzewidywanych i zmusza do przeorganizowania życia. Marzenia ludzi biednych lub średniozamożnych na temat ich ewentualnego bogactwa nigdy nie traktują serio realizacji pragnień — bogaci ponoszą zawsze konsekwencje swych pomysłów i chyba z reguły rozczarowują innych szablonowym sposobem pozbywania się pieniędzy. Bogowie stworzyli ludzi z nudów. Nawet Biblia podsuwa taką myśl, jak twierdzi duński filozof egzystencjalista Søren Kierkegaard. Bogaci zawsze próbują dokonywać jakichś wymyślonych, nikomu niepotrzebnych aktów twórczych. Człowiek był chyba najmniej potrzebny światu dla utrzymania harmonii natury. Nie uważa pan?

— Nigdy się nad tym w ten sposób nie zastanawiałem. Świat bez ludzi nie interesuje mnie, bo wówczas i mnie by na nim nie było.

— Słusznie — skinęła głową. — Niedawno jakiś arabski szejik zakupił prywatny odrzutowiec, a także narzutę z norek, wartości czterdziestu tysięcy dolarów. Inny kazał sobie zrobić sedes z czystego złota. Bogacze liczą chyba ciągle na zachwyty i uwielbienie biedniejszych od siebie, a otrzymują w zamian tylko zazdrość i zawiść. Kiedy Lionel Rotschild zaprosił ambasadora Japonii do obejrzenia swego „japońskiego ogrodu”, ten miał powiedzieć: „To nadzwyczajne! W całej Japonii nie znajdzie pan takiego ogrodu!”

— Wie pani, pewna stara anegdota mówi o tym, że kiedy Neron wszedł do swego nowego domu, ze swoim złotym posągami i jeziorkiem pełnym oślego mleka, miał powiedzieć — „Nareszcie zacznę żyć jak człowiek”.

Miał prawo tak powiedzieć, uważał się bowiem zawsze za komedianta, nawet najlepszego komedianta w całym Rzymie...

Pani Zaddeck chwilę milczała, chyba zastanawiając się, co miał na myśli jej gość, po czym wróciła do spraw konkretnych.

— Wygrał pan nasz konkurs, ale po obejrzeniu wyspy wprowadzi pan niewątpliwie korekty do projektu. Gdyby nie miał pan na to czasu, oczywiście wykona to biuro konstrukcyjne inżyniera Mortimera. Wygrana w konkursie oznacza zakup przez nas pańskiego projektu, ale i dowolną jego interpretację — lepiej więc byłoby, gdyby pan jeszcze nad tym sam popracował. Zna pan inżyniera Mortimera?

— Nie. Pracuje tutaj?

— Oczywiście — mamy własne biuro budowlane, którym kieruje właśnie inżynier Mortimer. Biuro znajduje się blisko pańskiego apartamentu. W tym samym gmachu hotelowym. Poza tym — cóż, jest pan pod całkowitą naszą opieką. Ponosimy wszelkie koszty związane z pana pobytem. Proszę wszystkie życzenia przekazywać pokojówce. Podróż była udana?

— Tak. Leciąłem okreśłą drogą przez Hamburg.

— Dostał pan już bilet powrotny?

— Bezpośredni, na samolot z Aten do Warszawy. Ważny cały rok. Chyba tak długo tu nie zostanę.

— Dlaczego? Nie podoba się panu? Zjeżdżają tu wybitni architekci, ludzie sztuki, poeci...

— Tak, wiem, nawet miałem przyjemność dwóch z nich poznać na pokładzie statku „Semiramis”. To panowie Geoffrey Hardy i Orazio Girotti.

— Spotkamy się dziś wszyscy razem na obiedzie w Sali Turkusowej. Mamy też dwa bary — jeden na najwyższym piętrze budynku hotelowego — „Rafael”, a drugi nad morzem — „Grotta Azzurra”. Jedynie obiad ma wyznaczoną porę — trzecią po południu. Posiłki ranne i wieczorne każdy je o dowolnej porze, a o piątej po południu serwuje się herbatę w barze „Rafael” dla wszystkich, którzy przywykli do angielskich obyczajów „five o'clock tea”. Zna pan Anglię?

- Trochę. Słyszałem, że studiowała pani w Anglii?
- Tak, piękne lata... Ale na wakacje jeździłam do Grecji lub Italii, zwłaszcza na Capri. Zna pan Capri?
- Pomyślał? że pani Kleo spyta go zaraz o to, „kto go rodził” i „czy gra na fortepianie”, pospieszył więc z odpowiedzią.
- Udało mi się wpaść na Capri...
- Ach, to cudownie! Czytał pan zapewne „Księgę z San Michele”?
- Czytałem, ale w tamtych czasach, kiedy mieszkał tam Axel Munthe, była to chyba inna wyspa...
- Tak, oczywiście, ale na wyspie znaleźć można jeszcze zakątki nierozdeptane przez turystów. Zwiedził pan willę Axela Munthe?
- Pewnie rozczaruję panią — nie podoba mi się ani pod względem architektury, ani urządzenia. Za to widok z tarasu wspaniały.
- Hm... Powiedział pan, że „udało się panu wpaść na Capri”... Nie bardzo to rozumiem... Na Capri się jedzie, mieszka, przebywa, wypoczywa, ale nie wpada... No tak... zapomniałam!... Przecież jest pan z tego biednego, nieszczęśliwego kraju...
- Chyba była to złośliwość, którą odpłacała mu za to, że skrytykował bezstylową willę Axela Munthe.
- Lubię nagą, oryginalną przyrodę. Capri jest dla mnie zbyt cywilizowana. W Polsce mam letni domek nad jeziorem. Nocą podchodzą tam dziki, nawet łosie... Widziała pani kiedy w puszczy, na wolności — łosia?
- Łoś na wolności? Ależ to musi być wspaniałe!
- Pewnie, że to jest wspaniałe! — powiedział. Prawdę mówiąc, letniego domku nad jeziorem mazurskim jeszcze się nie dorobił, ale wynajmował czasami od kolegi i nie kłamał, mówiąc o nocnych wizytach dzików i łosia. — Czy zobaczę pana Zaddecka? — spytał nagle, zmieniając temat.
- Poprawiła okulary, potem zdjęła je i przetarła chusteczką.
- Mąż wyjechał. Ma teraz wiele interesów — świat jest przecież taki niespokojny. Gdy tylko wróci — na pewno będzie chciał się z panem zobaczyć. Tymczasem we wszystkich sprawach projektu może się pan radzić mnie, natomiast wszelkie bieżące potrzeby załatwia na wyspie pan Stawros. On tu

jest jakby gubernatorem wyspy — oczywiście z ramienia męża. Z mężem załatwi pan wszystkie sprawy finansowe, na wyspie i tak pieniędzy pan nie potrzebuje. Może jednak przyjmie pan małą zaliczkę — mam tu wypisany na pana nazwisko czek na dziesięć tysięcy dolarów — otworzyła torebkę, wyjęła złożony kawałek cennego papieru i podała mu. — Nie jest tego wiele, ale to zawsze jakieś pieniądze na początek.

Powinien był powiedzieć — „Ach, to nic pilnego! Poczekam z rozliczeniem za konkurs i za moją pracę, aż zjawi się pan Simon Zaddeck... Ale nic nie powiedział. Wziął czek, obejrzał i schował do portfela. W tym właśnie momencie wszedł Stawros.

— Witam piękną panią Zaddeck — powiedział poufale, potem zbliżył się i ucałował dłoń damy. Było to zachowanie dość niezwykle, świadczyło o zażyłości tej pary. Wojdan był ciekaw, jak majordomus witałby panią domu w obecności pana Zaddecka. Stawros usiadł w wolnym fotelu przy nich, bawiąc się długopisem.

— Na panu, panie Stawros — odezwała się pani Kleo do zarządcy — spoczywać będzie dziś obowiązek zapoznania naszego, miłego gościa z Polski z panem Louistem Mortimerem, głównym inżynierem i budowniczym nowego skrzydła rezydencji. Jak pan zauważył, panie Wojdan, pański projekt dopełnia właściwie koncepcji z początku naszego stulecia, kiedy wyspę zamieszkiwał bogacz — archeolog, ktoś próbujący naśladować Schliemanna, ale bez pozytywnego efektu w poszukiwaniach starożytności. Włosi dobudowali część hotelową w latach trzydziestych. To, co pan zaproponował, a co przyjęliśmy bez wahania, łączy trzy budowle — nie licząc małych budyneków dość dyskretnie wkomponowanych w całość. Ta trzecia budowla — i tu ujawnił pan swój talent — równocześnie kontrastuje z dwiema poprzednimi, ale przecież stanowi ich logiczne dopełnienie... — wróciła do swojej eleganckiej, klasycznej angielszczyzny i Wojdan, mile polechtany w artystycznej próżności, nie mógł nie wyrazić podziwu dla erudycji damy z wyspy Erato. — Trzeba omówić pewne sprawy otoczenia rezydencji, nowych basenów, wmontowania wind i samego materiału, z którego powstanie trzecia budowla. Ale to już sprawy, na których się nie

znam tak dobrze jak fachowcy — mam na myśli pana i pana Mortimera. Gości jest obecnie niewiele i nie będą przeszkadzać. Ekipa budowlana przybędzie z Jugosławii — to fachowcy. Pan Stawros pokaże panu w tych dniach całą wyspę. Jest to bazaltowy blok, poprzecinany wąwozami i pokryty rachityczną roślinnością, jedynie w wąwozach utrzymuje się więcej krzewów i zarośli. Ma kształt rogala, zwróconego półkolistą zatoką na północny zachód — stąd tarasy do plażowania i baseny zaprojektowano tylko w takich miejscach, do których dociera słońce. Horyzont zamyka nam duża wyspa Kessara, do której wątlego archipelagu, jak jedna z córek skamieniałej bogini, należy Erato. Kessara zasłania nam horyzont, ale osłania nas od wiatrów i sztormowych fal. Słyszał pan pewnie o tutejszych wiatrach etezyjnych, wiejących od wiosny do jesieni? Żeglarze bardzo je sobie chwalili i chwałą nadal, ale potrafią one solidnie dokuczyć. Dzięki masywowi Kessary rzadko zdarza się w cieśninie taki sztorm, który uniemożliwiłby nam kontakt z głównym portem. Kessary. Energię elektryczną czerpiemy — za pomocą kabla położonego na dnie — również z Kessary, ale mamy tu — na wszelki wypadek — własną siłownię, usytuowaną w grotach Erato. Windy, zamrażalnie, ogrzewanie — wszystko to opiera się na energii elektrycznej. Mamy tu mały port — co już pan zauważył, a na płaskowyżu sięgającym wysokości pałacu jest lądowisko helikopterów... Dysponujemy wprawdzie jednym śmigłowcem, ale nasi goście często przylatują tu własnymi helikopterami. Wszystko zależy od pogody. Powiedziałam panu Wojdanowi wszystko, o czym powinien wiedzieć, stawiając tu pierwsze kroki? — spytała Stawrosa.

— Myślę, że tak! — Stawros skinął głową. — Jeszcze tylko wizyta w pracowni pana Mortimera i pan Wojdan będzie mógł czuć się jak stały mieszkaniec Erato. Jeżeli pani Kleo nie ma więcej spraw do naszego architekta, zabieram pana Wojdana do pracowni.

— Zapraszamy na obiad. Serwowany jest, jak już mówiłam, w Sali Turkusowej, punktualnie o trzeciej po południu — wtrąciła pani Zaddeck.

— Tak, zapamiętałem. Będę punktualny. Dziękuję pani.

Wstali. Stawros poprosił Wojdana przed dom, choć do części hotelowej

— gdzie mieściły się pracownie — prowadziły na parterze i piętrze kryte ganki. Było ciepło, ale wiał dość silny wiatr. Przed głównym budynkiem ogrodnik podlewał właśnie klomb pełen egzotycznych kwiatów. Za sobą mieli starą rezydencję i skalne ściany płaskowyzu, na prawo zejście na taras nadmorski, a obok — kopułę windy. Morze miało barwę płynnego srebra — jak na fotografii. Masyw Kessary rysował się przed nimi jak kraniec potężnego kontynentu, a tymczasem za tą skalną ścianą było już tylko morze. Majordomus zauważył zainteresowanie architekta główną wyspą i uzupełnił poprzednie informacje:

— Są tam w gruncie rzeczy, dźwignięte z dna morza, dwa masywy górskie, połączone wąskim pasem lądu. Najbliżej nas sięga przylądek Nimfea i właściwie można by tam właśnie urządzić przystań dla naszych łodzi i motorówek, ale brzeg jest tak urwisty, że trzeba by zbudować windę na sam grzbiet skalny, a na dole platformę do cumowania i małe molo. Może kiedyś to zrobimy. Tymczasem korzystamy z wygodnego portu Pandros, położonego między masywami górkimi — Profitis Elias i Agia Triada Oros.

— Na grzbiecie przylądka widać jakieś zabudowania.

— To ośrodki turystyczne i wille ludzi, którzy często mieszkają przez jesień, zimę i wiosnę w Atenach, a przyjeżdżają tu na lato. Port i miasteczko Pandros odwiedzimy wkrótce — może jutro, może pod koniec tygodnia. Mamy tam spotkanie z przedstawicielami nomu i eparchii na temat prac budowlanych na Erato. Eparchia to powiat, nom — jakby wyspiarskie województwo.

— Ja też wezmę w tym udział?

— Przewidujemy pana jako głównego referenta całej sprawy. Władze greckie zaczęły się obecnie interesować planami zabudowy na archipelagu. Chodzi im o ochronę krajobrazu i o utrzymanie jednolitych walorów architektury. Trochę przesadzają. W każdym razie będziemy starali się ich przekonać, że wzniesienie trzeciej budowli na Erato nie zburzy ogólnego krajobrazu archipelagu. A w ogóle chodzi im chyba o coś innego — są ciekawi, nawet wścibscy. Życie ludzi bogatych zawsze interesowało parweniuszy.

— Parweniuszy?

— Chodzi mi o ubóstwo życia duchowego, a nie tylko o pieniądze. Ludzie wielcy i bogaci interesują się sprawami transcendentnymi. Ludzi małych i biednych interesuje życie sąsiadów.

— Mówi pan „wielcy i bogaci”, oraz „mali i biedni” — nie wyobraża pan sobie biednych i wielkich albo bogatych i małych?

Zaśmiał się nieszczerze. Chyba gotów byłby w tym momencie cofnąć to, co powiedział, ale wtedy doznałby klęski. Łatwiej przyszło mu to obrócić w żart.

— Oczywiście każda reguła zna wyjątki... A oto i wejście do pracowni inżyniera Mortimera.

— To Anglik czy Francuz?

— Pochodzi chyba z mieszanej rodziny anglo-francuskiej i sam już nie wie, kim jest naprawdę. Jego rodzina zamieszkała w Libanie — obecnie przenieśli się do Turcji, do Izmiru. Spotka pan tutaj cenną zbieraninę z całego świata. Pan Zaddeck i jego małżonka czują się obywatelami świata i nie uznają barier religijnych, narodowościowych lub rasowych.

— Zauważyłem to. Otrzymałem czek do banku greckiego, ale sumę podano w dolarach — odpowiedział Wojdan.

2.

Louis Mortimer był mężczyzną pod pięćdziesiątkę, podobnie jak sekretarka pracowni budowlanej, pani Vasilissa — chuda dama, władająca biegle pięcioma językami i znająca lepiej od komputera bieżące sprawy biura. Z panią Vasilissą i panem Mortimerem ucieli krótką pogawędkę, która zorientowała Wojdana w bieżącej sytuacji. Potem Stawros pożegnał się, a Mortimer oprowadził Polaka po pracowniach. Stworzono je z wielkim rozmachem, przypisując im chyba inne funkcje, niż tylko pomoc w rozwiązywaniu problemów konstrukcyjnych budowli na wysepce Erato. Wyposażenie pracowni mogło przyprawić o zawrót głowy każdego znającego biuro, w którym pracował w Warszawie inżynier architekt Bartosz Wojdan. Obecnie nie wyglądało na to, żeby pracownie zawałone były zleceniami. Poza głównym inżynierem i sekretarką były tu jeszcze dwie kreślarki, z których jedna zajęta była właśnie robieniem odbitek jakichś detali.

Dziewczyny miały po dwadzieścia kilka lat, były apetyczne i znudzone, w związku z czym Wojdan nie wątpił, że jedna z nich zapewne flirtuje z Mortimerem. A może robiły to obie? Zapamiętał ich imiona — Maria i Angela.

Mortimer spojrział na zegarek i doszedł do wniosku, że do obiadu mają jeszcze trochę czasu, warto więc odwiedzić barek „Rafael” i napić się kawy. Drugi bar — „Grotta Azzurra” otwierał podwoje dopiero po obiedzie. Zamówili nie tylko kawę, ale i koniak.

— Proszę nie liczyć się z gatunkami alkoholi — uprzedził go architekt.
— Pan Zaddeck pokrywa wszystkie koszty.

Wybrali więc jakiś szlachetny francuski trunk i kolejkę powtórzyli. Mortimer był szczęśliwy z obecności kolegi po fachu.

— Można oszaleć z nudów — przyznał się. — Cieszę się ogromnie z pańskiego przyjazdu. Zawsze będzie się komu zwierzyć z kłopotów i podejrzeń,

— Z kłopotów i podejrzeń?... — powtórzył Wojdan, akcentując pytajnik.

— Nawet w tak małym światku, a może właśnie w tak małym, nie brak kłopotów i nie brak zagadek. Kiedy tu przyjechałem, poczułem się, jakbym wstąpił w świat o zupełnie innych uwarunkowaniach niż ten, do którego przywykłem. Spróbowałem więc przyjąć tutejsze zasady życia, tutejszy rytm i egzystować jak inni, skoro oni przyjęli to wszystko za naturalne. Tłumaczyłem sobie, że znalazłem się na innej planecie, gdzie obowiązują inne reguły, przez wszystkich zaakceptowane, muszę więc i ja je zaakceptować. W dodatku pensje i honoraria wpłacał mi pan Zaddeck, a właściwie pan Stawros — bo on tu jest głównym dyrygentem, na moje konto. Rodzinę mam w Izmirze i żyje tam nieźle z tego, co ja tu zarabiam. Z pieniędzy, które odkładam, mam zamiar zorganizować własne biuro i przedsiębiorstwo budowlane. Ale, przyznam się panu, że według moich obserwacji — to, co przyjąłem za normalny rytm życia na Erato, jest chyba rytmem sztucznym. Wszystko wydaje mi się często jakąś grą, teatrem, filmem, a ja pełnię tu narzuconą mi rolę, jak aktor. W miarę, jak wchodzę w tutejsze sprawy, spostrzegam, że coraz mniej rozumiem. Za fasadą snobizmu i

dziwactwa coś tu się jeszcze dzieje... Pamięta pan legendę o Dedalu i Ikarze?

— Tak. Jaki to ma związek z wyspą Erato?

Pamięta pan z mitologii greckiej, dla kogo/ostatecznie wznosił Dedal najpiękniejszy i najbardziej tajemniczy pałac na zlecenie króla Minosa?

— Tak. Dla Minotaura. Był to ów słynny Labirynt, w którym nikt nie mógł znaleźć ani drogi do legowiska potwora, ani wyjścia. Dopiero przy pomocy Ariadny znalazł dzielny młodzieniec Tezeusz drogę do potwora Minotaura, zabił go i wrócił — trzymając się szlaku znakowanego nicią Ariadny.

— Piątka z mitologii panie Wojdan!

— Jaki to ma związek z nami? Powiedzmy, że Minos to Zaddeck, pan i ja to może Dedal i Ikar, choć nie stanowimy rodziny. Syn Dedala — Ikar — zginął w czasie ucieczki z wyspy, ale Dedalowi to się udało. Jaki to ma związek z wyspą Erato?

— Ach, może trochę w tej metaforyce przesadziłem... — odpowiedział Mortimer z ironią w głosie. — Przyszłość to pokaże.

— Podobno jeszcze w tym tygodniu mam z panem Stawrosem pojechać na Kessare, gdzie odbędzie się jakaś konferencja z przedstawicielami władz na temat rozbudowy rezydencji.

— Tak, to prawda. Stawros mi także o tym mówił.

— O co im chodzi?

— Dowiemy się na miejscu. Jak pan zauważył — w miejscu, gdzie planował pan wzniesienie trzeciego bloku rezydencji, prowadzone były już prace.

— Tak. Zauważyłem to zaraz po zejściu na ląd z pokładu „Semiramis”. Tylko, prawdę mówiąc, niewiele to ma wspólnego z moim projektem. Chodzi chyba o zabezpieczenie ścian urwiska skalnego.

— Na tyłach każdego z trzech głównych bloków mieszkalnych — głównej rezydencji, hotelu i nowej rezydencji, zaprojektowanej przez pana, wznosi się bazaltowa skała. Cały obszar archipelagu to teren podlegający większym lub mniejszym wstrząsom sejsmicznym. W starożytności zdarzyła się tutaj katastrofa, której epicentrum znajdowało się na wyspie Thirze.

Stąd nawet niektórzy z uczonych sugerują, że Thira posłużyła jako pierwowzór legendarnej Atlantydy. Kessara i Erato od stuleci są spokojne, choć i tu odczuwa się wstrząsy, jakie zdarzają się gdzieś na archipelagu.

— Warunki konkursu nie mówiły o sejsmiczności terenu.

— Istotnie, ale przy szczegółowym rozpracowaniu projektu musi to zostać wzięte pod uwagę. Poza tym jest pewna cecha charakterystyczna zabudowy — w ścianie skalnej, którą zakryje nowy budynek rezydencji, powstały w czasach starożytnych, może właśnie w czasie katastrofy na Thirze, głębokie pęknięcia.

— Tego również nie było w materiałach konkursowych!

— Konkurs dotyczył samej rezydencji, jej rozmiarów, zharmonizowania z dotychczasową zabudową, ale nie uwzględniał geologii wyspy. Ważne, że pod fundamentami mamy skałę, nieprawda?

— Czy pan także współpracował przy opracowaniu materiałów konkursowych?

Mortimer nie od razu odpowiedział, ale po chwili zastanowienia skinął głową.

— Tak, ale inicjatorem samego konkursu był pan Zaddeck, a najważniejszy głos w sprawie akceptacji pomysłu architektonicznego należał do pani Zaddeck. Nowy blok włączony zostanie do dotychczasowej zabudowy, poszerzając walory całości. Zakłada się, że na Erato powstaną pracownie naukowe i będą odbywały się tutaj sympozja i konferencje.

— To wszystko, jak rozumiem, zaplanowała pani Zaddeck?

— Tak, to jej idea „pożytecznego zdyskontowania” bogactwa męża. Piękna i szlachetna idea, nieprawda?

— W materiałach dotyczących konkursu o tym się jednak nie mówiło. Pisano tylko o rezydencji i uwzględnieniu w projekcie szeroko zaplanowanego życia towarzyskiego.

— W sumie będzie to właśnie życie towarzyskie na bazie kontaktów artystycznych i naukowych.

— Inaczej planuje się instytut naukowy, a inaczej centrum rozrywkowe. Albo decyduje się ktoś na odwiedzenie nowego Berkeley, albo nowego Las Vegas. Nie wyobrażam sobie czegoś pośredniego.

— Pana powinien zadowolić fakt, że pański projekt uzyskał najwyższą notę.

— Czy przypadkiem nie zdecydowały o tej opinii walory zewnętrzne? Mówił pan o udanym połączeniu całości...

— Być może pani Zaddeck zwróciła głównie na to uwagę...

— Przepraszam za moją indagację, ale niepokoi mnie problem tych szczelin w skale. Można je obejrzyć? Jaki mają one związek z planem rezydencji? Widziałem tam betonowe ściany, które na pewno znikną z pola widzenia, gdy wzniesiony zostanie nowy budynek. Odnoszę jednak wrażenie, że te szczeliny spełniają również jakąś funkcję w całości. Niech pan mi wreszcie powie, o co tu chodzi poza planami uczynienia z Erato centrum naukowo-towarzyskiego i zharmonizowaniem całości zabudowy?

Mortimer zaśmiał się, ale zabrzmiało to nieszczerze. Chyba wciąż zastanawiał się nad odpowiedzią, bo zamówił jeszcze dwa koniaki, nie pytając nawet gościa, czy ma takie życzenie. Wojdan zrewanżował mu się, zamawiając bez uzgodnienia dwie kawy.

— Wiem, że zabrmi to dziwnie, ale polecono mi poinformować pana, że gospodarze Erato nie życzą sobie, aby tematem czyichkolwiek zainteresowań były prace prowadzone na zapleczu zaplanowanego przez pana budynku. Są to po prostu prace związane z sejsmicznym zabezpieczeniem urwiska skalnego. Kropka. Sądzę, że w podobny sposób zamknie się dyskusję, którą mamy prowadzić na Kessarze z przedstawicielami nomu i eparchii. Po prostu wzniesiono żelbetowe ściany oporowe na wypadek trzęsienia ziemi. Nie wygląda to pięknie, dlatego należy cieszyć się, że zaprojektowany przez pana budynek rezydencji wszystko to zakryje. A poza tym — proszę nie zapominać o historii mistrza Dedala...

— I potwora Minotaura...

— Właśnie!... Wejście do Labiryntu też pewnie skrywała piękna fasada, dlatego nie mam zamiaru zgłębiać żadnej zagadki na wyspie. Nie ja budowałem te żelbetowe ściany oporowe. Gdy się tu zjawiałem zastałem wszystko w takim stanie, jak wygląda to obecnie. Pomogłem opracować konkurs na rezydencję i mam zadanie wprowadzić pana w uwarunkowania realizacji projektu.

— A kiedy zacznie się realizacja?

— Nie wiem — chyba dla pani Zaddeck ważne było, aby pan tu się zjawił, a obecnie główny punkt programu — to pański występ na Kessarze wobec przedstawicieli nomu i eparchii.

— Pan także tam będzie?

— Prawdopodobnie. Na pewno natomiast na Kessarę pojedzie z panem pan Stawros. To jemu przypadnie zreferowanie idei pani Zaddeck. Jak to pan powiedział — połączenie Las Vegas z uniwersytetem w Berkeley? Rzeczywiście — nie miejsce tu ani dla potwora z Labiryntu, ani dla Dedala. Proszę o tym zapomnieć.

3.

Zanim jeszcze Wojdan wybrał się na obiad, odbył spacer po terenie rezydencji, obejrzał wieże z windami, którymi można było zjechać na najniższy taras — do portu i wyjechać na grzbiet bazaltowego masywu wyspy, gdzie znajdować się miało lotnisko helikopterów. Zwrócił przy okazji uwagę na antenę satelitarną ponad głównym gmachem rezydencji i kręcący się radar na szczycie skalnej krawędzi, obok płaskiego budynekczku o oszklozonych ścianach, sprawiającego wrażenie dyspozytorni portowej lub wieżyczki kontrolnej na lotnisku. Naliczył w pobliżu hotelu aż trzy baseny kąpielowe — w położonym najniżej kilku ludzi pracowało przy jakichś przyrządach. Dwaj z nich nosili czarne kostiumy płetwonurków. Teren przyszłej budowli, którą zaprojektował Wojdan, porastał jeszcze kobierzec z kwiatów i trawa, którą przycinał właśnie ogrodnik. Betonowe płyty na ścianie urwiska częściowo skrywał bluszcz, ale mimo niewątpliwych starań ogrodnika betonowa powierzchnia stanowiła wciąż dysonans w architekturze całości.

O co chodziło inżynierowi Mortimerowi, gdy przypomniał mitologiczną opowieść o Dedalu i pałacu Minotaura? Wojdan udawał, że pojmuje metafory, ale tak naprawdę podejrzewał, że Mortimer próbuje go po prostu nastraszyć. Może czuł się zagrożony w swojej pozycji głównego budowniczego, wykonującego ekstrawaganckie zlecenia pani Zaddeck, jak budowniczy Senmut wznoszący pałace i świątynie dla egipskiej królowej Hatszepsut?

A może szukał w Wojdanie sprzymierzeńca, w wypadku gdyby okazało się, że jego niepokoje były jednak uzasadnione?

W czasie spaceru Wojdan co i rusz spotykał przechadzających się mężczyzn w średnim lub młodym wieku, elegancko — choć bez przesady — ubranych, barczystych, wyglądających na ludzi silnych i zdecydowanych. Wszyscy nosili ciemne okulary, jakby występowali w gangsterskim filmie, gdzie ciemne okulary pełniły rolę symbolicznego rekwizytu. Nasunęło mu to skojarzenia z gwardią starego dyktatora Haiti — Duvaliera, o której pisał kiedyś Graham Greene w powieści „Komedianci”. Nazywano tam tych gwardzistów „tonton macoute” — Wojdan nie wiedział co to znaczy, ale w tej dziwnej nazwie było coś przerażającego. Nie wątpił, że spotykani samotni mężczyźni to miejscowa odmiana „tonton macoute”, czyli ochrona rodu Zaddecków i ich bogactw. Jeżeli istotnie Simon Zaddeck miał tak ogromny majątek i stale go powiększał — taka ochrona wydawała się oczywista i konieczna.

Kiedy Wojdan zbliżył się do skalnych ścian i betonowych podpór i zapór — nagle jak spod ziemi wyrósł obok niego taki właśnie osobnik w ciemnych okularach, które nie pozwalały dojrzeć oczu, i z sympatycznym uśmiechem zwrócił się do architekta:

— Bardzo pana przepraszam, ale tu niebezpiecznie! Mam obowiązek każdego z gości zawracać. Z góry spadają często pojedyncze kamienie — mogą zranić, a nawet zabić. Dlatego buduje się tę ochronę, ale praca nie została jeszcze ukończona, więc niebezpieczeństwo jest jakby podwójne...

— Jestem architektem — przerwał mu Wojdan. — Według mojego projektu będzie budowany gmach, który uzupełni dotychczasową zabudowę rezydencji, a równocześnie zakryje te betonowe osłony — wyjaśnił goryłowi, również uśmiechając się do niewidocznych zza ciemnych szkielec oczu. Bez sensu było zapewne wdawanie się w pogawędkę z tym osobnikiem, ale Wojdanowi zależało na tym, aby przekonać wszystkich naokoło o swojej naiwności. — Tak, macie panowie rację nie dopuszczając za blisko spacerujących gości, o wypadek nietrudno. Dziękuję, że był pan uprzejmy zwrócić mi uwagę.

Gorył dalej się uśmiechał, ale nie odpowiedział. No cóż, aluzje i metafory

Mortimera mają chyba jednak jakieś uzasadnienie — pomyślał architekt. Wycofał się, wszedł na trawnik i powąchał rosnące na klombie kwiaty. Miał wrażenie, że z różnych poziomów wyspy, z zakamarków budynku, z wieży kontrolnej i przeszklonych pawilonów obserwują go niewidzialne oczy skryte za ciemnymi okularami. Z pewnością wielu obserwatorów oszacowało go w tym momencie jako nieszkodliwego, przeciętnego idiotę. Być może jednak znaleźli się i tacy, którzy domyślili się, że nowo przybyły architekt stracił już resztki entuzjazmu dla wyspy i nie podjąwszy jeszcze rozstrzygających decyzji, próbuje udawać kogoś takiego, na kogo nie warto zwracać uwagi.

Na obiad przybył punktualnie do przestronnej Sali Turkusowej. Był pewny, że spotka tam wielki stół, choć może ustawiony w podkowę, aby zmieścić wszystkich gości i przedstawicieli gospodarzy, ale omylił się. Sala wyglądała jak typowa restauracja czterogwiazdkowego hotelu, a jak go objaśniono — istniał tu zwyczaj, że codziennie szef sali inaczej kładł wizytówki gości, co powodowało, że przy kolejnych obiadach wszyscy zawierali znajomości między sobą. Również przy innym stoliku siedzieli codziennie pani Zaddeck i Stawros. Sam pan Simon Zaddeck nigdy nie jadał w Sali Turkusowej, lecz sam, w swoim gabinecie — tłumek snobistycznych gości zapraszanych przez snobistyczną małżonkę działał mu chyba na nerwy. Tak w każdym razie utrzymywała Diana Morelli, która jadała także w Sali Turkusowej, mimo że inne sekretarki, kreślarki i średni personel spożywał obiady w salce obok. Tam również jadali ludzie z ochrony. Diana Morelli znalazła się tym razem przy stoliku Wojdana — co chyba nie było przypadkowe. Przy tym samym stoliku siedział lekarz zamieszkały na Erato — pan Antonis Demiris oraz adwokat Bruno Weber. Pani Zaddeck i majordomus Dimitri Stawros siedzieli z młodym poetą Geofreyem Hardym i artystą Orazio Girottim. Kapitan „Semiramis” Salvatore Montaldo konsumował obiad w towarzystwie inżyniera Mortimera i jakiejś starszej pary — siwo-włosego, opalonego na brąz dżentelmena i „dobrze zakonserwowanej” damy w wieku prababci — podobno amerykańskich milionerów, skierowanych na Erato „z referencjami” Jackie Kennedy-Onassis, choć mogło to

być tylko plotką. Dwa stoliki dalej samotny szczupły, starszy pan, paląc cygaro przeglądał gazetę. Diana Morelli szepnęła Wojdanowi, że jest to szef ochrony Zaddecka — Samir Lakhjs, przybył tu z Libanu, z samego piekła wojny domowej.

Po zjedzeniu zakąski wstał Stawros i poprosił obecnych o chwilę uwagi, po czym poinformował, że na sali znajduje się laureat konkursu na rozbudowę rezydencji. Inicjatorką projektu jest p.łmi Kleandra Zaddeck. Rozległy się oklaski i Wojdan pomyślał, że wypadałoby wstać i podziękować za gorące przyjęcie, ale na szczęście tego nie zrobił. Oklaski były przeznaczone dla pani Zaddeck, która właśnie podniosła się, dziękując za aplauz. Diana Morelli nachyliła się Wojdanowi do ucha i — mimo że nie byli przy stoliku sami — powiedziała półgłosem: — Czuję się jak w teatrze, który gra wciąż jedną sztukę.

— Jeśli widownia pełna, należy ją grać! W Londynie szła kilkanaście lat, a może nawet dłużej „Pułapka na myszy” Agathy Christie — wzruszył ramionami Wojdan.

— Tak, to prawda, ale w tym czasie wielokrotnie zmieniali się aktorzy... — wtrącił adwokat Bruno Weber, robiąc „oko” do Polaka.

— A jednak podziwiam tę kobietę — podsumował lekarz.

— Wierzę, że zrealizuje swoje zamierzenia, choć dziś zdają się one daleko, daleko na wyrost.

Potem Stawros zaprezentował dwóch nowych gości — poetę i artystę malarza. Hardy został zobligowany oklaskami do wygłoszenia swojego wiersza. Nie poszło mu to składnie, jękał się, trema ścisnęła mu gardło, miał łzy w oczach, choć sam króciutki utwór mógł się podobać. Natomiast prezentacja malarza udała się lepiej — zrobiły to za niego płótna, które jeszcze przed obiadem zawieszono na ścianie Turkusowej Sali. Jak zapowiadał już Stawros na pokładzie jachtu „Semiramis” — były to ponure kompozycje katastroficzne, pejzaże grozy w tonacji szaroniebieskiej, które zupełnie nie pasowały do ich twórcy. Gdyby zgadywać charakter twórczości według fizjonomii artysty, po Orazio Girottim można było spodziewać się orgii barw oraz tuzina „Śniadań na trawie” z udziałem rozebranych modelek...

— Chciałbym z panią zamienić kilka słów, czy będzie to możliwe dziś po południu? — spytał Wojdan pannę Morelli, korzystając z momentu, kiedy lekarza i adwokata zaabsorbował jakiś problem polityczny.

— O to łatwiej w Atenach, niż tutaj. Wszyscy interesują się wszystkimi i nigdy nie wiadomo, co może wzbudzić podejrzenia.

— Jakie podejrzenia?

— Ach, to skomplikowany temat. Mogę tylko pana zapewnić, że jeżeli oboje będziemy się bardzo o to starać, w końcu na pewno spotkamy się, ale ani w barze „Rafael”, ani „Grotta Azzurra”. Nie jestem prowincjuską o mieszczańskiej duszy, ale bardzo dobrze mi tu płacą i z konieczności akceptuję cały ten teatr, w którym wszyscy jesteśmy trochę widzami, a trochę aktorami.

— Dalej nie wiem, co pani ma na myśli.

— A może jednak pan się domyśla, ale chce, żebym ja to potwierdziła?

— Za dużo wokół zagadek, panno Morelli, a ja nie mam talentu do rozwiązywania szarad. Potrzebuję pomocy.

— Tak prędko? Ma pan przecież mieszkać tu trzy miesiące albo dłużej... No, ale dobrze — lepiej od pana orientuję się w tutejszej dżungli i sama spróbuję pana znaleźć. Jeśli mogę coś panu doradzić, proszę udawać zachwyconego wyspą Erato i nie zdradzać przesadnej ciekawości. Bardzo tu tego nie lubią. A teraz zmieńmy temat — co powie pan o twórczości pana Girottiego?...

Po obiedzie stracił Dianę Morelli z oczu i wrócił do swojego pokoju. Wówczas to poznał pokojówkę Katinę — szczupłą seksowną blondynkę o niezwykle długich jak na Greczynkę nogach. Mówiła po angielsku i niemiecku, chętnie udzieliła mu wielu informacji. Potem stwierdził, że kiedy przebywał na obiedzie, ktoś dokładnie sprawdził jego bagaż. Pokojówka? Wszystko było możliwe. Kiedy pod wieczór wyszedł z pokoju, na korytarzu spotkał włoskiego malarza. Włoch zaczął go pierwszy, wyznając, że czuje się tu obco. Szukał chyba także towarzystwa. We dwójkę udali się do baru „Grotta Azzurra”, gdzie po wypiciu trzech koniaków malarz opowiedział mu dość niezwykłą historię, nieświadomie uderzając w struny nastroju, w którym Polak pogrążył się po pierwszej nocy spędzonej w hotelu „Xanadu”...

4.

— To nieprawda, że na wyspę Erato przygnał mnie tylko snobizm, którego mi nie brak oraz oczywista chęć spieniężenia moich obrazów, w dodatku za wyższą cenę niż ta, którą mógłbym uzyskać w Italii — opowiadał malarz. — Było coś jeszcze — intrygowała mnie osoba pani Kleandry Zaddeck. Intrygowała mnie osoba jej męża, o którym gazety napomykają dwuznacznie w związku z głośnymi aferami pod cypryjską i libańską banderą, tajemniczymi zniknięciami statków, zmianami ich nazw i przemytem broni dla Libanu, dla Iranu, dla Iraku i Bóg jeden wie dla kogo jeszcze. Wreszcie ciekawiła mnie sama wyspa i tutejsza rezydencja, daleko większa i bogatsza niż wyspa Skorpios Onassisa, dokąd zaproszony byłem dość dawno, oczywiście ze swoimi obrazami, kiedy jeszcze kwitło małżeństwo Jackie Kennedy z Onassisem — jak pan widzi, jestem już dobrze trzymającym się starszkiem. Ale sama ciekawość, to jeszcze mało. Nałożył się na nią pewien dramat i chyba on spowodował bezpośrednio chęć przyjrzenia się z bliska życiu na Erato i miejscowej królowej...

— I co, przyjrzał się pan?

— Właściwie dostatecznie, aby wyrobić sobie pewien pogląd na całe imperium i osobę pani Zaddeck. Jak pan myśli, kto tu jest ważniejszy — ona czy jej mąż?

— Nie znam jej męża, ale myślę, że on. To właśnie on zbudował to... „imperium” — odpowiedział Wojdan z ironią w głosie.

— Ja też go nie widziałem, ale przecież mam już o nim klarowne wyobrażenie, tak jak i o niej. Otóż — myślałem tak jak pan, że ona błyszczy światłem odbitym, jak księżyc odbijający światło słońca. Ale myliłem się.

— To ona jest słońcem?

— Mamy dwa słońca. Egzystują na zasadzie zrównoważenia sił, nawzajem się odpychając i przyciągając.

— Tak, ale jest to egzystencja nie obliczona na długo — albo zwycięży przyciąganie albo odpychanie, a wówczas nastąpi kosmiczna katastrofa.

— Myślę podobnie, panie Wojdan.

— A owe przeżycia, wiążące się z osobą pani Zaddeck?

— W samolocie z Amsterdamu na Lazurowe Wybrzeże poznałem pewnego Holendra. Wyglądał jak typowy mieszczuch, średnio zamożny urzędnik bankowy, księgowy albo producent serów. Nie spostrzegam zasadniczej różnicy w wyglądzie przedstawicieli tak różnych profesji. Nazywał się van Mander albo van Wander — przedstawił się niewyraźnie, chyba i tak było to nazwisko zmyślane. Nieważne — przyjmijmy, że nazywał się van Mander. Joost van Mander. Tak nazywam go w myślach. Samolot nie lądował w Paryżu — lecieliśmy prosto do Nicei, skąd udawałem się do Cannes. Mój paryski marchand miał tam przyjaciela, który wystawił pięć moich obrazów i uzyskał jakieś zamówienia. Był to więc lot w interesach, Cannes nie nadaje się zresztą na odpoczynek. Jedyne „skok w bok”, na który pozwoliłem sobie dla przyjemności, to było zatrzymanie się na krótko w Cagnes-sur-Mer i pokłonienie się ceniom Renoira. Mój towarzysz podróży także udawał się do Cannes, ale na lotnisku nasze drogi rozchodziły się, w związku z moim planem wyjazdu do Cagnes-sur-Mer. Gdy stewardesa sprzątnęła plastikowe tacki z resztkami posiłku i zostaliśmy przy kawie i koniaku, mój przygodny towarzysz podróży pokazał mi zdjęcia żony i trójki dzieci. Jechał do Cannes na krótki urlop — jak mi wyznał. Z żoną i dziećmi spędzał co roku urlopy w Knokke, wyjeżdżał na niemiecką wyspę Sylt, ale co dwa, trzy lata wypoczywał samotnie nad Morzem Śródziemnym. Był na Majorce, mieszkał w Marbelli na Costa del Sol w Hiszpanii, znał Wenecję, a teraz wybrał się do Cannes.

— Nie jestem chyba całkiem normalny. Przypominam człowieka, który w kręgu najbliższych uchodzi za wzór normalności i osobę godną szacunku, ale kiedy na niebie pojawia się księżyc w pełni zamienia się w wilkołaka — wyznał.

— Pan zmienia się w wilkołaka? — zażartowałem.

— Tak, na to wygląda. Tyle że nie zawsze przy pełni księżyca. Rzadziej.

Co dwa lata... Trzy... Widzę, że czytał pan jedną z książek o przygodach agenta specjalnego 007 czyli Jamesa Bonda — do niedawna Fleming był najpopularniejszym autorem książek sensacyjnych, obecnie zdystansował go Alistair MacLean. Lubi pan książki kryminalne i sensacyjne? — pytał.

Przytaknąłem. Wówczas roztoczył przede mną własną teorię na ten temat, dość skomplikowaną, trudną do spamiętania i nudną; normalnie — obowiązki w pracy i obowiązki w domu, a jedyną rozrywkę stanowiła lektura, wprowadzająca go w rzeczywistość zmyśloną, kontrastującą z jego codziennością. Tą lekturą były powieści kryminalne i sensacyjne — od klasyki Conan Doyle'a, po Hammetta i Chandlera, Fleminga i MacLeana. Pan van Mander nie tylko fascynował się przygodami innych, ale sam identyfikował się z bohaterami tych powieści. — Nie znajdowałem się na zewnątrz fabuły, ale wewnątrz — to ja byłem agentem Jamesem Bondem — wyznawał mi w samolocie, ocierając chusteczką spocone czoło i pijąc czarną kawę „espresso”. — Kiedy w letnie popołudnie szedłem do ogrodu naszej willi i kładłem się na hamaku, napływały do szarych komórek mego mózgu jakieś nieznane mi obrazy miasta i nierzeczywiste postacie, snuła stę fabuła pełna zagadek, pościgów, obcych agentów i pięknych, złych kobiet. Toja grałem tam główne role, ja prowadziłem sekretne sprawy i ja zabijałem... Tak zrodziła się idea moich wyjazdów — dalszy ciąg lektur i dalszy ciąg marzeń...

Byłem zaszokowany tym wyznaniem. Mój towarzysz podróży nie wydał mi się całkiem normalny. Zastanowiłem się, ale po chwili zebrałem się na odwagę i spytałem: „... i zabijał pan?” — Ach, proszę tego nie rozumieć dosłownie — uspokoił mnie. — To była tylko zabawa. Przybywałem na przykład na Majorkę i mojemu „agentowi 007” wydawałem rozkaz — „Zabijesz człowieka zajmującego w hotelu N apartament 1118”. Numer wybierałem przypadkowo, ale po przybyciu na miejsce szukałem hotelu i zaczynałem obserwację wybranego pokoju, potem mieszkającego tam człowieka i powoli konstruowałem plan jego zabicia. Nie, nigdy dalej się nie posunąłem, nie jestem maniakałnym mordercą. Był to tylko rodzaj zabawy, w którą bawiłem się wspólnie z moją wyobraźnią. Udawałem sam przed sobą,

że jestem „agentem 007”...

Tak, była to tylko zabawa, ale chyba należało mieć ku temu specjalną predyspozycję psychiczną. Pan van Mander twierdził, że dwukrotnie mieszkańcy wybranych przez niego przypadkowo apartamentów zauważyli, że są obserwowani i... zbiegli. — Obecnie także założył pan sobie taką zabawę w zabijanego? — spytałem ostrożnie mojego przygodnego kompana. — Ależ tak! — odpowiedział. — Losy wielkich mocarstw i światowego pokoju zależą od wykonania przeze mnie nowego zadania. Liczą na mnie! Jestem przecież w tej dziedzinie specjalistą.

Spytałem go czy ma przy sobie broń.

— Ależ skąd! Mógłbym mieć nieprzyjemności na lotnisku, a to zepsułoby mi zabawę. Przecież nie zamierzam nikogo naprawdę zamordować.

Przyznałem się mu wówczas, że znając nieszkodliwe zasady tej gry, nie chciałem zamieszkać w wybranym przez niego dla zabawy hotelu, zwłaszcza w pokoju, którego numer podpowiedziałyby mu jakże bujna jego wyobrażenia. Nie ma co, ale oryginał! — pomyślałem, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie na nicejskim lotnisku i obserwowałem go, jak odchodził. Nie liczyłem, że go kiedykolwiek jeszcze zobaczę i wcale do takiego spotkania nie tęskniłem. A jednak w kilka dni później w barku luksusowego hotelu przy bulwarze La Croisette, dokąd trafiłem przez prosty snobizm, ujrzałem Joosta van Mandera. On także mnie dojrzał, nawet spostrzegłem na jego twarzy coś w rodzaju radości — chyba w całym Cannes byłem jedynym jego znajomym. Podeszedł i przywitał się. Piłem „whisky on the rocks” — on zamówił to samo.

— To bardzo drogi hotel, czyżby zdecydował się pan na tak wygórowane opłaty za przyjemność zrobienia sobie zdjęcia na tle palm nadbrzeżnych albo narożnika przy rue Amouretti z imponującą fasadą Pałacu Festiwalu?

— Ach nie! — zaprzeczył, śmiejąc się. — Odwiedzam jednak tutejsze bary, mieszka tu bowiem moja klientka.

— Klientka?

— „Agent 007” otrzymał tym razem diabelnie trudne zadanie. Wybrany apartament z przyległościami, niemal całe piętro, zajmuje piękna i tajemnicza kobieta, żona pewnego bogacza, który ostatnio kupił jakąś grecką wyspę. W hotelu zameldowała się pod swoim panięnskimi nazwiskiem Christopulos, ale już wiem z całą pewnością, że to Kleandra Zaddeck. Goryzej nie mogłem trafić. Jest tu z całym dworem pokojówek i goryli — stać ją byłoby na wykupienie całego hotelu, ale pewnie imponuje jej „proletaryzowanie się” z pospółstwem przeciętnych milionerów.

— To ją właśnie ma zabić „agent 007” siedzący w skórze Joosta van Mandera?

— Zgadł pan.

— Niech więc pan doradzi „agentowi 007” szczególną ostrożność. Można się sparzyć — ten piękny kwiat może mieć trujące kolce.

— Dla mojego „agenta 007” samo zabójstwo na zlecenie, nawet dla obrony światowego pokoju, nie ma w sobie nic podniecającego. Ekscytuje go tylko cała otoczka zbrodni — wielki hotel, Cannes, bulwar, palmy, milionerzy, ruletka, szum morza.

Szekspir także zwracał uwagę na okoliczności, a nie na samą zbrodnię. Pisał o tym wielki angielski romantyk Thomas de Quincy w eseju „Morderstwo jako jedna ze sztuk pięknych”. Chodzi o nastrój, o grę światła, o tajemniczość — trup jest tylko rekwizytem w całej tej sprawie, biorąc udział w spektaklu jako jego dramaturg, reżyser i aktor...

Zamilkł. — Spojrzałem w ślad za jego wzrokiem i ujrzałem idącą samotnie przez hall szczupłą, elegancko ubraną kobietę. Nosiła duże ciemne okulary, przez co jej twarzy nie udawało się zapamiętać. Była to pani Kleandra Zaddeck.

— Pójdę już... — powiedział mój Holender. — Zatrzymuje się pan dłużej w Cannes?

— Nie, jutro wyjeżdżam — odpowiedziałem.

— To dobrze. Tyle panu naopowiadałem, że musiałbym pana zabić, gdyby miał pan zamiar zostać — zaśmiał się nerwowo, dopił whisky, odstawił szklankę z nieroztopionymi grudkami lodu, zapłacił i odszedł lunatycznym krokiem w ślad za elegancką damą.

Następnego dnia zobaczyłem go po raz trzeci, ale już z nim nie rozmawiałem. Był świt — pora, w której uwielbiam spacerować nadmorskie. Miał to być mój ostatni spacer poranny w Cannes, pożegnanie z Lazurowym Wybrzeżem. Było dość chłodno, na plaży przy bulwarze Hiberta — pusto. Koło hoteli krążyły sprzątaczkę, dostawcy mleka, owoców, jarzyn i „frutti di mare”. Morze osnuwała błękitna mgiełka. Joost van Mander leżał blisko wychodzącego w morze mola, u stóp piętrzącej się zabudowy Mont Chavallier. Twarz miał spokojną i nie znać było na niej bólu. Wyglądał podobnie, jak wówczas w samolocie, gdy po naszej rozmowie zapadł w sen i wcielił się w „agenta 007”. Tym razem jednak nie spał. Pocisk wystrzelony zapewne z wielkokalibrowego magazynku wszedł w okolicy serca — lepiej było nie oglądać pleców zamordowanego, była tam chyba dziura wielkości talerza. Obok stała gromadka ludzi. Właśnie nadjeżdżała policja i ambulans... Odwróciłem się i odszedłem, przeciąłem bulwar i znalazłem się koło kasyna na La Croisette... Może liczyłem, że spotkam gdzieś jeszcze madame Kleo? To oczywiście, że nie spotkałem. O tej godzinie najprawdopodobniej pogrążona była w spokojnym, błogim śnie.

Po południu opuściłem Cannes, a wieczorem wyleciałem z nicejskiego lotniska Côte d'Azur do domu, do Italii. Dziś zobaczyłem panią Zaddeck drugi raz w życiu. Miałem nadzieję, że spojrzę jej w oczy, ale nosi tak bardzo zaciemnione okulary, że okazało się to niemożliwe. Niech mi pan powie — przez takie okulary, cały świat wydawać się musi wiecznie pogrążony w półmroku, nieprawda?

5.

Gdy Wojdan rozstał się z malarzem i ruszył do swojego apartamentu, było już ciemno, wiał chłodny wiatr od morza, a na horyzoncie mrugały światła na Kessarze. W głębi świecił port Pandros, bliżej latarnia morska na przylądku Nimfea i czerwone lampy ostrzegawcze dla samolotów na szczytach Profitis Elias i Agia Triada. Bardzo chciał spotkać Dianę Morelli,

wydawało mu się, że mogłaby udzielić mu kilku informacji, nie przekraczając granicy dyskrecji, do której zobowiązywała ją jej lojalność, ale nie zjawiała się w barku „Grotta Azzurra”, a bar „Rafael” był już zamknięty. Teren przed główną rezydencją był silnie oświetlony, w przeciwieństwie do obszaru, na którym miał stanąć nowy budynek i gdzie betonowe ściany zabezpieczały urwisko. Tam panowały ciemności, jedynie punktowe reflektory rzucały snopy światła na dwie tablice, informujące, że jest to teren budowy i wejście obcym zabronione z uwagi na zagrożenie niebezpieczeństwo.

Wojdan odkrył jeszcze jedną kawiarnię pod budynkiem hotelowym, chyba pomyślaną jako „podręczny” klub dla mieszkających tam gości.

W kąciku kawiarni drzemał „neobajronowski” poeta, Geoffrey Hardy, któremu najwyraźniej urwał się film o rajskiej wyspie Wielkiego Kalifa. Architekt Louis Mortimer siedział w towarzystwie obu kreślarek swojej pracowni — Marii i Angeli. Na widok Wojdana przeprosił obie panienki i zaciągnął przybysza do innego stolika w ciemnym kącie kawiarni. Na stoliku paliła się lampka w kolorowym abażurze.

— Koniak? Whisky? — spytał.

— Dziękuję. Po tygodniu takiego życia można wpaść w alkoholizm — pokręcił głową Wojdan.

— Kawa?

— Też nie — ileż można wypić kawy przed snem, żeby w końcu jednak zasnąć?

— Mają tu taką specjalność — herbatę ziołową, idealną na dobre trawienie i sen.

— Niech więc będzie herbata ziołowa.

— Już zamawiam — Mortimer wstał i podszedł do baru, a po chwili wrócił, niosąc dwie niewielkie filiżanki aromatycznego płynu. Wojdan w bukiecie ziół odnalazł zapach mięty i przyniosło mu to zew dalekiego domu. W czasie strajków i wielkiego kryzysu w Polsce, gdy półki sklepów nagle opustoszały, zdążył zaopatrzyć się w stertę pudełek z miętą w worczech „tea-bag”. Lubił ten zapach — uspokajał go.

- Już się pan zadomowił? — pytał Mortimer.
- Zadomowił? Chyba nigdy się tu nie zadomowię. Rozglądałem się, szukając pana...
- Zjrzałem do „Grotta Azzurra” i spostrzegłem tam pana w towarzystwie tego włoskiego malarza. Nie chciałem przeszkadzać.
- Ach, opowiadaliśmy sobie zupełnie nieobowiązujące historie o duchach. Idealny temat na takiej wysepce jak ta, w dodatku po zmroku.
- O duchach? — zdziwił się Mortimer. — Ma pan jednak rację, zauważając specyfikę nastroju wyspy.
- Jak długo mieszka pan tutaj?
- Dwa i pół miesiąca.
- A na jaki czas ma pan kontrakt?
- Na czas nieograniczony, ale z prawem opuszczenia wyspy każdego dnia.
- Dobrze wiedzieć o czymś takim. Chyba też zrobię podobne zastrzeżenie, jeśli oczywiście w ogóle zaproponują mi kontrakt. Czy mógłbym zadać panu kilka pytań? Kiedy rozmawialiśmy przed południem, nie byłem jeszcze zorientowany w warunkach życia na Erato. Teraz jestem już nieco mądrzejszy. Czy w ciągu pańskiego pobytu tutaj rozmawiał z panem pan Zaddeck?
- Nie. Nigdy go nie widziałem.
- To niemożliwe!
- Ależ tak! W jego imieniu część spraw załatwia pani Zaddeck, a drugą część Stawros.
- Nie mówiono panu, kiedy wraca nasz gospodarz?
- Nie, ale w gruncie rzeczy nie jest mi potrzebny. Wiem, co mam robić, płacą mi dobrze, mieszkam luksusowo, nawiązałem nawet romans z kreślarką Marią, Angela jest wolna. Gdyby bardzo się panu nudziło, może się pan śmiało z nią zaprzyjaźnić. Ona także się piekielnie nudzi. Wypłacili panu nagrodę za projekt?
- Nie. Dostałem od pani Zaddeck czek na dziesięć tysięcy dolarów jako zadatek — nie wiem, czy jest to zadatek nagrody czy honorarium. Nie

wiem też w sumie, kto zdecydował o przyznaniu mi nagrody.

— Jury, oczywiście, ja też złożyłem swój podpis obok podpisu pana Stawrosa, ale najważniejszy głos, miała pani Zaddeck.

— Dlaczego szukano projektantów w północnej Europie? W Grecji i we Włoszech, we Francji, nawet na Malcie jest ich wystarczająco wielu.

— Nie wiem — widzi pan, nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania.

— Czy to pan wznosił te betonowe ściany przy urwisku?

— Nie. One tam już były. Mówiłem już panu, że ktoś był tu przede mną, a część tych ścian stała już, kiedy Zaddeckowie kupowali wyspę. Prawda jest taka, że to pani Zaddeck jest właścicielką wyspy, choć pieniądze były jej męża i tu właśnie mieści się centrala interesów Wielkiego Kalifa.

— Wielkiego Kalifa... — powtórzył Wojdan z ironicznym uśmiechem.

— Więc i panu jest znane to przezwisko.

— W pewnych kręgach zna je cały Bliski Wschód.

— Co pan tu robił dotąd? Czy opracował pan jakieś projekty?

— Tak. Między innymi wykańczałem bar „Grotta Azzurra”. Miałem tyle czasu, że uwzględniłem w zabudowie i dojściu do baru pewne pańskie pomysły. Zaplanował pan przecież połączenie nowego budynku rezydencji z barem. Kiedy tu przyjechałem, nastrój ogólny był inny — wydawało mi się, że wszystkie projekty będą wkrótce zrealizowane. Nasze atelier było nastawione na przygotowanie planów do bezpośredniego ich wykonania. Było tu jeszcze dwóch inżynierów. Potem nagle tempo osłabło. Przyjechał pan w momencie, kiedy cały personel rezydencji odczuwa już tę zmianę nastroju i rozgląda się podejrzliwie na boki. Mam nadzieję, że przyjazd pana Zaddecka wszystko tu zmieni.

— Dobrze, że mi pan to powiedział. Jestem na wyspie dopiero jeden dzień, a wszystko, co tu spotykam, jawi mi się jak rzeczywistość ze snu. Snobizm, rozrzutność na pokaz. Jedyna realność to czek w moim portfelu. I ostatnie pytanie — co oznaczają te betonowe wsparcia urwiska? Na tyle, na ile mogłem to zrobić, nie zwracając zanedbto uwagi ludzi z ochrony, przyjrzałem się tym betonowym podporom. To mi bardziej wygląda na

bunkier, niż na ściany oporowe ochraniające rezydencję w razie trzęsienia ziemi. Czy jest to rzeczywiście obszar sejsmiczny?

— To nie tajemnica — cała zatoka, w której leży Erato, to kaldera dawnego wulkanu. Jego erupcja miała się zdarzyć kilka tysięcy lat przed wybuchem, którego efekty obejrzeć można we współczesnej Thirze. Uważa się, że Erato to sam szczyt wygasłego wulkanu, a Kessara to resztki wypiętrzonej kaldery. Zdarzały się tu w czasach historycznych trzęsienia ziemi, ale o minimalnej sile i zdaniem geologów były to drgania, których epicentrum leżało zawsze daleko — potwierdza to teorię, że wulkan Erato na zawsze zamilkł, jeszcze zanim zjawili się tu pierwsi żeglarze.

— Nie mówi mi to jednak nic o tych betonowych ścianach.

— Powiem panu, kto je postawił, choć tego tematu nie porusza się na wyspie. Wyspa Kessara znajdowała się w czasie wojny pod administracją włoską, ale na Erato stali wyłącznie Niemcy. To oni pogłębili istniejące szczeliny, a ich sklepienia wzmocnili żelbetowymi płytami i urządzili lotnisko na grzbiecie całej tej bryły, przypominającej skorupę żółwia. Lotnisko było tak dobrze przygotowane, że lądowały tu nawet trójśilnikowe junkersy. System chodników w bazaltowej skale zbudowali jeńcy wojenni, Grecy i Jugosłowianie, oraz więźniowie. W czterdziestym czwartym, kiedy na archipelagu lądowali Anglicy, Niemcy zbiegli, ale nikt z jeńców i więźniów tego nie przeżył.

— Do czego miały służyć Niemcom te korytarze?

— Nie ma żadnej pewności, ale przypuszcza się, że miały to być magazyny bomb i amunicji, podziemne obozy dla budowniczych tych katakumb — jeńców i więźniów, a wreszcie wyrzutnie rakiet typu V-2, skierowanych na rafinerie i szyby naftowe Bliskiego Wschodu, na porty Morza Śródziemnego. Wejście do tych grot zamurowano i — o ile wiem — nie istnieją ich plany, nikt zresztą nie był tym zainteresowany. Ja tam nie wchodziłem...

— Jeśli zostały zamurowane, nie można tam wejść!...

— Właśnie tego nie jestem zupełnie pewien... Od czasu gdy cały Bliski Wschód ogarnięty został płomieniem lokalnych wojen i powstań, temat ten wrócił w postaci plotek. Dla nas, pracowników imperium Wielkiego

Kalifa, temat ten nie istnieje — betonowe ściany zamknęły na zawsze wejścia do wnętrza bazaltowej skały. Z dawnych czasów pozostała tylko jedna sztolnia, wykorzystana do wyciągu na sam grzbiet płaskowyżu, służąca do kontaktu z lotniskiem, wieżą kontrolną i radarem.

— To sugeruje, że rezydencja ma dalej coś z charakteru bazy wojennej.

— Bo to jest w gruncie rzeczy baza, panie Wojdan. Baza klanu Zaddeczków, któremu przypisuje się wielkie znaczenie nie tylko w kupieckich kręgach Bliskiego Wschodu. Teoretycznie powinniśmy znać plan podziemnych korytarzy i szczegółowe dane geologiczne, skoro w pobliżu tej podziurawionej ściany ma powstać nowy gmach, ale musimy zadowolić się tym, co nam wiadomo oficjalnie — ściana zyskała antysejsmiczną ochronę i może nas najwyżej interesować, jak wpłynie to na naturalne oświetlenie pomieszczeń położonych po tej stronie budynku.

— Uwzględniłem to w moim projekcie — od strony skały umieściłem recepcyjny westybul ze schodami, windami i galeriami na piętrach, oświetlony w całości przez oszkloną szybkami kopułę.

— Tak, pamiętam. Może istotnie nie powinno to nas w ogóle interesować? Chyba, że...

— Chyba, że co?

— Gdybym miał zamieszkać tu na stałe, sprawdziłbym ostatnie drgania sejsmiczne na Kessarze i Erato oraz kilka innych zjawisk, dość zagadkowych.

— Na przykład?

— Na Erato nie ma zupełnie ptaków, a spotkać je można na skałach Kessary, koło przylądka Nimfea. Nie jest to przecież daleko.

— Nie ma pan zamiaru zostać tu na stałe?

— Nie mam tu żadnego poważnego zajęcia, a dłuższy pobyt na wyspie sprawia, że wypadam z giełdy zamówień, zleceń, umów. To, co początkowo bilansowało się dodatnio, zaczyna przynosić straty. Poza tym... — urwał nagle, dopił ziołową herbatę i zapalił papierosa.

— Niech pan dokończy...

— Ach, to sfera moich osobistych odczuć, może efekt różnych przemysłań, spostrzeżeń, zaobserwowanych faktów. Nie wiem, czy dobrze robię, zdradzając to panu, ale powiedzieliśmy sobie już tak wiele. Ja, po prostu, boję się...

6.

Drzwi do swojego apartamentu zastał Wojdan niezamknięte, co go zaskoczyło. W dodatku w pokoju było ciemno. Gdy zapalił światło, zobaczył, że w otwartym oknie stoi pokojówka z jego korytarza, Katina. Zaskoczył ją i przestraszył. Cofnęła się do okna, potem jednak oparła o parapet. Jej oczy wyrażały strach.

— Przepraszam... Bardzo przepraszam... — wybąkała, odwróciła się i zamknęła gwałtownie okno, zasuwając story. — Taki ładny wieczór... Posprzątałam już u pana i na chwilę zamyśliłam się przy otwartym oknie.

Kłamała. Wieczór nie był ładny — dość pochmurny, wiał wiatr, a szum fal rozbijanych o nadbrzeżne skały dochodził aż tutaj, do pokoju, przez zamknięte okna. Wojdan przyjrzał się jej — przypominała raczej Włoszkę niż Greczynkę. Mówiła dobrze po angielsku, pochodziła więc z jakiegoś miasta, może nawet pracowała przedtem w hotelu dla zagranicznych gości. Postanowił skorzystać z okazji i zamienić z nią kilka słów.

— To mój pierwszy dzień na wyspie — wyjaśnił, uśmiechając się przyjaźnie. — Zwiedziłem wszystko, co można było tu zobaczyć. Salę z kominem, Salę Turkusową, Bar „Rafael”, bar „Grotta Azzurra” i kawiarnię na parterze.

— Tak, niewiele jest tu do oglądania. Chyba będzie więcej, gdy zostanie ukończone akwarium w podziemiach baru „Grotta Azzurra”.

— Akwarium?

— Tak. Pan Zaddeck chce zbudować tam wielkie akwarium i zorganizować wystawę podmorskich cudów świata — koralowców, ryb, ośmiornic. Od dawna przy jego gabinecie i w podziemiach baru, w miejscu przyszłego

akwarium, składane są przyszłe eksponaty — mówiła płynnie, nie sprawiała wrażenia kogoś z archipelagu, ale specjalnie dobranej hostessy. Wojdan pomyślał, że nie zdziwiłby się, gdyby miała wyższe wykształcenie. Ostatecznie jej profesja nie różniła się niczym szczególnym od zajęcia stewardesy — chyba wyższą gażą.

— Nie wiedziałem, że pan Zaddeck ma takie hobby... — pokręcił głową, próbując przeciągnąć rozmowę. Przerażenie zniknęło z twarzy pokojówki, ale dalej stała przy oknie, w tym samym miejscu, gdzie ją zastał. — Czy zna pani Zaddecka?

Zaśmiała się.

— Ma pan o stosunkach na Erato zbyt demokratyczny pogląd! Pan jest Polakiem?

— Tak. Może źle się wyraziłem. Chodziło mi o to, czy zna pani Zaddecka z widzenia, czy po prostu spotykała go pani? Może jest tu jakiś jego portret?

— Portret taki rzeczywiście wisi w gabinecie pana Zaddecka. Widziałam go, kiedy zastępowałam chorą koleżankę pilnującą porządku w centralnej części rezydencji. Kiedy jednak pan Zaddeck wyjeżdża, nikt nie ma tam prawa wstępu, no, pewnie z wyjątkiem pani Zaddeck lub pana Stawrosa. A jeśli chodzi o osobę naszego szefa, nigdy go nie widziałam.

— To śmieszne — nawet pan Mortimer, mój kolega po profesji, go nie zna.

— Kiedy pan Zaddeck wraca ze swoich wojaży, także rzadko można go zobaczyć. Spaceruje nocą lub o świcie. Z gośćmi spotyka się z reguły pani Zaddeck, chyba, że są to osobiści goście pana Zaddecka.

— Znała pani Santopulosa?

— Tak. Wprawdzie często podróżuje, ale ma pokój w końcu korytarza i zawsze tam wraca. Teraz też gdzieś wojażuje. Lubimy go, bo grzeczny, uczynny, wesoły, w odróżnieniu od innych.

— Mówi pani o gorylach?

— O kim?

— No, o ludziach z ochrony? Nie wymaga się od nich grzeczności, ale siły, odwagi i pewnej ręki. A jeśli chodzi o pana Santopulosa, to nie ma go

wśród żywych. Został zamordowany w Atenach, w hotelu „Xanadu”.

— Nie żyje? — była zaskoczona i znów na jej twarzy pojawił się lęk. — Jak to się stało?

— Został zasztyletowany w łóżku, w swoim pokoju. Był moim opiekunem w Atenach. Paskudna sprawa!

— O tak — paskudna!... — zasztyletowany... — powtórzyła, potem jakby przebudzona z chwilowego szoku, zamrugła powiekami i spytała: — Czy potrzebuje pan czegoś?

— Nie, dziękuję... — pokręcił głową, ale nagle spojrzął na nią uważniej. — Czy nie ma tu telefonów?

— Rzeczywiście — w większości pokoi nie zainstalowano aparatów, ale telefon jest w kabinie, na końcu korytarza.

— Łączy bezpośrednio z centralą na Kessarze?

— Nie, z centralą na Erato, a ta łączy z Kessarą. Przez Kessarę można połączyć się z każdym punktem w Europie — zaśmiała się. Pomyślał, że prawdopodobnie wszystkie rozmowy są kontrolowane, a być może nawet nagrywane.

— I nie ma innych bezpośrednich połączeń?

— Oczywiście — są: tak zwana „czerwona linia” do gabinetu i sypialni pana Zaddecka oraz „błękitna linia” do apartamentów pani Zaddeck. Obie pomijają centralę i łączą się bezpośrednio z Kessarą. Czy coś podać?

— Nie, dziękuję. Idę zaraz spać...

— Dobranoc panu!

— Dobranoc.

Gdy wyszła, zamknął za nią drzwi, chwilę stał nasłuchując, ale chodnik tłumił jej kroki. Podeszedł do okna i uchylił story. W kącie, na parapecie leżała lampa sygnalizacyjna. A więc to było powodem jej przerażenia! Po prostu nakrył ją, kiedy nadawała jakieś sygnały. Dokąd? Zgasił światło i rozchylił całkowicie story. Była ciemna noc, ale bez mgieł, które przegnał wiatr. Dostrzegł w oddali światła Kessary — latarnię na przylądku Nimfea, światła portowe Pandros i czerwone znaki ostrzegawcze dla samolotów na szczytach Profitis Elias oraz Agia Triada. Gdzieś tam, na maleńkim kontynencie

Kessary, był ktoś, komu pokojówka Katina przekazywała tajne informacje. Lampę zostawił na miejscu, gdzie ukryła ją dziewczyna, szybko rozebrał się i położył do łóżka. Ani kawa, którą wypił, ani niepokoje i wątpliwości nie miały wpływu na jego sen. Czuł się zmęczony i zasnął natychmiast.

Zbudził się o szarości świtu. Rozsunął story — niebo było prześwietlone wstającym słońcem, które wciąż jeszcze kryło się za horyzontem. Wiatr ucichł i Kessara zanurzyła się w niebieskim obłoku mgły. Otworzył okno — było dość chłodno.

Wtedy zreflektował się nagle, że na parapecie, w kącie za storami, nie ma sygnalizacyjnej lampy. Zrobiło mu się głupio — a więc, kiedy spał, ktoś był w jego pokoju, może nawet zatrzymał się koło łóżka, przyglądając się śpiącemu?... Przypomniał mu się zasztyletowany Santopulos.

Obmył twarz zimą wodą i nie gołąc się „wskoczył” w spodnie, naciągnął pulower, włożył miękkie pantofle i wyszedł na korytarz. Jak zawsze, kiedy przebywał na urlopie, pobiegł rytmicznym krokiem długodystansowca wokół kolejnych gazonów i basenów, zbiegł po schodach w kierunku przystani, gdzie cumowała „Semiramis”. Zainteresowała go grupka ludzi na samym nabrzeżu — marynarze, chłopak w białym żakiecie kelnera, dwóch goryli z ochrony. Usiłowali właśnie wyciągnąć z wody jakiś mokry kształt. Zbliżył się i przyjrzał dokładniej. Był to inżynier architekt Louis Mortimer koszulę na piersiach miał obficie splamioną krwią. Obok, tuż przy nabrzeżu, cumowała szalupa z silnikiem, w której stały dwie duże walizki.

Chyba tej nocy Mortimer zamierzał uciec z wyspy Erato. Wojdanowi przypomniało się opowiadanie włoskiego malarza o Holendrzu, który zapragnął wcielić się w super agenta 007... Skończył tak samo jak Louis Mortimer, którego winą było chyba to, że bez uzgodnienia zapragnął opuścić imperium Wielkiego Kalifa.

7.

Śmierć Mortimera została ukryta przed gośćmi i personelem. Garstka, która widziała architekta martwego, chyba szybko o tym „zapomniała”

takie było pewnie zalecenie kierownictwa rezydencji. Wojdanowi zakomunikował Stawros, że architekt musiał w pilnych sprawach wyjechać do domu, jeszcze w nocy udając się na Kessare, skąd miał świtem statek na Rodos. Poza tym Stawros miał specjalną nowinę — poprosił Wojdana, aby koło południa — razem z nim i panną Morelli — udał się na Kessare, gdzie miało nastąpić spotkanie z przedstawicielami władz eparchii i nomu na temat rozbudowy rezydencji na Erato.

— Być może doszły gdzieś plotki, mówiące o tym, że nasz zacny pan Simon Zaddeck buduje sobie fortecę, a nie pałac. Jeśli nasi goście nie przyjmą do wiadomości tego, co im przed bawimy, zaprosimy ich na Erato — nic nie mamy przed nimi do ukrycia. Pan, panie Wojdan, wie najlepiej, co chcemy budować, jakie były założenia konkursu i opowie im pan szczegółowo o własnej koncepcji, łącznie ze zmianami zaplanowanymi przez pana w otoczeniu rezydencji, o zasadzeniu drzew, o żywopłotach, małej architekturze... Szkoda, że pan Mortimer musiał wyjechać, z pewnością mógł panu w tym pomóc, ale sądzę, że i bez niego damy sobie radę...

Ciekawe — myślał Wojdan — że nikt nie doniósł Stawrosowi o moim porannym „biegu po zdrowie” i obecności przy wyciąganiu na brzeg zwłok inżyniera Mortimera. Czy zastrzelono go w wodzie, czy w łódce? Mówił, że możemy tu czuć się jak Dedal i Ikar...

Informację Stawrosa przyjął Wojdan jako coś naturalnego — jeżeli postanowi uciec z wyspy, nie powinien dać po sobie poznać, jakie ma plany. Tak, jak Mortimer... Przy wczorajszym rozstaniu, nic nie wskazywało na to, że w nocy będzie próbował opuścić wyspę. A gdyby tak spróbować ucieczki w czasie pobytu na Kessarze? Przecież wyspa musi mieć jakąś stałą łączność z Atenami, z Pandros na pewno kursuje jakiś statek do Pireusu!... Gdyby tak odłączyć się od konferujących i ukryć w porcie, a potem wsiąść na statek? W portfelu miał czek na dziesięć tysięcy dolarów — ciekawe czy zrealizują mu to w dolarach, czy drachmach? W Pandros czy w Atenach?

— ...Zaraz po konferencji organizujemy wykwintny obiad w miejscowej kawernie. Oczywiście „wykwintny” na miarę Kessary,.. Będzie dużo alkoholu, muzyka i tańce. Niech pan poleci kreślarkom wykonanie kilku odbitek konkursowego projektu. Urzędnicy, którzy przybędą na Kessarę, aby się z nami spotkać, muszą odnieść wrażenie, że traktujemy ich poważnie, z całym szacunkiem. Niech sobie popiją, niech się zabawią i nie zwracają nam więcej głowy.

— Kiedy będzie można rozpocząć prace przy budowie nowego budynku rezydencji i porządkowaniu reszty terenu?

— Och, tymczasem mamy tylko ogólny, wstępny projekt. Będę miał do pana prośbę — niech się pan zorientuje w możliwościach naszego atelier, a za trzy dni spotkamy się i omówimy szczegóły. Od dziś pan pełnić będzie funkcję szefa naszego biura projektów budowlanych. Proszę przedstawić mi opinie, jak je zreorganizować i kiedy byłoby możliwe szczegółowe rozpracowanie projektu. Sądzę, że za cztery miesiące powinna ruszyć budowa.

— Za niecałe trzy miesiące kończy mi się wiza grecka.

— Ach, to nie jest przeszkoda! Załatwimy to bez kłopotów. Pan jeszcze nie zna potęgi, jaką reprezentuje pan Zaddeck!...

— Istotnie, nie znam — skinął głową Wojdan. — Kiedy wraca pan Zaddeck?

Stawros podniósł głowę i przyjrzał mu się uważnie.

— Dlaczego interesuje pana powrót Zaddecka?

— Chodzi mi o rozliczenie, o nagrodę, o umowę na przyszłość. Otrzymałem od pani Zaddeck zaliczkę, na początku to istotnie wystarczy, ale to nie wyjaśnia warunków, na jakich mógłbym podjąć tu pracę.

— Ma pan lepsze oferty?

— Tu, na Erato, na pewno nie będą mnie szukać.

— Dobrze, za trzy dni, kiedy przedstawi mi pan opinię o całości prac, dojdziemy do porozumienia i opracujemy umowę.

Obie kreślarki i panią Vasilisę zastał Wojdan z zaczerwienionymi

oczami. Zastanawiał się, czy wiedzą prawdę, czy tylko zaskoczył je „nagły wyjazd” kierownika pracowni. Obiecały, że za godzinę wszystkie kopie będą gotowe. Kiedy opuścił atelier, dogoniła go Maria, drobna, szczupła dziewczyna o krępej budowie i charakterystycznych rysach, jakie spotyka się u dziewcząt z archipelagu.

— Panie inżynierze... — zaczęła. Mówiła słabo po angielsku, pomagała sobie niemieckim, który znała niewiele lepiej. — Czy pan zna prawdę?

— Jaką prawdę? — spytał, pragnąc, aby ona pierwsza odkryła karty.

— Pan chyba wie, że pan Mortimer... nie wyjechał?...

Spojrzał jej prosto w oczy.

— A co pani wie o tym?

— ... że pan Mortimer... — zająknęła się — że Louis nie żyje...

— Czy miał wrogów?

— On? Skąd!... Po prostu obiecał, że jeśli będzie wyjeżdżał, zabierze mnie stąd.

— Mężczyźni często tak mówią...

— Nie o to chodzi! Przyjaźniliśmy się — to wszystko. Poza Erato drogi nasze musiały się rozejść. Chodziło o wydostanie się stąd. Nie boję się o tym mówić, choć zupełnie pana nie znam. Louis wpadł jednak wczoraj po południu, po rozmowie z panem w barze „Rafael” i szepnął nam, że wygląda pan na kogoś przyzwoitego. Dał panu do zrozumienia, że nie wszystko jest tu w porządku i chyba pan go rozumiał.

— A nie jest? — wciąż jeszcze nie był pewny szczerości dziewczyny.

— A pan uważa, że wszystko jest w porządku, a Louis rzeczywiście wyjechał?

— Nie, nie uważam, choć sam już nie wiem, co jest tu prawdą, a co kłamstwem. Stawros zapewniał mnie, że pan Mortimer wyjechał...

— To nieprawda! Zabili go!...

— Zgadza się, ale co mogę poradzić? Jeśli wezwę policję, to pewnie podzielę los Mortimera, a mojego ciała nikt nie znajdzie. O co tu w ogóle chodzi?

— My też nie wiemy. Chyba rozpoczęła się rywalizacja wielkich firm na Bliskim Wschodzie...

— Może lepiej nazwać to „rywalizacją wielkich gangów”?

— Może — w tej rozgrywce nic nie znaczymy.

— Tym bardziej ja — wzruszył ramionami Wojdan. — Proszę tymczasem wykonywać polecenia i zachować spokój i dyskrecję. Z nikim na ten temat nie rozmawiajcie. Jeśli czegoś się dowiem, ostrzegę was. Jadę na Kessarę. Może tam się coś wyjaśni. Ale, prawdę mówiąc, nic z tego co tu się dzieje, nie rozumiem. Nie wiem kto wróg, a kto przyjaciel. Już drugi mój przygodny znajomy kończy w podobny sposób — najpierw Santopulos, teraz Mortimer. Nie chciałbym być trzecim w tej kolejce.

W godzinę później pokojówka przyniosła mu do pokoju rulon planów. Przejrzał je, choć znał na pamięć — przekrój, rzuty z boku, usytuowanie. Tylko że teraz spostrzegł zafałszowanie danych, które mu przysłano. Inaczej wyobrażał sobie wyspę, otoczenie rezydencji, atmosferę tego Wersalu na skałach Morza Egejskiego. Pokojówka nie wyszła z pokoju, ale stała obok i przyglądała się uważnie jego czynnościom. Dla kogo mogła pracować? Dla CIA? Dla szycitów?

— Bardzo przepraszam — bąknęła pod nosem. — Czy to prawda, że jedzie pan na Kessarę?

— Tak. Do portu Pandros. — Spojrzał na zegarek. — Pewnie już niedługo odpłyniemy.

— W Pandros jest ktoś, kto chciałby z panem porozmawiać.

— Kto taki?

— Jeśli wyjdzie pan z budynku zarządu wyspy i przejdzie plac, naprzeciwko znajdzie pan tawernę „Plaka”. Spyta pan przy barze o Manolisa, a on pana zaprowadzi.

— Dokąd?

— Tam gdzie jest pan oczekiwany.

— Wiesz, co się stało z panem Mortimerem tej nocy?

— Wszyscy wiedzą.

— Chcesz, żebym też tak skończył?

— Lepiej żeby pan tam poszedł właśnie dlatego, żeby tak nie skończyć.

— Miła jesteś, Katina. Co jeszcze wiesz o moim wyjeździe?

— Jedzie pan Stawros, panna Morelli, dwóch z ochrony i chyba pani Zaddeck.

— Pani Zaddeck?

— Tak. Dziś na Kessarę przybywa nowy gość pani Zaddeck. Pianista włoski Massimo Sancrotti. Zabierzecie go ze sobą. Będzie dziś wieczór koncertował w Sali Turkusowej.

— Płyniemy jachtem „Semiramis”?

— Nie. Motorówką „Samantha”.

— Ty wszystko wiesz, Katina. Po czyjej jesteś stronie?

— Na pewno po tej samej co pan.

— To dziś, a jutro?

Wzruszyła ramionami, odwróciła się i odeszła. — Mój Boże — westchnął Wojdan — gdybym oglądał to wszystko w kinie, może by mi się coś podobało, ale siedzieć w środku scenariusza to dosyć głupio. — Liczył wprawdzie na przygodę, ale to wszystko przestało go już bawić. Wolałyby znów znaleźć się w Warszawie, ze swoimi kłopotami, w swoim mieszkaniu, no i oczywiście z czekiem pani Zaddeck w kieszeni. Postanowił skorzystać z pierwszej okazji, aby wyjechać. Ale jak to zrobić, żeby nikomu się nie narażać?

Zwinął plany w rulon, wziął do portfela wszystkie dokumenty, łącznie z biletem lotniczym „open” z Aten do Warszawy. Rozejrzał się jeszcze i szedł na taras przed budynkiem. Czekał tam już Stawros i Diana. Zjechali windą na przystań. Motorówka miała opływowy kształt i oszkloną kabinę. Było tam trzech członków załogi, steward oraz dwaj ludzie z ochrony w obowiązkowych ciemnych okularach. W tak licznym gronie nie było o czym rozmawiać. Wkrótce ukazała się madame Kleo — w pewnym oddaleniu za nią dreptał trzeci goryl, niosąc w ręku małą walizeczkę „bondówkę”, zawierającą zapewne jakieś podręczne przedmioty pani Zaddeck, niemieszczące się w jej miniaturowej torebce.

— Jak się panu u nas podoba? — spytała nagle, odwracając głowę do Wojdana.

— Jest cudownie! — odpowiedział z dobrze udanym entuzjazmem. Kątem oka dostrzegł złośliwy uśmiech Diany Morelli. Oddalali się od wyspy, wpływając w głąb zatoki, rzeczywiście przypominającej teraz kalderę lub atol, na którym raptem z jednej strony wyrosły wysokie góry. Za nimi

mała wysepka Erato, natomiast naprzeciw wychodziło białe miasteczko stolica wyspy — Pandros... Wkrótce dobili do nabrzeża, ściągając na siebie zainteresowanie nielicznych mieszkańców. W porcie stało kilka dużych łodzi rybackich, niewielki statek i parę jachtów. Stateczek właśnie dał sygnał syreną, a marynarze zdejmowali cumy.

— Dokąd oni płyną? — spytał Wojdan pannę Morelli, wskazując na odpływający statek.

— Do Pireusu — odpowiedziała, przyglądając się mu już bez uśmiechu...

8.

Spotkanie z przedstawicielami władz lokalnych, eparchii i nomu odbyło się w budynku władz gminnych. Każdy z uczestników otrzymał notes z połączonym długopisem, lupę, żeby mógł przez nią oglądać szczegóły planów dostarczonych przez Wojdana oraz filiżankę kawy i angielską mastikę z wodą i lodem. Wpierw zabrała głos pani Zaddeck, ale po grecku. Wojdan musiał zaufać jej, że nie powiedziała nic, co byłoby niezgodne z tym, co on zamierzał powiedzieć, występując zaraz po niej. W czasie swej oracji przypiął na tablicy plany. Mówił po angielsku, a tłumaczyła na nowogrecki uniwersalnie przygotowana do zawodu sekretarki panna Morelli. Skoncentrował uwagę zebranych na błahostkach, z których uczynił główny problem. Chyba bardzo podobało się to Stawrosowi. Postawiono trzy pytania — jak będzie ogrzewany budynek, gdy przyjdą zimowe sztormy, czy państwo Zaddeck wspomogą instalację użyteczności komunalnej na Kessarze „z której dobrodziejstw korzystają” i kiedy wraca pan Zaddeck? Wojdan sam odpowiedział na pierwsze pytanie, wpierw wygłaszając obszerny wykład na temat zagrożeń ekologicznych i chwając niepokój komisji o stosowany na Erato system grzewczy oraz szczegółowo zapoznając zebranych z różnymi, aktualnie stosowanymi systemami. Stawros mówił długo o planach pomocy w rozbudowie poczty na Kessarze i systemu łączności między

Erato oraz Atenami, Stambułem, Tel Awiwem, Damaszkiem i Bejrutem. Na koniec pani Zaddeck zapowiedziała rychły powrót męża, w imieniu którego była i tak upoważniona zawierać lokalne transakcje — co uspokoiło gospodarzy oraz zaprosiła wszystkich do obejrzenia terenu budowy nowego gmachu rezydencji na Erato. Oczekiwała jednak jeszcze na przybycie statku z Pireusu, na którego pokładzie przybywał słynny pianista włoski — Massimo Sancrotti, którego także chciała zabrać na wyspę. Do czasu przybycia statku wszystkich uczestników konferencji prosiła do tawerny „Plaka”. Rozległy się oklaski. Pani Zaddeck pożegnała Stawrosa i w asyście dwóch ludzi z ochrony udała się na motorówkę „żeby trochę odpocząć”. Wojdan przypomniał sobie, że w motorówce został trzeci goryl — w miasteczku byli więc tylko w trójkę — on, Stawros i Diana Morelli.

Gdy wszyscy zaczęli wychodzić, a Stawros zajęty był rozmową z lokalnymi władzami Wojdan szepnęła Dianie, że dołączy do nich w tawernie. Zrobiła gest, jakby chciała go zatrzymać, ale już był w drzwiach. Dobrze się stało, że obiad zamówiono w tawernie „Plaka”, w której on miał interes osobisty. Zapytał tam o Manolisa i wówczas wskazano mu człowieka w baranicy, trzymającego dwa muły. Powiedział „kalimera” i wdrapał się bez słowa na grzbiet wskazanego mu zwierzęcia. Jazdę konną, a tym bardziej jazdę na mule znał tylko z amerykańskich westernów. Podróżował w ten sposób pierwszy raz w życiu, ale muł był cierpliwy, kroczył ostrożnie i wkrótce Wojdan nabrał przekonania, że nie ma nic prostszego niż taka jazda. Chciał zapytać swego przewodnika, czy daleko przyjdzie im jechać, ale przypomniał sobie, że mulnik nie zdradził się ze znajomością angielskiego, a na tak niewielkiej wyspie, wszędzie musiało być blisko. Zorientował się, że jadą dróżką, omijającą wyniosły szczyt Profitis Elias i kierującą się na sam skalisty przylądek Nimfea. Po drodze minęli niewielkie zabudowania i tarasowo rozmieszczone poletka, obramowane niewysokimi murkami z głazów zebranych z pastwisk. Minęło ich stadko owiec z pasterzem w baranicy i oto ukazały się zabudowania samotnej willi na skraju łądu. Z dołu dobiegał grzmot rozbijanych fal, w dali rysowała się sylweta wyspy Erato — niemal identyczna ze zdjęciem, które przysłano mu razem

z materiałami konkursowymi. Minęli tabliczkę z napisem łacińskimi literami: VILLA NIMFEA — PRIVATE WAY. Budynek był bezstyłowy, zbudowany masywnie na półce skalnej, chyba wynajmowany w całości turystom, których nie straszły wichry, szum morza i przepaście. Całość otaczał wysoki mur. Brama wejściowa była otwarta.

Na schodach, jakby oczekując nadzwyczajnego gościa, stał gospodarz willi, pewnie aktualny najemca „orlego gniazda”. Wojdan dość zgrabnie zsunął się z grzbietu muła, oddał cugle Manolisowi, który także stanął już na ziemi i wkrótce ze swymi mułami skrył się za węglem domu. Dopiero teraz architekt przyjrzał się mężczyźnie, który go oczekiwał, i nagle skamieniał. Był to ten sam człowiek, z którym zderzył się, wychodząc z baru hotelu „Xanadu”, a którego później zaobserwował w tawernie dzielnicy Plaka. Łysy, brodaty, tym razem bez okularów przeciwsłonecznych.... Miał dżinsowe spodnie, podobną kurtkę, na nogach miękkie obuwie.

— Cieszę się, że przyjął pan moje zaproszenie — powiedział do Wojdana po angielsku i wyciągnął na powitanie rękę. — Spotkaliśmy się w hotelu „Xanadu”. Zauważyłem, że zwrócił pan na mnie uwagę, zresztą nie kryłem zainteresowania pańską osobą. Może pan mi wierzyć — to nie ja zamordowałem goryla pana Zaddecka w hotelu „Xanadu”. Pewnie moja osoba kojarzyła się panu z tamtą sprawą, prawda? Proszę, niech pan wejdzie... Mulnik Manolis zaczeka, aż skończymy rozmowę i odwiezie pana. Sądzę, że godzina nam wystarczy — tamci nie zdążą zjeść obiadu, zresztą przykazałem moim przyjaciółom, którzy tam będą — aby przeciągnęli zabawę i dokładnie spolił Stawrosa. Na jak długo przewidziano obiad w „Place”?

— Chyba do przybycia statku z Pireusu. Przyjeżdża jakiś pianista, gość pani Zaddeck.

— A sama pani Zaddeck została na motorówce?

— Tak. Skąd pan wie, że jest również pani Zaddeck?”

— Jak to „skąd wiem”? Przecież moja willa to znakomity punkt obserwacyjny. Bez trudu dowiedziałem się o zaplanowanym spotkaniu z przedstawicielami eparchii i nomu, a dziś przyglądałem się wam przez lornetkę, gdy płynęliście do Pandros. Usiądziemy w salonie na piętrze, zatokę

będziemy mieli dosłownie u stóp — gdyby statek z Pireusu przyплыł wcześniej, zauważymy go bez trudu. Zwykle daje sygnały syreną. Proszę — oto mój salon. Jedna ściana niemal zupełnie oszklona — widok mamy stąd wspaniały. Proszę, niech pan siada. Kawa?

— Może być kawa!...

— Whisky albo koniak?...

— Może być whisky... chociaż trochę jeszcze wczesna pora, a poza tym niewiele dziś jadłem.

— Isabelita przyniesie zaraz sandwicze...

— Isabelita?

— Przywiozłem ją z Afryki. Ma w sobie krew wodzów czarnej Afryki i portugalskich zdobywców. Proszę, niech pan zdejmie kurtkę — nie ma tu klimatyzacji i jest dość gorąco. Na chwilę wychodzę wydać dyspozycje. A więc „whisky on the rocks” bez wody, kawa espresso i sandwicze, zgoda?

— Zgoda.

Wyszedł.

Kim był — jeszcze Wojdan nie domyślał się. Wiek? Już chyba po pięćdziesiątce, może nawet po sześćdziesiątce. Typ weterana najemnika. Był w Afryce — może w Kongo? Ale pochodzenie tej Isabelity wskazywałoby raczej na Angolę lub Mozambik. Na jednej ścianie wisiała duża, pierzasta maska murzyńska, chyba taka, jakiej używa się w centralnej Afryce do tańców rytualnych. Pod nią skrzyżowane dwie włócznie. Mebli niewiele — trzy fotele, kanapa, stolik, barek, podręczna szafka-kredens.

Nie zdążył obejrzeć wszystkiego, gdy zjawił się gospodarz. Za nim śliczna, smukła, młoda Mulatka pchała barek na kółkach. Chyba wszystko zostało zawczasu przygotowane, nawet sandwicze.

Kiedy Isabelita zniknęła, gospodarz wziął do ręki szklankę, zagrzechał kostkami lodu i powiedział:

— Za nasze poznanie, panie Wojdan! Nazywam się Victor Linares — nie mam narodowości, jestem obywatelem świata. Dwadzieścia kilka lat temu znalazłem się jako najemnik w Afryce. Pan wie — „mercenaries”, najbrudniejsze moralnie wojsko świata. Rzeczywiście tak było, choć

większość poszła tam z umiłowania przygody. Znałem osobiście Mike Horego, Jeana Schramme, Czombego, Mobutu, siedziałem w strasznym więzieniu w Bukawu, umierałem w dżungli na malarię, trzy razy byłem ranny. Miałem wszystkiego w końcu dość i uciekłem, niezupełnie realizując zobowiązanie. Przywiozłem sterane chorobami i ranami ciało, piękną Isabelitę i walizkę złota i diamentów. Kupiłem tę fortecę na przylądku Nimfea na wyspie Kessara i postanowiłem zapomnieć o Afryce. Chciałem spokoju i szczęścia. No a potem pan Zaddeck wyłożył pieniądze na kupno wyspy Erato i mój chwilowy spokój się skończył. Wróciłem do swojego dawnego zawodu. Zgodziłem się zabić Simona Zaddecka...

Katastrofa

1.

— Rozumiem pańskie zaskoczenie, panie Wojdan. Dobrze wymawiam pańskie nazwisko? No więc zgaduję, co mógł pan pomyśleć, spotykając na tym końcu świata człowieka, z którym zetknął się pan w Atenach, w dość niezwykłych okolicznościach. Czy śledziłem pana? Ależ tak! Wiedziałem, że będą chcieli skraść pańskie plany. To dyletanci — wierzyli, że na tych planach znajdują z dawna poszukiwane informacje o systemie podziemnych sztolni na Erato. Ja wiedziałem, że ich tam nie ma.

— A Santopulos... — wtrącił Polak. — Dlaczego został zamordowany?

— Ależ to jasne — pana chciano zamordować. Gdyby spał pan wówczas w swoim pokoju, nie mielibyśmy okazji dziś rozmawiać.

— Co chciano uzyskać, popełniając to morderstwo?

— To było ostatnie ostrzeżenie pod adresem Zaddecka. Chcieli zdemontować, jak bardzo są mocni i zdecydowani na wszystko. Wiem, że na tych planach nie było informacji na temat wykutych w skale sztolni i betonowych zabezpieczeń.

— Sam dowiedziałem się o tym dopiero na Erato.

— Właśnie, mówiłem że zbrodni i kradzieży dokonali dyletanci.

— Podobno byli to anarchiści...

— Anarchiści, nie anarchiści — nie ma to żadnego znaczenia. Podjęli się wykonać pracę za pieniądze. Dwadzieścia lat temu nie byłem lepszy od nich, choć nigdy nie podpierałem się ideologią. Byłem zawodowcem — do ryzykownych przygód — i nie szukałem wyjaśnień moich czynów w księgach teoretyków rewolucji i anarchii, choć nie twierdzę, że byłem wówczas gotów wykonać każde zadanie. Każdy z nas, najemników, miał swoje poglądy i zasady moralne. Jedną z nich było koleżeństwo. Ale tak ogólnie —

byliśmy zgrają piratów. Tego nie da się ukryć. Zostawmy jednak moją afrykańską przeszłość, Ateny i sprawę Santopulosa. Cieszymy się, że pan żyje i że spotkaliśmy się dziś w willi „Nimfea”. Proszę traktować mnie jak sprzymierzeńca, choć może nie będzie to dla pana łatwe. Nie zna mnie pan, nie oczekuję więc zaraz przyjaźni z pana strony. Ja w każdym razie gotów jestem udzielić panu pomocy. Nie są to słowa na wiatr — jeśli komukolwiek z najemników wyrządzono krzywdę, wszyscy gotowi byli pomścić kolegę, a jeśli udzielono komuś z nas pomocy, wiadomo było, że dług zostanie spłacony.

— Oczekuje pan pomocy z mojej strony?

— Tak, ale będzie to równocześnie pomoc, której udzieli pan sobie, na własny użytek. Przypadek zrządził, że nasze losy tu się zeszły i tu się rozejdą. Chyba więcej się nie spotkamy. Dobrze, że posłuchał pan pokojówki Katiny i przyszedł tutaj. Nie wiedział; pan, kogo pan spotka i co będzie tematem rozmowy?

— Gdybym miał spotkać się tu z diabłem, też bym zaryzykował. Jestem na Erato niewiele ponad dobę, a wszystko tu wydaje mi się nierzeczywiste i chyba niebezpieczne...

— Tu jest autentycznie niebezpiecznie, panie Wojdan. Jak powiedziałem — losy nasze przypadkowo zbiegły się w tym samym miejscu, choć jesteśmy innymi ludźmi, inne są nasze profesje i inne mamy poglądy. Można powiedzieć, że jedziemy tym samym pociągiem, który wkrótce wjechać musi na niezbyt pewny most. Jeżeli przed wjazdem na most nie zwolni, nastąpi katastrofa.

— I sądzi pan, że uda się nam zatrzymać pociąg i wysiąść?

— Chyba nie, panie Wojdan, ponieważ ściga nas pociąg pancerny. Jeśli zatrzymamy nasz pociąg, to wówczas ten, który pędzi za nami, doścignie nas! Jedzie po tym samym torze! Możemy tylko doprowadzić do tego, że nasz pociąg zwolni bieg przed wjazdem na most. Gdy będziemy po drugiej stronie przepaści, pociąg pancerny wpadnie z impetem na chwiejny most i będziemy świadkami, jak stoczy się w przepaść.

— Daruje pan, ale niewiele z tego zrozumiałem. Co oznacza ten wyimaginowany most i oba pociągi?

— Kiedy się rozstaniemy, będzie pan mógł zastanowić się nad tą metaforą i zrozumieć jej sens.

— Musi chyba upłynąć sporo czasu, zanim uda mi się wszystko co tutaj zobaczyłem i usłyszałem ułożyć w jakiś logiczny ciąg przyczyn i skutków.

— Ba!... — eks-najemnik wyduł usta i trzepnął dłonią po blacie stołu. — Jest to wciąż jeden film albo raczej jeden serial, tyle że z wieloma bohaterami. Problem polega na tym, że nie jesteśmy tylko widzami. Wszystko spoczywa w rękach wielkich reżyserów, którzy nie są pewni, jak ten serial zakończyć i jak w poincie zamknąć sens tego łańcucha niepasujących do siebie odcinków...

— A wracając do faktów... — przerwał mu Wojdan, pragnąc odciągnąć gospodarza od ulubionej widocznie przez niego, niezbyt jasnej metaforyki. — Przyjechałem na Erato, aby odebrać nagrodę za udział w konkursie i ewentualnie podpisać umowę na szczegółowe rozpracowanie projektu, może również na nadzór architektoniczny. To wszystko. Gospodarze przyjęli mnie dobrze, choć nie widziałem samego pana Zaddecka, a rozmawiałem tylko z żoną. Zaoferowali mi gościnę na czas nieograniczony. Początkowo nawet ucieszyłem się, ale obecnie chętnie bym już nie wracał na Erato, a pozostał na Kesarze, aż do odpłynięcia statku do Pireusu... Wydaje mi się, że cała ta rozbudowa rezydencji to jakaś wielka mistyfikacja...

— Statek do Pireusu odpływa stąd dopiero pojutrze. Nie może pan ryzykować pozostania tutaj. Ale jeżeli pojutrze przed południem wróci pan tutaj, sam dopilnuję, aby bezpiecznie wsiadł pan na statek. Jak pan się tu dostanie — pana w tym głowa! Również wszystko, co może pana spotkać w drodze do Aten, przekracza możliwości mojej pomocy. Ale zrobię wszystko, aby pojutrze — w czasie pańskiego krótkiego pobytu tutaj — był pan absolutnie bezpieczny. Jednak — coś za coś! Wyświadczy mi pan również przysługę... Muszę tego zażądać od pana, bo inni wymagają tego ode mnie — a czasu podobno jest niewiele...

— No, sądząc po dzisiejszej konferencji na temat rozbudowy rezydencji, nikt się nie spieszy!

— To tylko gra pozorów. Pani Zaddeck i Stawros zrobią wszystko, aby rytm życia na Erato sprawiał wrażenie naturalnego. Trudno było odwołać przyjazd pana, tego malarza, poety, czy dzisiejszą wizytę pianisty. Ba, to nawet pomaga w realizacji ich planów. Tymczasem nie wątpię, że zarówno pani Zaddeck oraz inni na Erato, a na pewne Stawros — czują, że zbliża się katastrofa. Przyjechał pan w złym czasie, panie Wojdan. Dlatego właśnie powinien pan zorientować się w sytuacji i czym prędzej wyjechać. Ale taka decyzja wymaga odrobiny pewności, że wszystko co mówię, nie jest fantazją, prawda? No więc właśnie tego oczekuję od pana... Niech pan sam sprawdzi, jak dalece moje przypuszczenia mają pokrycie w faktach.

— Jeszcze nie rozumiem. Mam panu pomóc w zlikwidowaniu Zaddecka? Ależ to nonsens! Pan chyba pomylił adresata pańskich propozycji...

— Nie, panie Wojdan. Nigdy nie wyszedłbym z taką propozycją lub żądaniem, nie znając adresata. Problem polega na tym, że według moich obserwacji pan Zaddeck wcale nie wyjechał, że jest wciąż na wyspie Erato. Tylko, że... nie żyje. Chodzi o upewnienie się — musi pan to odkryć! Jeśli tak jest istotnie, pan również nie ma czasu do stracenia — lepiej, żeby pan pojutrze wyjechał. Tylko, że może to okazać się dość skomplikowane. Jeśli tak będzie — wówczas przydadzą się panu moje gwarancje obrony. Ale coś za coś — jak powiedziałem... Przybywając na Kessare, przywiezie mi pan plany podziemnych sztolni na Erato... Niech pan nie mówi, że nie potrafi pan tego dokonać lub nie chce! Przychodząc dziś do mnie — znalazł się pan w „oku cyklonu”. Od miesiąca prowadzę obserwację rezydencji Zaddecka — przerwałem ją tylko wówczas, gdy dowiedziałem się o pańskim przyjeździe do Aten. Zaddeck naraził się siłom znacznie przerastającym jego możliwości. Postanowił po prostu podporządkować sobie cały handel bronią na Bliskim Wschodzie! Zaczął się spieszyć, a to przybliżyło katastrofę. Przyjechał pan tu w zupełnie nieodpowiednim momencie, choć na Erato próbują jeszcze udawać, że wszystko jest w porządku. Potędze Zaddecka zagroziły po prostu inne potęgi...

— Jest pan człowiekiem jednej z tych potęg?

— Niestety — choć wcale tego nie pragnąłem. Miałem się już za szczęśliwego emeryta, zniechęciłem się do mojego dawnego życia i przygód. Pragnąłem spokoju. Ale tak się nieszczęśliwie składa, że moja willa znajduje się w idealnym miejscu do prowadzenia, obserwacji wysepki Erato, a może nawet do ataku na Erato. Zgadł pan — jestem człowiekiem jednej z tych potęg, z którymi zadarł Zaddeck. Ale i tu działa zasada konkurencji. Nie jestem pewien, czy inne potęgi także nie mają na Kessarze i na Erato podobnych ludzi jak ja. Ostatnio moi szefowie stali się nerwowi — na Erato chyba także panuje nerwowość. Sytuacja jest taka, jakby już gdzieś zaczęto odliczanie eksplozji, choć jak ma wyglądać finał — nikt jeszcze nie wie. Na pewno jednak zbliża się katastrofa...

— Wiedział pan o tym konkursie, w którym wziąłem udział? Czy to też była mistyfikacja?

— Do pewnego stopnia. Rozbudowa rezydencji odwracała uwagę od wcześniej postawionych betonowych ścian, zamykających wejście do podziemnych sztolni. Nieprzypadkowo szukano architektów znad Morza Bałtyckiego... W tym rejonie wszyscy się trochę znają. To oczywiste, że w materiałach, jakie panu przesłano, nie było nic na temat istniejących sztolni, pewnie nawet nie było mowy o windzie na skalistą pokrywę wyspy...

— To prawda. Podano tylko lapidarną informację na temat przejścia z głównej rezydencji na najniższą platformę, ale nie miało to żadnego „praktycznego związku z moim planem. Na najniższym poziomie ma się podobno znajdować jakieś akwarium...

— Częściowo zostało to już zrealizowane. Hobby Zaddecka stanowiły poszukiwania podwodne — z tym, że w życiu nie zdobyłyby się na zejście pod wodę. Bał się! Chodziło mu o zabawę, cóż, milionerzy mają swoje kaprysy. Od czasu, gdy nastąpił rozdzźwięk między nim a panią Zaddeck...

— Rozdzźwięk?...

— Ach, to dość skomplikowana historia! Przed wybuchem wojny domowej Zaddeck znany był z tego, że gromadził wokół siebie zawsze sporą

trzędkę „dziewczynek” z nocnych lokali. Był stałym bywalcem „Casinio du Liban” i tamtejszych „programów” artystycznych. Niektórzy jednak uważają, że chciał tylko uchodzić za starzejącego się lowelasa — w gruncie rzeczy w życiu erotycznym był zerem, a na Erato miał drugi apartament na najniższej platformie. Tam sypiał, a nawet kazał przynosić sobie posiłki. Obok znajdowało się jego podwodne akwarium. Kiedyś miał zamiar otworzyć tam muzeum nurkowania, finansował nawet różne poszukiwania. Między innymi, za zgodą rządu greckiego, w czasie dyktatury „czarnych pułkowników”, sfinansował wyprawę na dno morza w miejscu bitwy pod Lepanto. Miałem sygnały, że istnieje przejście podziemne z jego dolnego apartamentu i akwarium do gabinetu w głównym budynku rezydencji. Prawdopodobnie akwarium zostałyby rozbudowane, gdyby Zaddeck żył...

— Na czym właściwie opiera pan swoje mniemanie, że Zaddeck nie żyje i skąd takie zainteresowanie tymi sztolniami w skałe, których wejścia skryto za betonowymi ścianami?

Eks-najemnik spojrział na zegarek.

— Mamy jeszcze trochę czasu, opowiem więc panu, choć dotyczy to bardzo tajemniczej sprawy. Ostatecznie jednak — skoro nasze interesy połączyły się... — mruknął, obserwując spod oka Wojdana, ale architekt przyjął tę informację o „połączeniu interesów” bez mrugnienia powiek. — Jak już mówiłem, Zaddeck zrobił ogromny majątek w Libanie, jeszcze przed wybuchem wojny domowej. W Libanie współdecydowano wówczas o zmianie cen ropy naftowej na światowych rynkach, tam handlowano bronią na niespotykaną dotąd skalę, tam prowadziły nici różnych machinacji wielkich armatorów. Ich statki zmieniały bandery, nazwy i dokumenty w czasie rejsu, nawet tonęły „wypełnione po brzegi cennymi ładunkami”. Tonęły na dużych głębokościach i żaden nurek nie był w stanie sprawdzić, czy żądania stawiane wobec towarzystw ubezpieczeniowych oparte były na rzeczywistych stratach. Pan Christopulos, ojciec pani Kleo, był wówczas współlnikiem Zaddecka. Potem okazało się, że nielegalny handel pistoletami maszynowymi i granatnikami — to za mało. Apetyt rośnie w miarę jedzenia...

Niektóre bogate kraje Bliskiego Wschodu marzyły o posiadaniu własnej broni jądrowej!...

— To niemożliwe, żeby taka zachcianka mogła być zrealizowana... — odpowiedział Wojdan prowokacyjnie, bacznie jednak obserwując swego rozmówcę.

— Dlaczego niemożliwe? Materiał rozszczepialny do reaktorów i doświadczeń chemicznych to nie taka znów rzadkość w świecie biznesu! Zgoda, że może być tego za mało na wyprodukowanie bomby, ale jeśli się uprzeć i dokonać zakupu małych ilości w różnych miejscach? Czytał pan chyba w prasie o tym, jak zgromadzono spory ładunek plutonu, który następnie został przeładowany ze statku na statek — właśnie przy zastosowaniu sfalszowanych dokumentów, aby dostarczyć to wszystko w końcu do zakładów jądrowych na pustyni Negew? Mówi się obecnie o kilku krajach Bliskiego Wschodu, które pragną — stosując tę samą metodę — stać się posiadaczami broni jądrowej. Być może przemycano czysty pluton i na miejscu uzyskano radioaktywny izotop plutonu — dwieście trzydzieści dziewięć „Pu”, albo nawet dostarczono gotowy już materiał nadający się do skonstruowania bomby jądrowej — może izotop uranu dwieście trzydzieści trzy lub dwieście trzydzieści pięć?...

— Nie znam się na tym.

— Ja także do niedawna nie znałem się na tym, ale życie zmusiło mnie do zapoznania się z literaturą fachową. Plotka w kręgach armatorów podejrzanych bander i podejrzanych statków mówi o tym, że transport taki przyjął na pokład pewien statek z polecenia Zaddecka, jednak zmienne uwarunkowania polityczne i militarne spowodowały, że ładunek nie został przejęty w wyznaczonym terminie przez odbiorcę i tymczasowo złożono go w betonowych sztolniach na wyspie Erato. Wkrótce po tej operacji wejście do sztolni zamknięto ołowianą płytą i betonowymi ścianami — rzekomo mającymi osłaniać rezydencję przed drganiami sejsmicznymi!

— To chyba plotka!

— Czym jednak wytłumaczyć wzrastające zainteresowanie siedzibą Zaddecka? Tylko niechęcią wobec konkurenta? Wiem, że zaangażowały się w to poważne kapitały i poważni ludzie, przy których jesteśmy pionkami na wielkiej szachownicy! Ach, prawda, pan nie lubi, gdy to wszystko przyrównuję do pociągu lub gry. Ale to przecież jest gra!

— Sądzę, że to tylko plotka. Zresztą — sam materiał radioaktywny, właściwie zabezpieczony, nie grozi jeszcze katastrofą.

— Nie mówimy przecież o wybuchu — ale taki materiał jest wart góry pieniędzy, a katastrofą grozi wówczas, gdy dostanie się w ręce fachowców w jednym z niespokojnych krajów Bliskiego Wschodu albo zawładnie nim organizacja nie licząca się z nikim i z niczym...

— Ja tego nie sprawdzę — ani nie miałbym zamiaru ryzykować, ani się na tym nie znam! Poza tym — nawet jeśli jest to izotop radioaktywny, musiał zostać odpowiednio przygotowany do transportu, odpowiednio zabezpieczony i składowany. Jeśli istnieje jakieś zagrożenie w związku z tym ładunkiem, to w grę mogą wchodzić tylko ludzkie namiętności, zdolne popchnąć do zbrodni. Czy wie o tych przypuszczeniach Stawros albo żona Zaddecka? Może to wszystko dokonało się bez ich wiedzy?

— Te betonowe sztolnie zawsze coś skrywały. Na pewno ostatnio składowano tam broń i amunicję, przemycaną do Libanu.

— To bardzo prawdopodobne, ale między pistoletami a bombą jądrową jest spora różnica! Wydaje mi się, że w tym, co pan mówi, jest sporo przesady. Na spotkanie z panem namówiła mnie pokojówka Katina — ma pan więc w Erato „swoich ludzi”. Czemu jednak nie zleci pan im poszukiwać Zaddecka, wykradzenia planów albo zbadania wnętrza sztolni?

— Katina nie da sobie z tym rady, ale nawiązałem kontakt z inżynierem Mortimerem. Miał dostęp do planów i chyba wszedł w posiadanie czegoś, co mogło zorientować w układzie podziemnych sztolni.

— To gaduła — przy pierwszym spotkaniu przyznał mi się, że boi się i przypomniawszy bajeczkę o Labiryncie, Dedalu i Ikarze, o pałacach Minotaura...

— Miał również poszukać Zaddecka lub jego ciała...

— Rozmawiałem z nim wczoraj. Był rzeczywiście trochę zdenerwowany, ale nie wyglądało na to, że chce uciekać z wyspy. Skąd wziął łódź?

— O to nietrudno. W falochronie są hangary, które nie przeszkadzają w dobijaniu statków. Czasami cumuje w tym miejscu „Samantha”. Jaką podano oficjalną wersję jego śmierci?

— Stawros poinformował mnie dziś rano, że inżynier Mortimer opuścił w nocy wyspę. Pilne sprawy wezwały go na kontynent, do rodziny. Ale przypadkiem sam widziałem, jak wyciągano go z wody. Ostatnie pytanie, na które nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi: na jakiej podstawie sądzi pan, że Zaddeck nie żyje...

— Szóstego maja o dziesiątej wieczór przybiła do nabrzeża na Erato dwuosobowa motorówka — albo z portu Pandros na Kessarze, albo — co pewniejsze — z jakiegoś jachtu lub statku. W motorówce był Zaddeck — zrobiłem zdjęcia specjalnym aparatem przystosowanym do nocnych zdjęć. Zaraz panu pokażę... — wstał, podszedł do bocznych drzwi. Kiedy je otworzył, Wojdan zobaczył jakby dalszy ciąg salonu — również jedną ścianę stanowiła tam wielka, otwierana szyba. W pomieszczeniu stały jakieś aparaty i lunety. Na przeciągniętych wzdłuż pomieszczenia sznurach suszyły się świeżo wywołane filmy. Eks-najemnik wrócił, zamknął drzwi i podał swemu gościowi kilka odbitek. Usiadł, dołał whisky i kawy, a następnie cały czas popijając, nachylił się do Wojdana, komentując pierwsze zdjęcie.

— Niech pan się temu przyjrzy — zdjęcie zrobiłem szóstego maja, szesnaście minut po dziewiątej. Ten na lewo to Zaddeck, a obok jego żona. Całkiem na prawo szef ochrony Samir Lakhis, a w tle dwóch goryli.

— Muszę panu wierzyć na słowo. Bardzo to niewyraźne. A drugie zdjęcie?

— Zrobiłem je w kilka minut później. Szefa ochrony i goryli nie widać. Zaddeck z żoną wchodzi głównym wejściem do rezydencji. W godzinę później Stawros opuszcza rezydencję, schodzi na najniższą platformę i odpływa z człowiekiem, który czekał w motorówce. Według „oficjalnej” wersji — Zaddeck był tylko godzinę na Erato. Odpłynął ze Stawrosem i prowadzącym motorówkę. Ale mam jeszcze jedno zdjęcie, na którym widać odpływającą motorówkę, Stawrosa i prowadzącego łódź. Nikogo więcej nie

ma! Zaddeck pozostał więc na Erato. Stawrosa zabrała następnego dnia rano „Samantha” z Kessary. Nocował w hoteliku nad tawerną „Plaka”. Nikt — nigdzie nie widział już więcej Zaddecka. Może doszło do scysji między panią Zaddeck a jej mężem? Ona była chyba przygotowana — to stanowcza, despotyczna kobieta. W jej domu likwidowanie przeciwników bywało chyba tematem konwersacji przy obiedzie...

— ...I liczy pan na to, że właśnie ja miałbym odkryć, gdzie ukryto trupa?

— Jeśli Zaddeck nie żyje, jego imperium przestanie istnieć w ciągu jednej godziny. Stawros się nie liczy, pani Zaddeck także. Bardzo możliwe, że podjęli już odpowiednie decyzje i działania, ale chcą wszystko ukryć do czasu, gdy będą gotowi opuścić wyspę, przy minimalnych stratach własnych. Chce pan pistolet?

— Nie, nie mam zamiaru grać roli Jamesa Bonda. Chyba rozczaruję pana, ale...

— Niech pan weźmie czujnik rejestrujący promieniowanie. Nie jest większy od wiecznego pióra, nosi się go w kieszonce, a gwizdże, kiedy radioaktywność wzrośnie do stanu zagrażającego zdrowiu i bezpieczeństwu człowieka. Typowy przyrząd, w jaki zaopatrzeni są pracownicy elektrowni jądrowych.

— To jeszcze może mi się przydać, ale za broń — dziękuję! Spróbuję dla własnego bezpieczeństwa rozejrzeć się po wyspie, ale za efekty nie gwarantuję. Nie nadaję się do tego rodzaju zadań.

— W razie znalezienia ciała Zaddecka niech pan przekaze meldunek przez Katinę — „Big Boss is dead” — nic więcej. To samo, gdyby okazało się, że nastąpiła awaria w sztolniach i czujnik zacznie gwizdać. Krótko: „Radioactivity”. Jeśli nie dostanę wiadomości od Katiny, pojutrze czekam na pana wizytę...

— A jeśli wszystko okaże się nieprawdą?

— Warte to będzie odkorkowania butelki szampana, drogi panie Wojdan, ale wtedy rzeczywistość zażąda ode mnie spełnienia oczekiwań moich mocodawców. Zanim ktoś inny wylądjuje na Erato i „wybebeszy” podziemne skały pana Zaddecka, będę musiał się włączyć do akcji. Imperium upada — tego nie da się już powstrzymać. To tylko kwestia czasu.

— Nie zrozumiał mnie pan — pytałem co będzie, jeśli wszystko, co pan mi tu naopowiadał, okaże się błagą? Jeśli nie jest pan najemnikiem na emeryturze, jeśli nikt panu nie zlecił obserwacji wyspy Erato, jeśli nawet żadne podziemne sztolnie nie istnieją, a Zaddeck jest w podróży służbowej, z której wróci wkrótce do kochającej go żony?

Linares zaczął się śmiać, trwało to długo, potem otarł łzy z oczu — chyba dawno tak się nie ubawił. Sięgnął po whisky, zakręcił w szklance grudkami lodu, aż zagruchotały o szkło.

— No, takiego strzału się nie spodziewałem! Rzeczywiście — wszystko to można było zmyślić, wszystko zainscenizować! Wszystko... z wyjątkiem śmierci Santopulosa w Atenach i śmierci Mortimera na Erato — nieprawda?... Zdaje się, że przedwczoraj pokazano panu Santopulosa w celu identyfikacji zwłok znalezionych w pańskim łóżku, a wczoraj obejrzał pan sobie Mortimera. Może jednak weźmie pan broń?

— Nie. Zostanę przy własnej inteligencji — to najlepsza obrona. Jeśli okaże się, że mam jej za mało, niewątpliwie zasłużyłem na śmierć.

— Powinien pan wreszcie zacząć się bać...

— Ależ panie Linares, boję się jak diabli! Widać, nieźle się kamufluje... Pańskie zdrowie!

Usłyszeli buczenie syreny okrętowej. Przybywał statek z Pireusu...

Gdy Wojdan wyszedł z eks-najemnikiem przed dom, mulnik Manolis czekał już ze zwierzętami. Tym razem wdrapanie się na grzbiet muła nie przyszło architektowi łatwo — może był to skutek alkoholu, a może zdennerwowania? Gdy minęli bramę, Polak obejrzał się. Łysawy brodacz stał wciąż jeszcze na ganku, a widząc, że jego gość odwraca głowę, posłał mu szeroki uśmiech i pożegnalny gest.

2.

W tawernie wciąż jeszcze bawiono się, a Stawros — pragnący utrzymać z gośćmi dobrą komitywę, zapił się już do nieprzytomności. Siedział teraz w kącie, wodząc błędnym wzrokiem po sali, podczas gdy większość obecnych tańczyła jakiś dziki taniec, w rytmie przypominającym sirtaki. Obok

Stawrosa przycupnęła zrozpaczona Diana Morelli, chyba nie wiedząc, co dalej robić.

— Spadł mi pan z nieba! — wykrzyknęła uradowana na widok Polaka. Nie robiła mu wymówek z powodu jego nieobecności. — Czy może przybył już statek z Pireusu?

— Chyba właśnie dobija do nadbrzeża.

— Co teraz zrobimy?

— Nie mam takich praw, żeby o czymkolwiek tutaj decydować. Może posiedzę z panem Stawrosem, a w tym czasie pani pójdzie na nadbrzeże, gdzie cumuje „Samantha” i zakomunikuje pani Kleandrze Zaddeck, że pan Stawros poczuł się słabo?

— Będzie wściekła!...

— Nic na to nie poradzimy, ale nie wolno nam pozostawić tu Stawrosa. Jutro możemy go już nie odnaleźć żywego.

Podniosła wzrok na Wojdana i zmarszczyła brwi.

— Nie są to chyba pańskie najlepsze dowcipy — powiedziała sucho.

— To nie są żadne dowcipy. Dziś mamy trzeci dzień mojego pobytu w Grecji, a dwóch moich znajomych, których zaledwie tu poznałem, już nie żyje.

— Dwóch pańskich znajomych?

— Mam na myśli Santopulosa i inżyniera Mortimera.

— Inżynier Mortimer wyjechał do Izmiru.

— Wiem. To wersja Stawrosa. Sam mi to mówił, a ja udałem, że mu wierzę. Natomiast wcześniej rano widziałem trupa Mortimera na dolnej platformie, nad samym morzem.

— Mówi pan serio?

— Nie jest to raczej temat do żartów. Nie wiem, co tu się dzieje, ale w każdym razie nie panuje tu nastrój wypoczynku i kontemplacji. Mówiła mi pani o dwóch kolejnych miejscach pracy, z którymi pożegnała się pani w dramatycznych okolicznościach. Obawiam się, że trzecie miejsce pracy na wyspie Erato zaliczy pani do najmniej udanych. A teraz pani będzie łaskawa przespacerować się do pani Zaddeck i poinformować ją, że panu Stawrosowi urwał się film... Rozumiem, że dzisiejsze zaproszenie naszych

gości, reprezentujących władze nomu i eparchii, do odwiedzenia Erato — było tylko chwytem propagandowym. Przedstawiciele władz ledwie już trzymają się na nogach.

Okazało się po pół godzinie, kiedy Diana Morelli wróciła z portu, że pani Kleandra Zaddeck życzy sobie mieć Stawrosa w motorówce — w tym celu przysłała z sekretarką dwóch dryblasów w ciemnych okularach, którzy ujęli ostrożnie Stawrosa i zanieśli na „Samanthę”. Uczestnicy konferencji byli tak pijani, że nie zwrócili uwagi na fakt zniknięcia człowieka, który uważany był za „prawą rękę” Wielkiego Kalifa. Postronni obserwowali tę scenę bez sensacji. Wojdan natomiast zabrał ze stołu jakieś dokumenty, rulon planów, które przestały kogokolwiek interesować, upewnił się w barze, kiedy odpływa pojutrze statek do Pireusu i wysunął się bocznym wyjściem, obok napisu „Toilette-Apochoritijon”. Na podwórzu stało kilka stolików — pewnie przeznaczonych dla stałych gości tawerny, którzy nie brali udziału w ogólnej zabawie. Dostrzegł żeglarzy z zacumowanych w porcie jachtów. Byli najczęściej ubrani w typowe dla jachtsmenów „mundury” — swetry i szorty. Jakaś para w żółtych dresach całowała się namiętnie ponad pływającą w sosie siekaną baraniną z czosnkiem. A pod ścianą... nie, to chyba niemożliwe! Pewnie się omylił! Zesztywniał cały i cofnął się za węgiel. A jednak pierwsze wrażenie nie myliło go. Odwrócona tyłem do niego siedziała para, w której rozpoznał przelotnych znajomych z baru w hotelu „Xanadu” — terrorystów Hansa i Ulłę.

Trzymając się blisko ściany, Wojdan wycofał się poza budynek, a następnie puścił biegiem ulicą prowadzącą prosto do portu. Gdyby pozostał dłużej w miasteczku, motorówka „Samantha” odjechałaby bez niego, a tę noc wolał jeszcze spędzić na Erato. Wszedł na pokład, gdy ludzie z ochrony ładowali nieprzytomnego Stawrosa do wnętrza krytej kabiny, podczas gdy pani Zaddeck konferowała z młodym, przystojnym Włochem na przednim pokładzie. Diana Morelli miała wypieki na policzkach chyba przejęła się wypadkiem Stawrosa, całą sytuacją w tawernie, a może i tym, co powiedział jej Wojdan. Uścisnęli sobie z Włochem dłonie. Na całe szczęście pianista znał angielski i z miejsca zaczął rozmowę z Polakiem, chyba zmęczony

konwersacją z panią Zaddeck.

„Samantha” odbijała już od kamiennego nabrzeża. Wojdan przyjrzał się miastu i portowi. Zauważył zacumowany w pobliżu archaiczny stateczek, który przywiózł Włocha. Nazywał się „Apollo” — był brudny, poobtlukiwany i mógł wprawić każdego w zdumienie, że potrafił przebyć spore odległości na niezbyt spokojnym morzu. Tuż za „Apollem” natomiast stał nowiu-teńki wielki motorowy jacht „Sirocco” — pod nieznaną Wojdanowi egzoty-czną banderą, chyba jakiegoś sułtanatu znad Oceanu Indyjskiego.

Włoch chciał być miły wobec Polaka, wyraził więc swój entuzjazm dla osoby papieża, ale następnie wspomniął nazwiska dwóch, znanych mu dobrze, polskich kompozytorów: Chopina i „Pindreckiego”. Wojdan odgadł, że chodzi o Pendereckiego.

Potem Polak przysiadł się do Diany Morelli, która właśnie próbowała zdrzemnąć się, głęboko wtulona w fotel. Otworzyła oczy i spojrzała na niego półprzyciemnie. Chyba także trochę wypła.

— Jaki ma pani plan na dziś?

— Na dziś? Przecież niedługo zapadnie wieczór.

— Chciałbym jeszcze z panią porozmawiać. Miała pani znaleźć trochę czasu dla mnie.

— Ma pan rację. Ja też chcę z panem pogadać. Chyba wie pan więcej niż ja o tym, co się tu dzieje.

— A dzieje się coś? — spytał przekornie.

Zaczęła się śmiać.

— Sama poszukam pana wieczorem, ale wpierw muszę się trochę prze-spać. Boli mnie głowa. Zdaje się, że pani Zaddeck będzie jutro mocno zaję-ta — wskazała ruchem głowy na włoskiego pianistę — a Stawros będzie leczył kaca. Gdzie pan zniknął, kiedy w tawernie zaczęła się uczta? Było okropnie!

— Lubi pani tańczyć...

— Ale nie z pijanymi dygnitarzami z archipelagu, śmierdzącymi czosn-kiem i uzo. Wie pan, co mi w pewnym momencie powiedział pijany Stawros? To samo, co niedawno pan. Radził mi uciekać z Erato. To jakiś obłąd!...

Byli już blisko skalistych brzegów wyspy. Na nabrzeżu stał człowiek z ochrony, który chwycił rzuconą mu cumę i umocował na żelaznym pachołku. Na górnym tarasie stało dwóch mężczyzn w szarych tweedowych garniturach. Obaj nosili wielkie, przyciemnione okulary. Na szczycie urwiska kręciła się antena radaru.

„Samantha” zacumowała obok „Semiramis”. Wyrzucono trap i pasażerowie zeszli na ląd, ale dopiero gdy pani Zaddeck oddaliła się z włoskim pianistą, z głębi kabiny wygramolił się Stawros, opierając się na ramieniu stewarda.

— Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie — pokręciła głową Diana, zatrzymując się obok Wojdana. — Dał się spoić jak uczeń. Chyba chciał nawet tego. Zobaczmy się, panie Wojdan?

— Dziś wieczorem zgodnie z twoją obietnicą — przeszedł na formę bardziej bezpośrednią. — Ty znasz lepiej stosunki na Erato, ja znam kilka sensacji. Może dokonamy wymiany informacji.

— Nie wszystko możemy obejrzyć z obu stron. Nawet księżyc znamy tylko z jednej.

Byli już sami. Pani Zaddeck i pianista zniknęli w windzie. Goryle, służba i Stawros zostali za nimi. Wolno wchodzili po schodach. Może Diana Morelli uważała, że tylko taka, mimochodem prowadzona rozmowa, ma jakiś sens...

— Widzisz Barth...

— Nazywaj mnie Bartosz, Bartek albo Bartholomeo, ale na miły Bóg, nie Barth!...

— Dobrze już, dobrze... Bartosz — cóż to za przedziwne, barbarzyńskie imię! Powiedz, czy nie oczekiwałeś tu rajy — pisanego z dużej litery? „Siedziba bogacza”, „rezydencja nababa”, „pałac Wielkiego Kalifa” — w każdym z tych określeń pobrzmiwa echo baśni, jakieś ułamki lektur, pobłyskuje „diament wielki jak góra” z opowiadań Fitzgeralda. Ale raj jest rajem tylko wówczas, gdy jest od nas oddalony o setki i tysiące mil. Oglądany z bliska okazuje się szarą codziennością ze zwykłymi małymi i wielkimi draństwami, nudą i alkoholem i zawsze z odrobiną seksu, zawiści,

perwersji i zbrodni. A Zaddeck? Legenda zrobiła z niego potwora i erotomana. To prawda, że w Libanie otaczał się hurysami z nocnych lokali i był protektorem szaleństw, jakie działy się w „Casino du Liban”, ale w gruncie rzeczy to nieszczęśliwy facet, którego wyobrażenia o sobie i swoich możliwościach przerosły rzeczywistość. Był impotentem, maniakiem poszukiwań podwodnych — o czym chyba jeszcze nie wiesz, tyranizował setki małych gangsterów, a jego znów tyranizowała żona, pochodząca z rodu zbankrutowanych bogaczy, piratów i armatorów. Nie mieszkał z nią w rezydencji, ale w małym pawilonie na najniższej platformie, obok akwarium — informowała Wojdana, w gruncie rzeczy powtarzając to, co już powiedział architektowi eks-najemnik.

— Dlaczego mówisz „był”?

— Bo zniknął... Właśnie — nie wiadomo, gdzie przebywa. W ciągu ostatnich trzech miesięcy zjawiał się raz na godzinę lub dwie, odjechał i zniknął... Nawet ja nie wiem, gdzie jest, i udzielam wykrętnych odpowiedzi, gdy pytają o niego. Zniknął!...

— Przyjechał szóstego maja późnym wieczorem obcą motorówką. Udał się do rezydencji z panią Zaddeck, a po jakimś czasie wsiadł do motorówki ze Stawrosem i odpłynął. Tak było?

— Tak. Dowiedziałam się o tym na drugi dzień, kiedy pani Zaddeck wysłała mnie „Samanthą” do Pandros po Stawrosa. Nic z tego nie rozumiałam. Stawros także nic nie wyjaśnił.

— A jeśli Stawros odpłynął tą motorówką bez Zaddecka? Kazał zawinąć na Kessarę i odesłał ją na statek, z którego pochodziła. Rano odebraliście go na pokład „Samanthy”. Zaddeck mógł w ogóle nie opuścić Erato. Zresztą — na pewno nie opuścił.

— Wiedziałabym coś o tym.

— Wiedziałabyś, gdyby żył...— odpowiedział i umilkł, zdając sobie sprawę, że za wiele powiedział. Przystanęła i spojrzała mu prosto w twarz.

— Jesteś prywatnym gliniarzem?

— Nie.

Mogli cię zwerbować w Hamburgu lub w Bremie — tak podejrzewa Stawros. Kazał mi trzymać się od ciebie z daleka i nie wdawać się w rozmowy takie, jak ta dzisiejsza.

— Dlatego nie spotkaliśmy się więcej w cztery oczy?

— Może dlatego. Poza tym masz jakieś układy z grecką policją. Po co wziął cię ten grecki komisarz do drugiego pokoju?

— Aby pomóc w zidentyfikowaniu morderców Santopulosa.

— Znasz ich?

— Przypuszczam, że tak, ale nieciekawe postacie najemni terroryści. Kiedyś ideowcy, dziś zabijają za pieniądze.

— To ty miałeś być tam zamordowany?

— Ja.

— Jaki mogli mieć w tym cel?

— Chcieli przestraszyć Zaddecka — chyba postawiono mu jakieś warunki do spełnienia, z których wykonaniem się ociągał. Mój trup miał być dla niego ostrzeżeniem, a przy okazji chodziło o plany.

— Czego mogli od niego chcieć?

— Wydania towarów, które ukrywa w podziemnych sztolniach na Erato.

— Tak. Zawsze to były jego „podręczne” magazyny...

— Broń i amunicja?

— Chyba jednak Stawros miał rację — mówiąc, że pracujesz dla „Interpolu”...

— Uwierz mi, do licha, że dla siebie! Już pierwszego dnia zorientowałem się, że żadnej rozbudowy rezydencji nie będzie i chciałem rozpoznać „co jest grane”. Chodziło mi o mnie, o moje życie. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Zaddeck zbił majątek na handlu bronią i podejrzanych machinacjach. Wiedziałaś o tym, prawda?

— Co to ma do rzeczy! Gdybym była tak głupia i gadała pierwszemu spotkanemu cwaniakowi, co wiem, co przypuszczam, albo co o tym wszystkim myślę, byłabym już daleko stąd albo na dnie morza — z ciężarkiem u nóg. To są interesy sięgające wartości wielu milionów dolarów, a

w ich efekcie gdzieś tam na arabskich frontach giną dziesiątki tysięcy ludzi. Nic nie wiem i nic o tym do nikogo nie gadam. Takie mam zasady — dlatego żyję i zarabiam sporo pieniędzy.

— Ale zaczął budzić twój niepokój fakt długiej nieobecności Zaddecka. Zresztą — ten niepokój czuje się na całej wyspie. A jeśli on naprawdę nie żyje?

— Nie wykluczam takiej możliwości.

— Co więc leżałoby w twoim i moim interesie?

— Kiedy?

— Nawet dziś! Zaraz!...

Przystanęła i spojrzała na niego uważnie, mrużąc powieki.

— Wojdan — nazwała go po nazwisku, rezygnując z Bartosza, Bartka, Bartholomea i Bartha — czego ty ode mnie chcesz?

— Pomóżmy sobie nawzajem! Spróbujmy sprawdzić, czy Zaddeck przebywa na Erato. Jeśli tak, chyba nie ma sensu ani dla mnie, ani dla ciebie pozostawać tu i czekać na finał. On nie odplynął z Erato...

— Jesteś dobrze poinformowany — lepiej niż ja! Nie powiesz mi, że nie jesteś łapaczem. Pracujesz albo dla greckiej policji, albo dla „Interpolu”. Chyba masz rację, że trzeba kończyć służbę na Erato. Pieniądze mam w banku, przy sobie niewiele, ale powinno wystarczyć. Tylko, że to nie takie proste! Najważniejsze — dostać się na Kessarę, a stamtąd dalej...

— Ja — do Aten...

— Więc nasze drogi rozchodzą się. Ale jeżeli to wszystko nieprawda, nie przyznam się przed nikim do rozmowy z tobą i palcem nie kiwnę, jeśli zlikwiduje cię ochrona Zaddecka.

— To trochę inaczej niż postąpiłbym ja, gdyby groziło ci niebezpieczeństwo. Lubię cię, Diana...

— Dziękuję... Chodźmy już, nie stójmy tak, bo goryle zwrócą na nas uwagę. Co proponujesz?

— Zaddeck nie opuścił wyspy — jest tu gdzieś uwięziony albo został zamordowany. Mortimer musiał coś odkryć. Przeraził się i chciał uciekać z wyspy.

- To nieprawdopodobne...
 - Jest jeszcze jedna możliwość...
 - Jaka? Mówże, Wojdan, do końca! Wchodzimy już na górną platformę i będziemy musieli się rozstać...
 - Mortimer mógł odkryć, co przechowuje Zaddeck w swych podziemnych sztolniach, co skrywają jego magazyny.
 - Prowadzisz cholernie ryzykowną grę, Wojdan!...
 - Ależ to wszystko mieści się w granicach moich obowiązków! Stawros powierzył mi szefostwo nad biurem budowlanym, które prowadził dotąd Mortimer. Wprawdzie on niewiele tu zdziałał...
 - Mylisz się, mówiąc, że Mortimer nic nie zdziałał. Wykończył podziemne przejście z górnej rezydencji do pawilonu mieszkalnego Zaddecka na najniższym poziomie — obok akwarium.
 - Będę musiał tam pójść, jeśli mi pozwolą... Aha — coś jeszcze! Jak mam telefonować do Aten, żeby nikt nie podsłuchał ani nie nagrał mojej rozmowy?
 - Najlepiej z mojego sekretariatu „czerwoną linią”, jeśli nie przeszkodzi w tym Stawros. Nikt nie będzie cię słyszał, z wyjątkiem mnie. Ale przede mną nie masz przecież nic do ukrycia, nieprawda?...
 - Zgadłaś, Diano!
 - Dokąd chcesz dzwonić?...
 - Chyba to oczywiste... — odpowiedział z nutką przekory. — Na policję. Do komisarza Zalokostasa albo komisarza Malamosa.
 - Tak myślałam...
- Jeśli nawet w bazaltowo-żelbetowych sztolniach wyspy Erato znajdował się radioaktywny pluton, nigdy sprawa ta nie miała trafić do archiwów policji i z pewnością nie spowodowałyby przyjazdu specjalistów wydziału zabójstw. Ale obecność poszukiwanych anarchistów, w dodatku podejrzanych o zbrodnię w hotelu „Xanadu” — na pewno! A o nic innego nie chodziło Wojdanowi, jak o obecność policji z Aten na Kessarze, ponieważ już zdecydował się na wyjazd i nie miał zamiaru szukać ochrony u Victora Linaresa, eks-najemnika. To też zapewne nie było sprawą dla policji

zajmującej się kłopotami zagranicznych turystów na greckich szlakach. Postanowił nie dostarczać eks-najemnikowi ani planów, ani informacji o losach Zaddecka. Ale Zaddeck był jego głównym zleceniodawcą. Chciał więc spróbować jeszcze dowiedzieć się prawdy o jego losie.

3.

Pokojówki Katiny Wojdan nie spotkał w korytarzu ani — tym razem — w pokoju. Wziął prysznic, napił się „seven-up” z baterii trunków z lodówki i zszedł na dół na kolację do baru „Grotta Azzurra” — teraz dopiero pojął sens tej nazwy, ściągniętej z Capri. W czasie wycieczki z Sorrento na Capri zdążył nie tylko zwiedzić ruiny pawilonów i świątyń Tyberiusza oraz Anacapri z willą „San Michele”, ale i Lazurową Grotę. Cud tego miejsca polega na tym, że promienie słońca nie wpadają bezpośrednio do groty, ale oświetlają okna i bramy w skale, położone częściowo poniżej poziomu wody. W ten sposób słońce rozświetla półmrok jaskini za pośrednictwem wody morskiej. Poeci pisali o tym zjawisku, że wydaje się, jakby światło przenikało przez filtr ze szlachetnych kamieni. Pod barem „Grotta Azzurra” istniała także jaskinia — o czym już wcześniej mu mówiono, a co potwierdził teraz gadatliwy barman. Tyle że zamiast słońca oświetlały ją podobno ukryte pod wodą lampy. Dalej wzniesiono tamę, za którą znajdowała się „część muzealna” groty. Zaddeck urządził tam właśnie wielkie akwarium. Ze względu na niedokończone jeszcze prace dostęp do groty i do akwarium był zamknięty. Z akwarium prowadzić miały schody wprost do osobistego pawilonu Zaddecka, gdzie odpoczywał po podróżach i dokąd wstęp mieli tylko osobisty kelner, kamerdyner i jakiś profesor Armstrong.

— Kto to taki? — zapytał Wojdan, nazwisko to usłyszał bowiem pierwszy raz na wyspie.

— Nie wiem, czy nie za wiele mówię — zaniepokoił się barman. — Nie moją sprawą jest informowanie gości o zamiarach pana Zaddecka, o jego gościach i regułach życia na wyspie.

— Nie jestem tu osobą obcą. Powierzono mi stanowisko architekta, który ma kierować pracami związanymi z rozbudową rezydencji. Zająłem miejsce inżyniera Mortimera — wyjaśnił. — Będziemy więc spotykać się często... Kim jest zatem profesor Armstrong?

— To naukowiec, badacz głębin morskich, którego pan Zaddeck zatrudnił jako dyrektora akwarium. Profesor Archibald Armstrong. To on gromadzi i przygotowuje okazy dla akwarium. Kiedy przyjechałem, trwały tam prace, ale nagle wszystko przerwano. Podobno pan Zaddeck zmienił koncepcję podwodnej wystawy. Ma to być w przyszłości największa atrakcja Morza Egejskiego.

Wojdan skinął głową. Podzielał zdanie barmana, ale czy pani Zaddeck miała zamiar kontynuować dzieło męża? Czy prace zostały przerwane w związku z tym, co wydarzyło się na Erato, gdy Zaddeck przybył tu późnym wieczorem motorówką? Wojdan pomyślał, że jeżeli istniało jakieś tajne przejście podziemne z gabinetu w głównej rezydencji do pawilonu i akwarium, to Zaddeck mógł tam właśnie zniknąć.

— Pan Zaddeck tak długo podróżuje, że jego osobisty kelner i kamerdyner nie mają wiele zajęcia — zauważył.

— Tak, i dlatego pani Zaddeck obu zwolniła, uważając, że i tak jest tu za dużo służby. Po przyjeździe pana Zaddecka obsługą pawilonu ma zająć się ktoś z baru „Grotta Azzurra”. To „złota żyła” dla personelu. Pan Zaddeck nie żałował nigdy napiwków.

— Jeżeli chciałby pan dostać to zajęcie, obiecuję namówić panią Kleo, aby właśnie pana wyznaczyła do obsługi pawilonu.

— Trochę się lękam tych obowiązków, ale na pewno byłbym zaszczycony. No... i opłaci się.

— Nie ma sprawy! Załatwimy to — skłamał Wojdan, licząc, że ma prawo w tym przybytku tajemnic przyjąć rolę „zagadkowego następcy inżyniera Mortimera”. — Pan Stawros obiecał pokazać mi akwarium i zapoznać z jego opiekunem, ale jeszcze nie zdążył. Przyjechałem dopiero wczoraj, a dziś pan Stawros jest niedysponowany. Obawiam się, że ta niedyspozycja

potrwa do jutra — plotkował, pragnąc zdobyć względy barmana. — Czy pan Armstrong pozwoli mi zajrzeć do akwarium?

— Nie wiem, proszę pana. Drzwi do zejścia w dół, do jaskini, znajdują się na tyłach „Grotta Azzurra”. Łatwo tam trafić, ale ja nigdy tam nie byłem. Do czasu oficjalnego otwarcia muzeum personelowi nie wolno tam wchodzić. Natomiast pan Zaddeck oprowadzał już po akwarium swoich gości, kiedy jeszcze trwały prace. Pan Mortimer także tam zaglądał.

— Przez wejście na tyłach baru?

— Ach, w różny sposób! Doglądał tam prac, kiedy jeszcze trwały. Ale wkrótce po jego przyjeździe prace przerwano. Czasami brał łódź z betonowych boksów w falochronie i dostawał się do grotty od zewnątrz, ale to bardzo ryzykowne i możliwe tylko przy spokojnym stanie morza.

Wojdan pomyślał, że uzyskał więcej informacji, niż oczekiwał. Albo na barmanie wywarło wrażenie to, co powiedział o swoich „stosunkach” na Erato, albo tamten miał jakiś ukryty cel.

Przy barku Wojdan zauważył artystę malarza Orazia Girottiego. Po zjedzeniu kolacji złożonej z greckich potraw — dolmades i bakławy, czyli mięsa z ryżem w liściach winorośli oraz ciastek z migdałów, syropu i miodu, Wojdan napił się kawy w towarzystwie malarza, a nawet dał się namówić na mały koniak.

— Słyszał pan — pytał go Włoch — jutro po poranku muzycznym, na którym wystąpi ten pianista, którego przywiozła dziś pani Zaddeck, wypływamy na wycieczkę statkiem „Semiramis”. Wyjeżdża praktycznie całe towarzystwo zamieszkałe na Erato, nawet jakieś kreślarki i część personelu miejscowej gastronomii...

— Nie, nie słyszałem... Wyjazd potrwa długo?

— Nie orientuję się. Pytałem o to, ale nikt nic nie wie. „Semiramis” to duży i wygodny statek.

— Tak. Wszyscy się zmieszczą. Nawet można wysłuchać tam koncertu, jeśli za bardzo nie kiwa.

— Właśnie — zapowiedziano już koncert jutro wieczorem na statku, ale wszystko zależy od sprzyjającego nam nastroju Posejdona. Słyszałem, że

pan Stawros przeholował trochę na Kessarze? Pan z nim był?

– Nie przez cały czas.

– Pani Zaddeck była z wami?

– Tak, odbierała przecież w porcie swego artystę Massima Sancrottiego.

– Zachowywała się naturalnie?

– Całkiem naturalnie. Odkrył pan coś?

– Powiem panu, co spostrzegłem, a co wydało mi się dziwne. Pewnie śmieje się pan w duchu z moich podejrzeń?

– Nie jest mi do śmiechu. Co pan spostrzegł?

– Zajrzałem do głównego wejścia rezydencji – widziałem, że służba pakowała jakieś rzeźby z brązu, jakieś naczynia. Myślałem, że to przygotowania do jutrzejszego wyjazdu, ale to raczej przypominało mi przeprowadzkę...

– Sprzedał pan swoje obrazy?

– Dwa kupiła pani Zaddeck. Ale skoro jesteśmy przy obrazach, to po przyjeździe pokazano mi w saloniku pani Zaddeck płótna francuskich impresjonistów oraz obraz Picassa. Dziś tam już nie wiszą! Nie wiem do prawdy, co o tym myśleć!...

Na tyłach baru Wojdan znalazł drzwi z dyskretnym napisem „Aquarium”. Były zamknięte – tak, jak przewidział. W boksach falochronu stały natomiast łodzie wiosłowe lub z silnikiem małej mocy. Wziął najmniejszy bączek – takt, jaki cumował przy brzegu, kiedy wyciągano z wody Mortimera. Wsiadł i ostrożnie pracując wiosłami, ruszył naprzód, trzymając się blisko skalistego brzegu. Otwór jaskini znajdował się nie opodal nabrzeża i był niewielki – łódeczka ledwie się mieściła...

Z niespokojnym biciem serca Wojdan skierował dziób bączka w głąb jaskini. Przybój był mały, bez trudu więc posuwał się naprzód skalnym tunelem. Nagle ściany rozstały się i łódeczka wpłynęła do amfiteatralnej podziemnej zatoki, zamkniętej naprzeciw tamą z odłamów skał. Było dość jasno – mrok rozjaśniały lampy, umieszczone pod wodą. Barman – chociaż sam tu nie był, opisał wszystko dokładnie. Przycumował łódeczkę

przy schodkach prowadzących na tamę. Z części jaskini znajdującej się poza tamą wypompowano wodę, a na dnie groty zbudowano imponującej wielkości akwarium. W akwarium odtworzono sceny z historii podwodnych poszukiwań — od nurkowania bez przyrządów i z zastosowaniem drewnianych dzwonów aż po nurkowanie w skafandrach klasycznych i nowoczesnych — przeznaczonych do penetrowania na dużych głębokościach. Wszystkie to demonstrowały manekiny, często wciśnięte w zmurszałe szczątki wraków. Były tam resztki galeonów, galer, pirackich szebek o skośnych rejach i innych statków — a wszystko zagrzebane w piasku i mule, obrosłe naturalnymi glonami i wodorostami. Wrażenie spotęgowane było przez nagle oświetlenie, jakby seledynową poświatę, sączącą się spomiędzy wręgów zatopionych okrętów, ze szczelin skał i raf koralowych. W tej poświacie uwijały się chmary żywych ryb różnej wielkości i barwy...

Wojdan przypomniał sobie, co mówiono o tej podwodnej wystawie. Będzie to istotnie nadzwyczajna atrakcja turystyczna archipelagu Morza Egejskiego, kiedy wszystko to zostanie już udostępnione zwiedzającym. Ale czy zostanie udostępnione? Urządzenie do stałego przepływu wody umożliwiło tu utrzymanie naturalnych warunków dla hodowli ryb, wszelkich stworzeń i roślin podwodnych. Całość znajdowała się poniżej poziomu morza, zabezpieczona tamą. Wojdan obszedł akwarium dookoła, obejrzał dramatyczne sceny walki nurków z fantastycznymi polipami z plastyku, zachwyił go rozmach przedsięwzięcia, ale i zmierzła tandeta niektórych pomysłów, rodem z komiksów. Wątpliwości natury estetycznej budziły szkielety w zbrojach, splecione w uścisku śmiertelnej walki — rzekomo utrwalonej przez nagłą śmierć w czasie bitwy pod Lepanto.

Wyszedł z podmorskiego labiryntu, przypominając sobie w tym momencie Mortimera i jego aluzje do mitu o Ikarze i Dedalu, a także o potworze ukrytym w Labiryncie — o Minotaurze... Znalazł na zapleczu akwarium schody kończące się galeryjką ze stalowymi drzwiami. Nie były zamknięte. Przekręcił kontakt po wewnętrznej już stronie. Zapłonęły lampy w seledynowych abażurach, oświetlając staromodnie urządzonej apartament, pełen mebli zdradzających niewyszukany gust, przypominających wnętrza,

które tak drobiazgowo opisywali autorzy książek powstałych u schyłku dziewiętnastego wieku — od Conan Doyle'a do Juliusza Verne'a... Wielkie rzeźbione szafy, stół na dwanaście osób, pociemniałe obrazy w złożonych tandetnie ramach, figurki z porcelany, jakieś skorupy żółwi i egzotyczne muszle, zamykające w sobie niewątpliwie „szum dalekich mórz”...

Tutaj — Wojdan nie miał co do tego wątpliwości — znajdowało się owo pied-à-terre wielkiego armatora, handlarza bronią i współczesnego pirata. Nie było tu jednak ani książek, ani telewizora, ani fortepianu, ani magnetofonu. Całość wyglądała tak, jakby nikt tu nie tylko nie mieszkał, ale i nie sprzątał. Na nocnym stoliku — obok wielkiego, drewnianego łóża z baldachimem, jakby wyciągniętego z tureckiego lupanaru po drugiej stronie Złotego Rogu — leżało kilka zakurzonych komiksów, parę czasopism i stary numer „Playboya”.

Na grubym, smyrneńskim dywanie stały natomiast trzy drewniane puste skrzynie, jakby gotowe do zapakowania w nie czegoś, co mogło tu być najcenniejsze. Otworzył szufladę wielkiego stołu, ale znalazł tam tylko błękitne kamyki z morskiego dna. Otworzył drugą — były tu także kamyki, tyle że o barwie czerwonej.

Nic więcej nie otwierał. Wyszedł, oglądając jeszcze zamek przy drzwiach. Nie było tam nic skomplikowanego, żadnego szyfru, we framugę nie została wmontowana fotokomórka. Inaczej wyobrażał sobie „centrum dowodzenia” wielkiej mafii... Pewnie istniały w tym wnętrzu jakieś drzwi wiodące bezpośrednio na dwór, ale ich nie odnalazł — szukał chyba zbyt pobieżnie, zbyt nerwowo... A może mieszkanie znajdowało się poniżej poziomu baru „Grotta Azzurra”? Jeśli tak, był tu chyba jeszcze jeden wąż, może ukryte schody, lub winda? Ale winda stanowiłaby w tym staroświeckim wnętrzu dysonans, choć wszystko było tu zbieraniną i dowodziło braku gustu i smaku lokatora, a właściwie po prostu upodobań prostackich. A może było to wyposażenie rodzinnego domu Zaddecka, którego ojciec był mającym niezłe o sobie mniemanie kupcem bejruckim?

Znów była galeryjka, schody, potem drzwi i napis na tabliczce: MR ARCHIBALD ARMSTRONG, SCIENTIST, jakby umieszczono wizytówkę w klatce schodowej wiktoriańskiej kamienicy, a nie w labiryncie podziemi bazaltowej wyspy, którą omijały morskie ptaki... Wojdan zastukał, a nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę. Wnętrze było oświetlone. Pierwsze pomieszczenie wyglądało jak magazyn probówek, słoików i akwariów, następne przypominało laboratorium lub pracownię, a uwagę zwracały liczne retorty, mikroskopy i preparaty. Dopiero trzecie pomieszczenie przypominało obszerny gabinet albo raczej pokój mieszkalny z biurkiem, szafą, parą foteli, stolikiem, szafami pełnymi książek i łóżkiem — tym razem bez baldachimu... Okien nie było, ale istniała tu bardzo dobra klimatyzacja. Czuło się typowe morskie powietrze. Było ciepło, ale nie gorąco. W łóżku leżał jakiś człowiek, chyba bardzo chory. Jedną rękę spowijał mu bandaż. Na stoliku znajdowały się jakieś lekarstwa.

— Pan Demiris? — spytał po angielsku, słysząc nadejście gościa.

— Nie. Nazywam się Wojdan.

— Nie słyszałem o panu. Jak pan mnie tu znalazł? Przysłała pana Kleo?

— Tak. Pani Zaddeck prosiła, żebym tu do pana zajrzał — skłamał bezczelnie.

— Tak pomyślałem. Troszczy się o mnie, prawda?

— Myślę, że tak. Jestem tutaj nowym architektem — uzupełnił informację.

Chory ożywił się.

— O, wszystko wskazuje więc na to, że prace przy moim akwarium ruszą naprzód...

— Chyba jednak nie ruszą. Śmierć pana Zaddecka stworzyła całkiem nową sytuację — blefował dalej Wojdan.

Starszy mężczyzna posmutniał. Twarz miał szarą, wymizerowaną, zarost od dłuższego czasu niegolony.

— Wiem. Zdaję sobie z tego sprawę. Nic na to jednak nie poradzę. To

był przypadek — nic więcej. Nie chciałem go zabić. Stałem się ostatnio bardzo nerwowy. Kleo żartuje, że jestem bliski obłądu...

— W Zaddecku stracił pan zapewne serdecznego przyjaciela, nie tylko szefa. Przecież obaj bawiliście się w ten podwodny cementarz.

— To był nieszczęśliwy wypadek. Jestem taki nerwowy, a tu nagle usłyszałem, że ktoś skrada się na terenie akwarium. Wyjrzałem. Światła groty były wygaszone — zobaczyłem tylko odbłask zapalonej latarki. Intruz szedł prosto do centrali, a tam wolno wchodzić tylko Zaddeckowi i mnie. Skąd mogłem wiedzieć, że to był właśnie Zaddeck? Pan wie, co to znaczy centrala? Chyba Kleo powiedziała to panu. Teraz drzwi do centrali są stale zamknięte, ale wtedy tak nie było...

— Skąd miał pan broń?

— Jak to skąd? Zawsze miałem broń. Zawsze. Jeszcze w Bejrucie, kiedy byłem małym chłopcem, ojciec kupił mi pierwszy w życiu rewolwer. Byliśmy maronitami i obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia, jak wszyscy dobrzy chrześcijanie. Teraz nie rozstają się także z bronią.

— I co zdarzyło się później, kiedy nakrył pan tego intruza, buszującego w podziemiach i zmierzającego do centrali? Strzelił pan?

— Ach, nie! Wezwałem go do zatrzymania się i na wszelki wypadek zażądałem, aby rzucił broń. Nie omyliłem się — w jednej ręce trzymał latarkę, ale w drugiej rewolwer. Chyba przypuszczał, że zatrzymuje go któryś z tutejszych goryli. Może to był zwykły odruch obronny? Po prostu przestraszył się i strzelił!... Trafił mnie — i, jak to niekiedy bywa, nic prawie w tym momencie nie czułem. Strzeliłem natychmiast — miałem cel oświetlony latarką, nie powinienem był spudłować... A jednak tylko go zraniłem! Zdążył jeszcze dostać się do łódki i skierować ją w stronę wyjścia z groty. Zgasił latarkę, mogło mu się udać! Zdążyłem jednak dotrzeć do centrali i zapaliłem wszystkie światła w grocie. Wpakowałem mu dwie kule, gdy już przepływał przez szczelinę skalną. Wtedy dopiero zauważyłem, że sam jestem ranny. No i zemdlałem... Gdy wróciłem do przytomności, leżałem już tutaj i była przy mnie Kleo. Włączając światła, uruchomiłem wewnętrzny system alarmowy...

- I wtedy dowiedział się pan, że zabił pan Zaddecka?
- Tak. Wtedy. Bardzo nad tym bolałem, ale, prawdę mówiąc, pomyślałem, że może dobrze się stało...
- Dobrze?
- Po prostu Zaddeck nie będzie mi się już więcej wtrącał do akwarium. Czy Kleo opowiadała panu o wszystkim?
- Opowiadała — skinął głową Wojdan, bez skrupułów kłamiąc, zdawał bowiem sobie sprawę, że prowadzi dialog z szaleńcem, który prawdopodobnie kryje pod poduszką rewolwer. Przypomniawszy sobie ranek i trupa Mortimera. Mógłby jeszcze żyć, gdyby nie zapragnął zabawy w detektywa! Teraz on, Wojdan, powinien był wycofać się z tej gry, jeśli nie chciał podzielić jego losu. Nigdy nie było przecież żadnego profesora Armstronga! To sam Zaddeck zaszywał się do tego podziemia, aby uciec od spraw handlu śmiercią na wielką skalę. Nie został zamordowany, ale stopniowo przeobrażał się w Armstronga. W znakomitego uczonego profesora Archibalda Armstronga. Rzeczywistość mieszała mu się ze światem jego imagacji — stąd ów poufały ton, gdy jako Armstrong mówił o swojej żonie Kleo. Gdyby prawda wyszła na jaw, pewnie imperium Zaddecków nie istniałoby dłużej niż jedną dobę — dlatego ściągnięto tu znów jakiegoś poetę, malarza, pianistę i polskiego architekta. Zdecydowano symulować „normalność”. Zaddeck był rzekomo permanentnie „w podróży”, a tymczasem jego chora osobowość uległa tu w podziemiu, monstualnym przeobrażeniu. Doprowadziły one w końcu do tego, że jako Armstrong uwierzył w zabójstwo szefa mafii przemytniczej. Co stało się jednak z ciałem Mortimera, które rano widział koło przystani?
- Powiedziałem panu chyba za dużo... — stwierdził nagle ranny, bardziej sam do siebie, niż do przybysza.
- A swoją drogą — zmienił temat Wojdan — stworzył pan tutaj niezwykle muzeum podwodne! Chyba nigdzie na świecie nie można by znaleźć drugiego podobnego. To dobrze, że pozwolono panu zajmować się tym hobby. A ciało Zaddecka, jeśli wolno spytać... Gdzie pochowaliście Wielkiego Kalifa?
- Kleo nie powiedziała tego panu?

- Tego mi niestety nie zdradziła.
- Przyrzeka pan dochować tajemnicy?
- Przyrzekam.

Chory zaśmiał się, lecz zabrzmiało to niesamowicie.

— Zaddeck jest tam... — ruchem głowy wskazał drzwi. — W akwarium!... To był pomysł Kleo. Zauważył pan pewnie nurka w klasycznym stroju, w wielkim mosiężnym hełmie, obwieszono go łowianymi ciężarkami? To właśnie jest sarkofag Zaddecka. Kleo powiedziała, że to sąsiedztwo będzie karą dla mnie. A przecież był to tylko przypadek...

Chyba mają tu jeszcze więcej takich kostiumów — pomyślał Wojdan. Rzekomy Zaddeck, to rzeczywiście Mortimer. Ciekawe kogo postronnego dopuściła pani Kleo do tajemnicy tego makabrycznego pochówku? Tak czy inaczej nadchodził już kres imperium. Należało stąd czym prędzej uciekać.

— Myśli pan, panie Armstrong, że pani Kleo da sobie radę sama, bez męża? — spytał nagle.

— Pomoże jej Stawros — powiedział ponuro rzekomy Armstrong, może w tym momencie wracając do osobowości Zaddecka.

Zmęczony rozmową, nagle zamknął oczy, zapadając w typową drzemkę ludzi osłabionych. Wojdan cofnął się i bez słowa pożegnania opuścił pomieszczenie. Był już za drzwiami, gdy ranny otworzył oczy i głęboka bruzda przecięła mu czoło. Zamruczał coś do siebie, zaklął po arabsku pod nosem, potem z trudem obrócił się na bok, wyciągając spod poduszki dużych rozmiarów, oksydowany rewolwer. Uniósł go z trudem, stwierdził, że wyjęto z bębna wszystkie pociski i nagle z oczu chorego popłynęły dwie łzy.

Można rzec, że Wojdan miał jednak szczęście. Był już daleko. Dość łatwo odnalazł schody tajnego przejścia. Nie było krat, szyfrowych zamków ani fotokomórek. Zaddeck był staromodny — wystarczała mu dla poczucia bezpieczeństwa wyspa i banda goryli, gotowych spełniać jego polecenia. Wyjście z tunelu znajdowało się w jego gabinecie. Być może funkcjonowała tu gdzieś jeszcze winda do podziemi, ale Wojdan jej nie znalazł. Dopiero gdy chciał opuścić gabinet, napotkał zamknięte drzwi. Rozejrzał się i wówczas zauważył portret Wielkiego Kalifa, ukazujący oblicze o przeciętnej

skali intelektu i dobronudsznym wyrazie twarzy, fizys sklepikarza z bejruckiego suku. Portret namalowano trzydzieści lat temu — odczytał to przy podpisie artysty, Zaddeck był dziś takim samym starcem jak rzekomy profesor Archibald Armstrong... Mistyfikacja została pomysłana inteligentnie.

Wojdan sięgnął po czerwony telefon, pamiętając co mu mówiono o osobistej „czerwonej linii” Zaddecka. Usłyszał w słuchawce speszony głos Diany Morelli — powiedziała po włosku.

— ...Pronto?...

— Możesz mnie połączyć z Atenami? — spytał. — Jezus Maria! To — pan? To ty, Wojdan?

— A myślałaś, że kto?

— Skąd dzwonicz?

— Przecież to jasne nie z Aten, ale z gabinetu twojego szefa...

— Jak się tam dostałeś? Siedzę w sekretariacie od dwóch godzin gdybyś przechodził obok, na pewno bym zauważyła! Więc chyba...

— Jesteś sama?

— Tak — Pani Zaddeck je kolację z włoskim pianistą, a Stawros śpi.

— Bądź więc tak dobra i otwórz drzwi gabinetu. Masz klucz?

— Mam. Jak się dostałeś do środka?

— Załóżmy, że przez komin...

— Wyglupiasz się! Już otwieram!...

Zgrzytnęły zamki. Drzwi otworzyły się. Diana stanęła w nich zmieszana i zaskoczona, witając go bez entuzjazmu.

— A jeśli zjawi się tu pani Kleo? — spytała. — Co jej powiesz?

— No cóż, wyjaśnię jej wtedy cel mojego telefonu.

— A jeśli pan Zaddeck?... — chciała mówić dalej, ale jej przerwał.

— Zaddecka nie ma już na tym świecie. Wiedziałaś o tym, a udawałaś, że nic nie wiesz!...

— Nie wiedziałam — pokręciła głową. — Nikt nie wiedział. Fantazjowano trochę. To pewne?

— Pewne... Na wyspie jest natomiast profesor Archibald Armstrong.

— Nie rozumiem... Co Armstrong ma wspólnego z zaginięciem Zaddecka? O Armstrongu wszyscy wiedzą. Dzwonicz w tej sprawie?

— Nie. Zostawiam to pani Zaddeck. Nie obchodzą mnie te sprawy. Kiedy opuszczę Erato — spróbuję o wszystkim zapomnieć. A teraz połącz mnie z Atenami! Szybko! — podał jej numer telefonu. — Poproś do aparatu komisarza Malamosa.

— O tej porze?

— To jest policja, moja droga! Tam zaczyna się dopiero dzień pracy!...

— Mam zamknąć drzwi, kiedy będziesz rozmawiał z Atenami?

— Nie. I tak na pewno nagrywasz to na wewnętrzny użytek. Zgadłem?

— Zgadłeś.

Dość szybko Diana uzyskała połączenie przez Kessarę z Atenami i jakimś cudem komisarz Malamos znalazł się przy telefonie.

— Dobry wieczór, panie komisarzu! — powitał go Wojdan.

— Dzwoni Polak, któremu kilka dni temu komisarz Zalokostas pokazał waszą kartotekę w związku z zabójstwem niejakiego Santopulosa w hotelu „Xanadu”. Pamięta pan? Tak, znaleźliśmy wówczas w kartotece tę parę terrorystów, która was zainteresowała, a którą podejrzewacie w związku z zabójstwem Santopulosa. Tak, było to chyba omyłkowe zabójstwo — chodziło im o mnie. Dlatego interesowałem się tą sprawą i dlatego telefonuję o tak późnej porze. Co? Nie jest jeszcze późno? Tak też myślałem. O co mi chodzi? Otóż widziałem tę parę dziś po południu w tawernie „Plaka” w miasteczku Pandros, na wyspie Kessarze. Tak, telefonuję z Erato, wysepki należącej do Zaddecków, położonej na południe od Kessary, ale wkrótce wyjeżdżam na Kesarę i stamtąd statkiem wracam do Aten. Dobrze, zajrzę na komisariat do spraw cudzoziemców! W razie potrzeby pomoże mi pan dostać miejsce na samolot? Mam bilet „open” do Warszawy. Dziękuję, panie komisarzu!...

Odłożył słuchawkę na widelki, wstał, jeszcze raz objął wzrokiem bezstylowy gabinet Zaddecka i wyszedł do sekretariatu. Diana wolno zasuwiała właśnie szufladę, gdzie pracował podręczny magnetofon. Nagrała jego rozmowę. Za to jej płacono. Była wzorową sekretarką.

Podejrzenia malarza Girottiego niebyły tak bardzo bezpodstawne, jeżeli chodzi o sprawę Joosta van Mandera w Cannes. Ale w tym wypadku było to już bez znaczenia.

- Jestem potwornie zmęczony — westchnął Wojdan.
- Tak myślałam... — zaśmiała się nerwowo Diana. — Więc mówisz, że wszystkie sprawy Erato przestaną cię interesować gdy opuścisz wyspę?
- Będzie mi brakowało ciebie, Dianio. Bardzo cię polubiłem. Zdaję sobie sprawę, że jesteś powiązana różnymi układami ze światem, w którym żyjesz i że nie możesz być ze mną szczerą, ale wystarczy mi to, co o tobie wiem, aby cię miło wspominać, śliczna! Idę już do swojego pokoju. Przyjdź jeszcze na kieliszek koniaku, odpowiem ci na wszystkie pytania. Nie mam przed tobą tajemnic. Nie jestem gliniarzem.
- Jesteś jednak wścibski jak prywatny łaps.
- Biję się w piersi. Przyjdziesz na koniak?
- Postaram się.
- To znaczy, że przyjdiesz! Pozdrów panią Zaddeck, gdy będziesz przekazywać jej tę taśmę. Dziś dopiero rozumiem sens mojej wczorajszej rozmowy z nią. Nie mogła wstrzymać mojego przyjazdu tutaj, więc musiała ciągnąć tę całą grę, tę wielką mistyfikację. Mistyfikacja ma jednak tyle piętér, że przerasta mnie i moje uzdolnienia detektywa. Nic mi już do tego. Dziękuję jej za czek. To wszystko. Zapamiętasz?
- Zapamiętam.
- Kłamiesz. To także nagrałaś. Zgadza się?
- Zgadza...
- No to do zobaczenia u mnie! Nie zamykam drzwi na klucz, choć gdybym miał trochę oleju w głowie, pewnie bym się zabarykadował.

4.

Z głębokiego snu Wojdan kilkakrotnie wracał do rzeczywistości, ale był to trudny powrót. Raz po raz wydawało mu się, że widzi uśmiech Diany, ale potem otaczała go znów noc czarniejsza od tej, którą obserwował z pokładu „Semiramis” w czasie rejsu na Erato. Przy trzecim lub czwartym przebudzeniu machinalnie spojrzął na zegarek, ale uniesienie głowy z poduszki spowodowało nagły ból, promieniujący od podstawy czaszki. Chwilę więc leżał bez ruchu, aż ból minął — jednocześnie próbując sobie

przypomnieć zdarzenia z poprzedniego dnia, które wyjaśniłyby obecny stan. To nie był efekt nadużycia alkoholu. Nie. Więc co się stało? Chyba dostałem w łeb — stwierdził nagle. Dotknął ręką czoła, ostrożnie zsuwając na poduszkę wilgotną, chłodną chustkę, którą jakaś miłosierna ręka położyła mu na głowie. Jeszcze raz, znacznie już ostrożniej, uniósł się na łokciach i otworzył oczy. Była pierwsza, ale nie w nocy, lecz po południu. Za oknami świeciło słońce. Diany Morelli w pokoju nie było, natomiast obok, przy łóżku siedział ciemnoskóry żołnierz w panterkowym uniformie.

Popijał coca-colę z butelki i oglądał komiks. Na nocnym stoliku leżał jego pistolet maszynowy. Wojdan pomyślał, że wciąż śni albo majaczy, zamknął więc jeszcze raz oczy, w nadziei, że ten ciemnoskóry komandos przemieni się w Dianę. Jednak nic się takiego nie stało, natomiast bez wątpienia obcy żołnierz zaobserwował przebudzenie Wojdana i szeroko, przyjaźnie uśmiechnął się.

Polak powoli usiadł na łóżku, choć przez chwilę miał takie uczucie, jakby odbywał próby przed lotem kosmicznym w kabinie antygrawitacyjnej — pokój stanął dęba. Komandos gadał coś do niego w obcym języku, chyba po arabsku, wreszcie machnął ręką w geście zniecierpliwienia, zabrał z nocnego stolika pistolet maszynowy i wyszedł. Po chwili w drzwiach ukazała się Diana — uśmiechnięta i chyba autentycznie uradowana powrotem chorego do przytomności. Przysiadła na krawędzi łóżka i naląła z termosu filiżankę kawy.

— Spróbuj, to ci dobrze zrobi... — powiedziała.

— Co się właściwie ze mną stało? — spytał, próbując uruchomić drewniany język.

— Nic nadzwyczajnego. Dobre uderzenie w głowę zawsze powoduje chwilowe zamroczenie, choć niekiedy może również zabić. Jeśli nie jest mocne, z reguły wywołuje zawroty głowy i mdłości.

— Uderzenie... — powtórzył, potem dotknął w kilku miejscach swojej czaszki i jęknął.

— Nie myśl już o tym i za wiele nie pytaj. Pij kawę. Najgorsze minęło. Po prostu ktoś był w twoim pokoju, kiedy otworzyłeś drzwi. Prawdopodobnie nie miał zamiaru zawrzeć z tobą znajomości, więc posłużył się kastetem. W dwie godziny po naszym rozstaniu znalazłam cię w twoim pokoju na podłodze, zaciągnęłam więc na łóżko i zrobiłam okład na głowę. Potem poszukałam doktora Demirisa. Kazał robić dalej okłady i dał ci jakiś zastrzyk. Polecił cię nie budzić.

— A ten komandos... Bo chyba to mi się nie śniło... Był tu jakiś żołnierz...

— To człowiek szejka Abu Bamiani... Wiesz, mówiono o tobie, że wędrujesz na wyspie dla „Interpolu”. Ja wiem, że to plotka, ale czasami takie plotki także się na coś mogą przydać. Ludzie interesu nie lubią dodatkowych kłopotów, a śmierć agenta „Interpolu” — to mógłby być nawet duży kłopot dla szejka. Obawiał się, że w całym tym rozgardiaszu może komuś przyjść chętka wyeliminowania cię z gry. Na wszelki wypadek przydzielił ci ochronę...

— O czym ty mówisz? Jaki szejka? Jaki rozgardiasz? O co tu chodzi?

— Ach, prawda — ty o niczym nie wiesz...

— Mogę dostać jeszcze trochę kawy? I odrobinę koniaku...

— Nie wiem, czy wolno ci pić alkohol, ale może przywróci ci to ogólną równowagę ducha. Są tacy faceci, którym koniak nigdy nie szkodzi, a przeciwnie — zawsze pomaga.

Wstała, podeszła do barku, nalała kieliszek i przyniosła do łóżka. Wypił nieelegancko — jednym haustem. Świat nabrał zaraz kolorów.

— Jeszcze? — spytała, ale podziękował.

Wypił natomiast drugą kawę.

— Teraz mów, tylko po kolei, bo inaczej się zgubię.

— Nie wiem, od czego zacząć — westchnęła.

— Najlepiej od początku.

— Kłopot z tym, że nie wiem, gdzie tu jest początek. Jeszcze wieczorem, zaraz po naszym rozstaniu, pani Zaddeck kazała powiadomić służbę,

a przez służbę również gości, że plany rozbudowy rezydencji wymagają wysadzenia części skał na wyspie. Dlatego więc, ze względu na bezpieczeństwo, cały personel rezydencji i goście muszą się przenieść na statek „Semiramis” i udać na krótką wycieczkę na Rodos. Dziś przed południem statek „Semiramis” odpłynął.

— Pani Kleo odpłynęła także z gośćmi i personelem?

— Nie pani Kleo odpłynęła wraz ze Stawrosem, szefem ochrony, kucharzem i dwiema pokojówkami na pokładzie motorówki „Samantha”. Wzięli z sobą kilku goryli z ochrony osobistej.

— Na Rodos?

— Wątpię. O takich odjazdach pisze się „odjechali w nieznanym kierunku”

— A ty zostałaś!

— Tak się jakoś złożyło.

— A szejk Abu Bamiani? Jeżeli dobrze zapamiętałem, jego jacht motorowy „Sirocco” widziałem wczoraj przy nabrzeżu portu Pandros na Kessarze?

— Zdrowiej dla ciebie będzie, jeśli o tym zapomnisz. W Pandros nikt nie widział na pokładzie „Sirocco” ani jednego komandosa. Oficjalnie szejk Abu Bamiani odbywał rejs wycieczkowy wraz ze swoim harem. Wczoraj, kiedy my traciliśmy czas na dyskusjach z tutejszymi władzami, pani Zaddeck odwiedziła szejka na pokładzie „Sirocco”. Spotkanie to było dawno już ukartowane, a wszystko zorganizowano w ten sposób, aby wyglądało na przypadek. Myślę, że kwestia sprzedaży wyspy została załatwiona wcześniej i właśnie w tym celu Stawros udał się do Aten, pozorując, że chodziło mu o przywiezienie ciebie na Erato. Twoja obecność na wyspie, jak i obecność innych gości była tylko mistyfikacją.

— Czy szejk Abu Bamiani kupił wyspę?

— Nie jest mu ona potrzebna. Wziął tylko jakieś towary składowane na wyspie. Jego jacht dobił dziś rano na Erato, krótko przed odpłynięciem „Semiramis” i „Samanthy”. Zaraz po odpłynięciu obu statków specjalne ekipy opróżniły magazyny na Erato, po czym wysadziły i zawaliły sztolnie, te które pozostawili tu Niemcy, a także, na wyraźne życzenie pani Zaddeck, wysadziły i zniszczyły cały kompleks wokół „Grotta Azzurra”.

— Podwodne muzeum także?

— Wszystko. Laboratoria, akwarium i inne urządzenia. Tym samym przestało być tajemnicą, że pan Simon Zaddeck, słynny Wielki Kalif zagiął...

— Chyba huk eksplozji na Erato słyszeć musieli ludzie w porcie Pandros...

— Wczoraj, w czasie spotkania z władzami na Kessarze, pani Zaddeck poinformowała wszystkich, że w związku z pracami wokół rozbudowy rezydencji nastąpią wybuchy na Erato. Wysadzone zostaną skały, które blokują rozbudowę. Mówiła po grecku, nie mogłeś więc nic zrozumieć. Kiedy nastąpiły eksplozje, huk nie był, wielki i nie powstały chmury dymu, których się spodziewałam. Natomiast wstrząs był silny. Pewnie to cię obudziło lub „zaczęło budzić”, bo dość długo wracałeś do przytomności.

— A ... profesor Archibald Armstrong?

— Słyszałam coś o tym maniakalnym odludku. Siedział w głębi groty, w budowanym przez Zaddecka muzeum poszukiwań podwodnych. Niewiele go widziało. Dostęp do podziemi miał tylko Zaddeck, pani Kleo i Stawros. Dawniej jeszcze chodził tam ktoś ze służby. Armstrong był podobno bardzo chory. Zabrała go na pokład „Samanthy” pani Kleo — widziałam, jak dwóch goryli wносиło go na stateczek na noszach.

— Kto kupił Erato?

— Nie wiem. Nikt nie wie. A jeśli chodzi o Armstronga... Domyślałam się, że do gabinetu Zaddecka dostałeś się z groty, od strony akwarium. Jeśli tak, to mogłeś tam spotkać Armstronga. Co jednak znaczyło twoje powiedzenie, że „Zaddecka nie ma już na tej ziemi”?

— Masz jeszcze kawę? Proszę, daj mi trochę. Ból głowy ustępuje, muszę tylko uważać na gwałtowne ruchy. Tak. A więc sprawa Armstronga... Myślę, że właśnie ta kwestia stanowi klucz do wszystkich tajemniczych wydarzeń na Erato.

— Mówiono, że Zaddeck rozumiał się doskonale z Armstrongiem...

— Gdy Zaddeck miał za dużo kłopotów, gdy straszyły go widma konkurencji, gdy mu grozono, gdy zdawał sobie sprawę, że handluje śmiercią, uciekał do swoich podziemi i zamieniał się w profesora Armstronga. Jeśli trwało to zbyt długo, mówiono, że Zaddeck „znajduje się w podróży”, a on tymczasem siedział w swoim muzeum i bawił się, komponując obraz podwodnego pobojowiska po bitwie pod Lepanto... Te napady stawały się coraz częstsze. Naukowo nazywa się to schizofrenią. Rozdwojenie jaźni. Znasz opowiadanie Roberta Louisa Stevensona *Doktor Jekyll i mister Hyde*?

— Chyba każde dziecko kiedyś je czytało. Więc naprawdę nie istniał żaden „profesor Armstrong”, jak nie istniał ów „mister Hyde”?

— Początkowo tak to wyglądało, dopóki zmiana nie utrwaliła się. Na koniec zniknął Zaddeck, jak w opowiadaniu Stevensona zniknął doktor Jekyll, choć chwilami wracały jeszcze przebłyski dawnej osobowości. Wczoraj, w rozmowie ze mną, Armstrong zaczął wspominać swoje dzieciństwo w Libanie, a przecież to właśnie Zaddeck był Libańczykiem, libańskim maronitą.

— Prościej to nazywając — Zaddeck zwariował.

— W tych kręgach tak się tego nie nazywa. Używa się określenia „popadł w depresję psychiczną”.

— Na początku więc istniał tylko Zaddeck i nie było nigdy żadnego „profesora Armstronga”, ale kiedy dziś przed południem wnosili go na pokład „Samanthy”. Zaddeck już nie istniał. Był tylko — żywy lub martwy — profesor Armstrong. Czy myślisz, że szejk Abu Bamiani wie już o tym?

— Sądzę, że nie tylko on. Imperium Zaddecków zawało się. Nikt jednak tego oficjalnie nie potwierdzi. Przyjmie się wersję, że Zaddeck zaginął.

— Wydedukowałeś to znakomicie — sam Sherlock Holmes nie zrobiłby tego lepiej. Można by mieć tylko jedno zastrzeżenie do twojego sposobu rozumowania. W twoim wykładzie wszystko jest cholernie jasne i proste, a w naszej rzeczywistości nic nie układa się tak logicznie. Przyjmuję twój pogląd, bo nie ma innego wytłumaczenia, ale kto jednak wie, czy masz rację. Nie powiedziałeś mi jeszcze, kto zabił Mortimera.

— Zabił go rzekomy Armstrong, a żeby całą sprawę postawić zupełnie na głowie, wmówiono mu, że zabił Zaddecka, by w jego świadomości na zawsze pogrzebać nawet przeblysł dawnej osobowości. Armstrong nie może więc powrócić do skóry Zaddecka, bo przecież to on własnoręcznie zabił Wielkiego Kalifa.

— Chyba jesteś ostatnim moim znajomym, z którym poruszam ten temat. Nigdy już i z nikim nie będę o tym rozmawiać. Nie wyjechałam ani z gośćmi pani Kleo, ani z nią. Rzuciłam tę pracę.

— Decyzja godna pochwały.

— Następnej z pewnością jednak nie pochwalisz. Przyjęłam posadę u szejka Abu Bamiani. To człowiek wielkich interesów.

— A więc zmieniasz szefa, ale i tak liczyć będziesz skrzynie karabinów... Nie zmieniasz przecież branży...

— W tej branży nie liczy się skrzyń karabinów, ale skrzynie odkurzaczy, lodówek, rowerów i maszyn rolniczych. Nie moja sprawa, jeśli listy towarów nie zgadzają się z zawartością. Inaczej musiałabym codziennie biegać do spowiedzi albo zmienić zawód.

— A nie boisz się na przykład, że ładunek, który złożony został w czeluściach tego pięknego, spacerowego jachtu, może spowodować skażenie całego wnętrza, łącznie z pasażerami?

— Nie. Czy myślisz, że szejek Abu Bamiani nie zdaje sobie sprawy ze specyfiki towaru, którym handluje? Studiował fizykę i chemię w Paryżu. To tylko w północnej Europie szejek kojarzy się z wielbłędami i namiotami Beduinów. Standard życia niektórych społeczności muzułmańskich wyprzedza dziś południe Włoch, Grecji czy Hiszpanii, nie mówiąc o waszych krajach.

Wojdan chciał gwałtownie replikować, ale przed oczami zawirowały mu czarne płatki i na chwilę pokój stanął dęba. Nic więc nie odpowiedział, uspokoił się i powoli dopił kawę. Po chwili, już spokojniejszy, spytał ją o docelowy port „Semiramis” i „Samanthy”.

— Wiem, że „Semiramis” popłynęła na Rodos. Kapitan zgłosił tam pewnie awarię silnika, wszyscy pasażerowie zostaną wyokrętowani, przewiezieni do hotelu i tu opieka nad nimi się nagle skończy. Dla większości z

nich będzie to na pewno nieprzyjemne, a może nawet dramatyczne. Spróbują szukać kontaktu z panią Zaddeck i rezydencją na Erato, ale na wysepce nie będzie już nikogo. Dokąd popłynęła „Samantha” — nie wiem, a gdybym nawet wiedziała...

Po jej wyjściu wziął prysznic, ogolił się, ubrał, zajrzał do kilku pustych pokoi, do kreślarni, spacerkiem przewędrował plac przed główną rezydencją i nie wytrzymał — zajrzał i tam. Dla przyszłych właścicieli pozostały niektóre meble i jakieś mniej wartościowe przedmioty. Gdy wychodził, natknął się znów na Dianę. Szukała go. Za pół godziny statek „Sirocco” brał kurs na południe! Zrozumiał, że kierują się na Suez. „Po drodze” szejk zobowiązał się wysadzić Wojdana na Kessarze. Spytała o samopoczucie.

— Już znacznie lepiej, ale wystrzegam się gwałtownych ruchów.

— Bądź wyrozumiały dla mojego nowego szefa — on nie chce cumować drugi raz w tym samym porcie. Dostaniecie więc łódź wiosłową z doczepionym silnikiem. Wysadzimy was na redzie.

— Was?

— No, ciebie i tę twoją pokojówkę — Katinę. Komandosi znaleźli ją związaną i zakneblowaną w twojej szafie. Wiesz dla kogo pracowała?

— Nie. Miała kontakt z jakimś eks-najemnikiem z Afryki, który mieszkał na Kessarze, ale chyba on także pracował na czyjeś polecenie. Mam wrócić po moje rzeczy?

— Twój bagaż kazałam zapakować do neseseru, wiele tego nie było, a koniak, piwo i krakersy z hotelowego barku — do torby. Neseser i torba są już na pokładzie „Sirocco”. Widzisz — o wszystkim pomyślałam.

Zaczęli schodzić na niższe tarasy, windy przestały bowiem funkcjonować, nie działała klimatyzacja, wodociągi, lodówki już nie chłodziły.

— To trudne do uświadomienia sobie... — powiedział nagle Wojdan. — Przybyłem tu zaledwie przedwczoraj, oszołomiony bogactwem tego mikroświata z bajki. A oto żegnam szczątki imperium i cmentarz. Dedal ucieka, pozostawiając za sobą ruiny pałaców Minotaura. Znasz przecież ten mit. Gdybym miał go odtworzyć na nowo — napisałbym, że sam Minos był również Minoturem — potworem w labiryncie.

— Znasz mitologię na piątkę, ale pomówmy o dniu dzisiejszym. Za dwadzieścia minut będziemy na redzie. Spuszczą wówczas łódź i wsiądziesz do niej razem z Katiną. Łódź zostawcie na brzegu. Jeszcze zanim zdjęto telefony w gabinecie Zaddecka, zadzwoniłam na Kessarę i zarezerwowałam ci pokój w hoteliku prowadzonym przez siostry zakonne. Hotelik nazywa się tak, jak to wzniesienie na wschodniej stronie Kessary — „Agia Triada”. Jutro masz statek do Pireusu. Wiesz, naprawdę miło cię było poznać, szkoda, że nie pracujesz w podobnej branży jak ja. Ale i tak dobrze, że nie jesteś gliniarzem, nie zbierasz informacji dla „Interpolu” albo nie jesteś prywatnym łapsem, bo takich nie lubię.

— Na całe szczęście nie piszę również poezji w stylu neobajronowskim... — uzupełnił — i nie mam talentu do gotowania.

Roześmiali się.

— Będzie mi cię brakować, Bartosz... — dokończyła, poprawnie wymawiając jego imię.

5.

Miała rację — na nabrzeżu nikt nie zwrócił uwagi na ich łódź, a strojem nie odróżniali się od turystów i żeglarzy. Zainteresowanie budziła uroda i sylwetka Katiny, z powodzeniem mogącej startować do zawodu modelki w eleganckich domach mody. Znaleźli wolny stolik przed maleńką restauracją w porcie, wypili kawę i po kieliszku koniaku, w milczeniu obserwując malejący na horyzoncie kontur „Sirocco”. Katina wyjęła papierosa, podał jej ogień.

— Co zamierzasz robić? — spytał.

— Tutaj?

— I tutaj, i w ogóle. Masz jakieś pieniądze?

— Mam tyle, że wystarczy mi na bilet. Popłynę dziś jeszcze na Rodos. Mam tam rodzinę, zatrzymam się jakiś czas i może na krótko wrócę do domu.

— Na Cypr?

Skinęła głową.

— To co mam przy sobie — wystarczy mi na razie, a resztę ulokowałam w banku. Na Erato dobrze mi płacono, a nic nie wydawałam. Zebrało się sporo pieniędzy. Mam jeszcze czek od pani Zaddeck, ale to raczej pamiątka niż pieniądze. Chyba konto Zaddecków jest już niewypłacalne.

— Tak myślisz? — zapytał, czując mróz w krzyżu. Wracał z tymi samymi pieniędzmi, które wyciągnął z banku w Polsce, kiedy odlatywał do Hamburga.

— To pewne. Jeśli otrzymał pan też taki czek od pani Zaddeck, przekonana się pan w pierwszym banku w Atenach. Nawet może pan mieć z tym kłopoty, jeśli okaże się, że firma „Gedonic Co.” zbankrutowała, a pani Zaddeck wypisuje dalej чеки. Wszystko jest w tym towarzystwie możliwe.

— Odwiedzisz willę „Nimfea”? — spytał dość bezczelnie, bo były to jej sprawy osobiste.

— Chyba nie. Zapłacono mi z góry. Wprawdzie nazywało się to zaliczką, ale zabawa na Erato skończyła się i lepiej od takich spraw i takich ludzi trzymać się z daleka. Nie wiem, kogo bym dziś tam spotkała. Próbowałam wczoraj wieczorem skontaktować się z willą „Nimfea”, ale nikt moich sygnałów nie odebrał, natomiast sama paskudnie wpadłam. Nie wiem, kto mnie tak urządził — chyba goryle pani Zaddeck, bo szejk na takie zabawy za mądry.... Czy to prawda, że zbierał pan informacje dla „Interpolu”?

— Mówiono tak o mnie?

— Tak słyszałam. Nawet wczoraj. Gdyby nie obawy, że jest pan z „Interpolu”, mógł pan zostać znacznie gorzej potraktowany.

— Pracowałam i pracuję wyłącznie dla siebie.

— To w zasadzie tak jak ja, ale dziewczynie trudno samej. W końcu musi mieć współnika... albo męża.

— Na to wygląda.

Zdusiła papierosa w popielniczce i wstała.

— Ja już sobie pójdę, proszę pana.

— Dokąd? — spytał, choć nie powinno było go to obchodzić.

— Nie zgine! — sięgnęła po swoją walizkę i torbę. — Za dwie godziny mam statek na Rodos. Do widzenia panu!

— Do widzenia, Katina!

Dopił kawę, zapłacił i także zabrał swoje rzeczy. Bez większego trudu znalazł klasztor i hotelik „Agia Triada” „Święta Trójca”. Grecy z upodobaniem mianowali wszystko naokoło imionami świętych i świętości. Wkrótce był już w swoim pokoju — małej dusznej klitce na poddaszu, ale czystej, wybielonej, z tuzinem starych ikon pod sufitem. Umywalnia znajdowała się na parterze, ubikacja na podwórzu. Od zakonnicy, która wpisywała go do rejestru gości, usłyszał wypowiedzianą łamaną angielszczyzną informację, że policjanci otoczyli właśnie hotelik „Plaka”, gdzie skryła się „para bandytów”. Poszedł tam zaraz, ale było już po bitwie. Spory tłumek otaczał miejsce, na którym leżały nakryte prześcieradłami dwa ciała. Prześcieradła były w kilku miejscach poplamione krwią, a spod całunów wystawały bose stopy chłopaka i dziewczyny. Widok był żałosny — te bose stopy symbolizowały jakby cały dramat i bezbronność wobec maszyny prawa. Przypominał sobie twarz dziewczyny w barku hotelowym „Xanadu”. Gdyby nie telefonował do Aten — Hans i Ulli pewnie jeszcze by żyli, ale czy on byłby wówczas bezpieczny?

Ktoś położył Wojdanowi dłoń na ramieniu. Gest był raczej przyjacielski, ale nieoczekiwany i architekt aż podskoczył.

— To ja... Proszę się nie obawiać...

Był to komisarz Nikos Zalokostas z Aten.

— Zabiliście ich!

— Nie. Wezwaliśmy ich do poddania się. Próbowali pertraktować, aż nagle usłyszeliśmy dwa strzały i nie było już z kim pertraktować. Zdaje się, że dziewczyna była gotowa poddać się, ale chłopak — nie. Może za wiele miał na sumieniu. Zastrzelił dziewczynę, a potem siebie. Mieli pełną torbę haszyszu i dwa rewolwery oraz karton naboji. Całe szczęście, że nie doszło do strzelaniny — przy takich desperatach byłyby ofiary. Musi pan pomóc w identyfikacji i podpisać protokół.

— Czy to konieczne?

— Wiem, że to nieprzyjemne. Jeśli ma pan jakieś opory wewnętrzne, proszę wyobrazić sobie na ich miejscu siebie albo tego człowieka, którego zarżnęli w hotelu „Xanadu”. Przyjechali tu nie na wakacje, ale za panem. — Bóg jeden wie, co zamierzali...

Komisarz zawołał jednego z miejscowych policjantów i kazał mu unieść prześcieradło. Dziewczyna była w bikini, oczy miała półotwarte, na twarzy malowało się jakby zaskoczenie. Jej chłopak znalazł się na anatomii — jednym strzałem trafił w komorę serca, a strzelał z pistoletu o wielkim kalibrze. Umarła chyba natychmiast. Sam strzelił sobie w skroń, odstrzelując część czaszki. Wojdan rozpoznał ich natychmiast.

Zalokostas spytał go jeszcze o wysepkę Erato i Zaddecka. Bez wrażenia przyjął wiadomość, że Polak nie zastał na wyspie biznesmena i zrezygnował z pracy. Nie zdziwiło go również, że pani Zaddeck pozbyła się niezbyt elegancko gości i sama opuściła rezydencję.

— Czytałem wczoraj w gazecie o jakiejś aferze przemytniczej, w którą zamieszana jest spółka „Gedonic Co.”. Zaddeck był jej prezesem. Spółka zbankrutowała, czy coś podobnego. Wyszły na jaw jakieś machinacje armatorów. Zaddeck podobno zniknął, ale i tak stał się obecnie niewypłacalny. Wyspą Erato zajmie się wkrótce urząd finansowy i policja kryminalna. Dobrze, że pan wyjeżdża, miałby pan kłopoty. Zapłacili panu za ten projekt? Pamiętam, że mówił pan o jakimś konkursie i zdobyciu pierwszego miejsca?...

— Wygrałem tylko bezpłatną podróż i kilkudniowe pełne utrzymanie, trochę mocnych wrażeń, przygodę z piękną dziewczyną i na tym koniec. Może jeszcze trochę lekcji życia w aferach, które dotąd znałem z kina. To też się liczy. Dostałem wprawdzie od pani Zaddeck czek na dużą sumę, ale chyba wiedziała już, że to koniec imperium.

— Może pan mi pokazać ten czek?

Wyciągnął z portfela i położył na stoliku.

— Nieźle pana wyceniła, jeśli miała to być zaliczka. Ale to rzeczywiście konto firmy „Gedonic Co.”. Może pan spróbować zrealizować czek w Atenach, ale wątpię, żeby to się udało. Mogą zatrzymać czek. Powiadomię o tej sprawie moich przyjaciół zajmujących się przestępstwami gospodarczymi. Nie będzie pan miał kłopotów, podpisze pan najwyżej protokół przesłuchania i zorientuje się, czy istnieje w przyszłości nadzieja na realizację

czeku. Kiedy pan stąd wyjeżdża?

— Jutro koło południa, a pojutrze mógłbym polecieć do Warszawy. Wie pan — wyobrażałem sobie, że wrócę samochodem kupionym w Atenach. W obecnej sytuacji będę chciał jak najprędzej wyjechać do Polski. Mogę mieć tylko trudności z uzyskaniem miejsca w samolocie — mam bilet „open”, a czasu zostało niewiele.

— Wystarczy panu pieniędzy, żeby po przybynięciu, utrzymać się dzień lub dwa w Atenach?

— Z pewnością!

— Jutro zatem odpłynie pan do Pireusu, pojutrze wyląduje na kontynencie, a następnego dnia o dziesiątej rano będzie pan w moim biurze w Atenach. Dobrze? Pomogę panu również w zdobyciu miejsca w samolocie i skontaktuję pana z wydziałem przestępstw gospodarczych. Nie będzie z tym wiele kłopotu. Zwykła formalność.

— Będę panu wdzięczny! Czym się panu zrewanżuję za tę pomoc?

— Gdy pan już wszystko załatwi, siądziemy sobie na lotnisku przy kawie i zupełnie prywatnie opowie mi pan wszystko, czego nie opowiedział mi pan dzisiaj, a także to, czego nie dowiedzą się od pana moi koledzy, specjaliści od walki z przestępstwami gospodarczymi. Bo przecież nie powiedział mi pan jeszcze wszystkiego?

— Nie...

— Bardzo to skomplikowane?

— Ogromnie, choć można sprowadzić do prostych równań. Dotyka to jednak spraw, które przerastają możliwości moje, pana i pewnie pańskich zwierzchników, dlatego nie opowiadam szczegółów. Zresztą — w części to tylko przypuszczenia i domysły, niewiążące się już ze sprawą tej pary terrorystów. Na koniec mógłby się pan spytać — z jakiej to książki: Chandlera? Hammetta? Jonesa? MacLeana, a może Fleminga?

— Lubi pan tę literaturę?

— Lubię. Zawsze pozwalała mi oderwać się od rzeczywistości. Nie wierzyłem kiedyś w jej autentyzm. Teraz wierzę. Jak to napisał mistrz powieści detektywistycznej Arthur Conan Doyle — otaczająca nas rzeczywistość potrafi okazać więcej niezwykłości, niż zdolna jest wymyślić fantazja pisarza.

— A więc do widzenia, panie Wojdan. Dobrze wymawiam pańskie nazwisko? Ach, byłbym zapomniiał — niech pan jeszcze podpisze protokół identyfikacji zwłok. Tu trzeba jeszcze wpisać numer pańskiego paszportu. Teraz jest już pan wolny. Miasteczko wkrótce o wszystkim zapomni. Życie potoczy się dalej...

Tej nocy spał Wojdan znakomicie. Zawroty głowy minęły zupełnie. Okno miał otwarte, zasypiając słyszał szum przyboju. Obudziły go głosy rybaków i terkot silników łodzi powracających z połowu. Po śniadaniu zostało mu jeszcze trochę czasu, wykorzystał go więc na spacer. Nie miał zamiaru zaglądać do willi „Nimfea”, ale żądza przygody spowodowała, że nie posłuchał głosu zdrowego rozsądku. Spacer zabrał mu godzinę w jedną stronę. Wokół willi nie zobaczył nikogo, pokoje były puste. Nie spotkał również pięknej Isabelity, a z pomieszczenia, gdzie suszyły się filmy, stały aparaty fotograficzne i lornety zniknęło wszystko. Natomiast w salonie, w głębokim fotelu, jakby zapatrzony w mglisty zarys wyspy Erato, „daru bogów”, siedział eks-najemnik Victor Linares.

Nie oglądał jednak pięknego widoku, jaki roztaczał się stąd na całą zatokę. Zginął podobnie jak Santopulos od ciosu sztyletu, wbitego umiejętnie, ze znakomitą znajomością anatomii i odpowiednią siłą. Na siatkówce jego oka utrwalił się z pewnością obraz wyspy. Nikt chyba nigdy nie miał ustalić, co w jego życiorysie było fałszem, a co prawdą, czy działał na czyjeś zlecenie, czy na własną rękę i kto dokonał tej zbrodni. Z pewnością jednak jego śmierć pasowała do całego życia, a kiedy trafił do piekła, powitali go tam jego bliscy kumple — afrykańscy najemnicy.

Wojdan wrócił do hoteliku szybciej, niż przewidywał, ale było to zapewne zasługą faktu, że powrotna droga prowadziła w dół. W godzinę później, z pokładu mocno już wysłużonego statku, oglądał znikający kontur Kessary, za którym znacznie wcześniej ukryła się wysepka Erato.

Spis treści

Śmierć w hotelu „Xanadu” 7

Wyspa pełna zagadek 55

Katastrofa 98